



...wydało mi się, że usłyszałem z łazienki strzał. Podniosłem się i nasłuchiwałem, ale było całkiem cicho. Usiadłem, po chwili uświadomiłem sobie, że woda znów szumi. Tylko że nie był to zwykły, znajomy szum. Potem rozległ się krzyk, przejmujący do szpiku kości krzyk z łazienki.

JAN Ekström
TANIEC OGNI CZYTELNIK



Jan
Ekström

taniec
ognia

przełożyła
Maria Olszańska

Czytelnik
Warszawa
1984

Tytuł oryginału szwedzkiego
ELDDANSEN

© Jan Ekström 1970

Okładkę i kartę tytułową projektował
ZBIGNIEW CZARNECKI

© Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
Warszawa 1984

ISBN 83-07-00951-0

Osoby, o których warto coś wiedzieć:

- | | |
|--------------------|--------------------------------------------------------------|
| Krystyna Vannerman | – pani mająca dom i pieniądze, ciotka |
| Tomasza Vannermana | – nauczyciela, mieszkającego, w domu Krystyny, podobnie jak: |
| Bengt Fritze | – dyrektor gimnazjum w Gislaved |
| Bror Andersson | – profesor tegoż gimnazjum |
| Klara Nordin | – główna księgowa |
| Ewald Sjöman | – aptekarz, sąsiad Krystyny |
| Marianna Sjöman | – jego żona |
| Per (Perra) Sjöman | – ich syn |
| Ewa Sjöman | – ich córka |
| Torgny Pihl | – dyrektor Sp. Akc. „Bracia Pihl, Tworzywa Sztuczne” |
| Wera Pihl | – jego żona |
| Svante Pihl | – ich syn |
| Ingalill Borgman | – nauczycielka gimnastyki |
| Kurt Karlsson | – rolnik |
| Anna Karlsson | – jego starsza córka |
| Ethel Frid | – jego młodsza zamężna córka |
| Bernt Hall | – pośrednik |
| Gitt Nerman | – osoba poznana na urlopie |
| Ulla Nilsson | – przyjaciółka Gitt Nerman |
| Panna Melin | – właścicielka domu dziecka |
| Melander | – szef policji okręgu Värnamo |
| Bertil Durell | – pierwszy asystent państwowej policji kryminalnej |

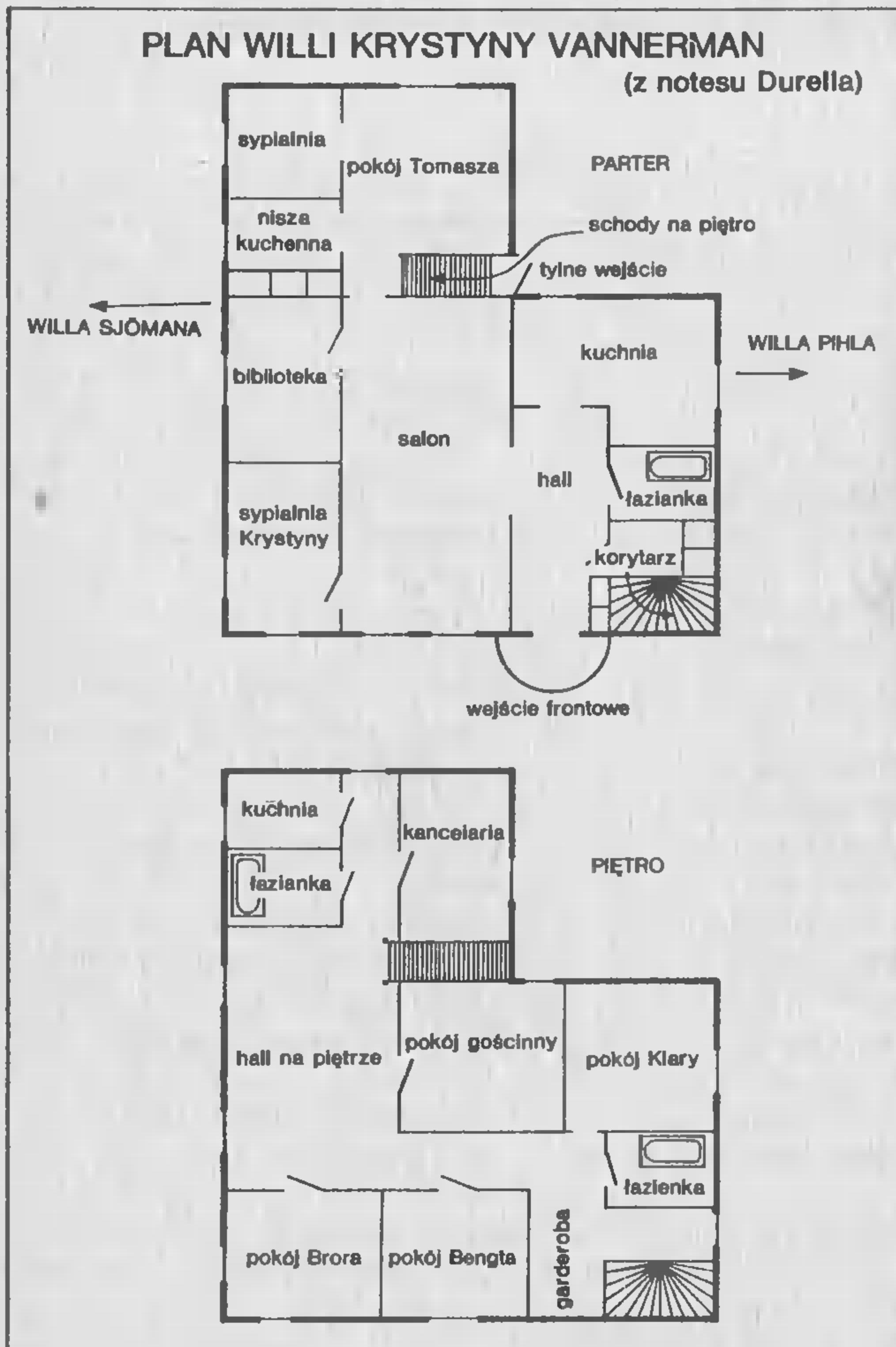
Rozdział pierwszy

Piątek. 12 września. Popołudnie.

Dom Krystyny Vannerman, położony w odległości dwudziestu metrów od rzeki, był od strony ulicy niemal zupełnie zasłonięty żywopłotem z ligustru wysokości człowieka. W żywopłocie znajdowała się jednak szeroka przerwa – stanowiąca drogę wjazdową na parking przed domem – a furtki żelaznego ogrodzenia niemal zawsze stały otworem. Dom był piętrowy, od strony północnej miał dobudowane pod kątem prostym skrzydło, również piętrowe. Całość przykrywał czerwony dach, tak spadzisty, że zdumienie ogarniało, w jaki sposób dachówki się trzymają. Od sąsiednich działek odgradzały posiadłość wysokie bzy, tworzące żywopłot z obu stron, od ulicy aż do rzeki. Oszalamiająco pięknie wyglądały wiosną, osypane kiściami białych, różowawych i ciemnofioletowych kwiatów, które zapachem przesycaly całą okolicę. W późniejszej porze roku bzy znaczyły linię graniczną ciemną zielenią, a zimą wilgotne opary, unoszące się z Nissy, często okrywały je iskrzącym się szronem.

Sąsiadem od strony południowej był aptekarz Sjöman. Między działkami jego i Krystyny przebiegała wąska dróżka do rzeki. Służyła za parking aptekarzowi, który swą posiadłość otoczył drucianą siatką, z furtkami od ulicy i od owego prowizorycznego parkingu.

Po stronie północnej mieszkał dyrektor Torgny Pihl. Jego wielka supernowoczesna willa mocno kontrastowała z białą otynkowaną domem aptekarza i na brązowo pomalowaną siedzibą panny Vannerman. Jednokondygnacyjowa willa – urzeczywistnienie marzeń milionera – miała fasadę z jasnej cegły, panoramiczne okna otwierały się na wszystkie strony, werandy od frontu i od tyłu,



tarasowato obniżający się sad, ogrzewany garaż, ukryty wśród pnących róż i fioletowopurpurowych klematisów.

Wera Phil pchnęła drzwi drobną, pełną stopą, ostrożnie postawiła nogę na gładko wypolerowanej, ułożonej w kostkę posadzce werandy, zatrzymała się na chwilę, poruszyła okrągłutkim zadkiem, drzwi posłusznie powróciły na swoje miejsce i zamknęły się z cichym brzękiem szybek.

Na werandzie stał niski, okrągły stół otoczony leżakami, na których spoczywały jej przyjaciółki: Marianna Sjöman, żona aptekarza, i Ethel Frid, której mąż wyrabiał torebki z prawdziwej skóry, wytrwale walcząc z erą sztucznego tworzywa. Słońce ciepło i przyjaźnie kładło się na uniesionych w górę twarzach. Marianna, zwiesiwszy rękę przez poręcz, z roztargnieniem gładziła jamnika dyrektora, a ściślej: Mitzi, jamniczkę.

Wera postawiła tacę na stole, szkło zadźwięczało lekko. Ethel uniosła się i z upodobaniem przyjrzała filiżankom, butelkom i kieliszkom.

– Co ty wyprawiasz? – powiedziała. – Likier o tej porze dnia? Trzy gatunki!

Marianna zwróciła głowę. – Dziękuję, dla mnie tylko kawa – powiedziała. Zlustrowawszy butelki poprawiła się: – No, może i kieliszeczek tego, tego liliowego.

– Parfait Amour – powiedziała Wera starając się zachować obojętną minę.

Jeśli kogoś stać na podawanie likieru do popołudniowej kawy, powinien go podawać, właśnie żeby pokazać, że go stać. I nie byle jaki oczywiście. Marie Brisard, zielony Curaçao, Parfait Amour i buteleczone bananowego. W zeszły piątek po bingo Ethel podała likier. Po jednym kieliszeczku, jeden gatunek. Zwyczajny szwedzki Cacao. Właściwie powinno się to nawet pisać przez k. Wera rozstawiła filiżanki, kieliszki, naląła i usiadła w hamaku. Powietrze było nagrzane, w słońcu niemal upalnie, choć spory kawałek września już minął.

Marianna zerknąwszy na Ethel powiedziała trochę złośliwie:

– Od likieru się tyje. Ale tobie to nie zaszkodzi, masz dużo ruchu.

– Ruchu? – Ethel szeroko otworzyła oczy i spróbowała bananówki.

– No, przecież wciąż biegasz po kominkach.

Ethel parsknęła.

– Jak się z ludźmi nie pogada, nic się nie wie. A kto nic nie wie, nie ma nic do powiedzenia. Z tobą jest inaczej. Ty nawet likieru nigdy nie kupujesz, bo taniej wypada, kiedy Ewald sam go zrobi na aptecznym spirytusie. – Roześmiała się, zadowolona, że się odcięła. Potem wstała, chwyciła kieliszek i, unosząc w górę obnażone pulchne ramię, zawołała:

– Na zdrowie, babeczki! Niech nam prosiak długo żyje.

Marianna drgnęła.

– Czy ty mówisz o moim mężu...

Ethel ułożonymi w ryjek wargami wciągnęła likier, przełknęła głośno i, stawiając na tacy kieliszek, powiedziała:

– Skądże znowu. Miałam na myśli tę połówkę prosiaka, którą wygrałam dziś w bingo. Oj... nie powinnam chyba tak stać na widoku i wyzywająco popijać. Sąsiedzi Wery mogą to mieć za złe.

– Moi sąsiedzi muszą się z tym pogodzić – powiedziała Wera. – Robię, co mnie się podoba, a nie Krystynie Vannerman.

Spojrzała w stronę sąsiedniego domu, do połowy zakrytego przez bzy, a wyżej ledwie widocznego przez korony drzew, stojących na granicy tamtej działki. Tylko czerwony dach wybłyskiwał spośród zieleni. Wera ciągnęła dalej:

– Nic zresztą nie może zobaczyć, bo żywopłot nas dzieli, a ona mieszka na parterze. Dyrektor Fritze i profesor Andersson mieszkają od ulicy, więc też nic nie mogą

zobaczyć. Tylko Klara Nordin ma okno od tej strony, ale ona pracuje w biurze mojego męża, więc byłaby ostrożna w krytykowaniu. Zresztą nie ma jej w domu. To jeszcze godziny pracy.

Demonstracyjnie opróżniła swój kieliszek, z ironicznym ukłonem w stronę ukrytego za zielenią dachu, i mówiła dalej:

– Żeby tak móc usunąć ten żywopłot. Bzy zatruwają całą okolicę. Prawda, Marianno? Wam to chyba też dokucza.

Marianna przytaknęła. Liczne fałdki jej podbródka zadrgały harmonijnie. Sięgnęła po mieniący się fioletowo kieliszek i zwilżyła wargi.

– Bardzo mocny – powiedziała. – Nie, nie likier. Ten zapach bzów. Ewald dostaje od tego siennego kataru. Prosił ją, żeby wycięła, ale odmówiła oczywiście. Powiedziała, że jako aptekarz potrafi się chyba wyleczyć z kataru. Najgorsze, że i dzieci mogą na to cierpieć.

– Mój stryj też był uczulony – powiedziała Ethel z namysłem. – Po zadaniu krowom paszy za każdym razem miał zapuchnięte oczy. Sven też nie może leżeć na sianie... – Urwała, lekko poczerwieniawszy, gdyż zorientowała się, że dalsza wypowiedź mogłaby umożliwić wgląd w zbyt intymną sprawę, jak ona i jej mąż spędzali czas w początkach znajomości. Dodała szybko:

– No, może teraz przyjdzie koniec na żywopłot. Krystyna Vannerman sprzedaje dom.

Wera i Marianna wlepiły w nią oczy. Nastąpiła pauza, długa i przyjemna dla Ethel, której udało się zagrać ulubioną rolę. Wreszcie Wera spytała niedowierzająco:

– I komuż to sprzedaje?

– Tego nie mogę jeszcze zdradzić.

Ethel zapatrzyła się w dal, ponad rzekę, spokojnie przepływającą poniżej kamiennego podmurowania prywatnej plaży dyrektora, ponad paliki z uwiązaną moto-

rówką i łodzią wiosłową, ponad olchy na drugim brzegu rzeki i dachy domów Gislaved. Nagle zapytała:

– Dlaczego wyście go nie kupili? Ty i Torgny. Jaki wielki teren moglibyście mieć po wycięciu żywopłotu i rozebraniu domu! – Przeniosła spojrzenie na jamniczkę, która usiadła i nasłuchiwała zwrócona ku wodzie. – Dla Mitzi to też byłaby frajda, gdyby mogła biegać po takim dużym parku. – Wyciągnęła rękę, by podrapać za uchem dwukrotną zdobyczynię nagród, ale pies warknął. Ethel natychmiast cofnęła rękę i sięgając po kieliszek zastanawiała się, czy psy nie mogą być także przyczyną kataru siennego.

– Jej nie wolno biegać, gdzie i kiedy zechce – powiedziała Wera. – A poza tym nie pomyślałaś, ile taki dom może kosztować.

– Wiem, za ile ma być sprzedany: za sto pięćdziesiąt tysięcy. A wy macie przecież pieniądze. – W tym stwierdzeniu wyczuwało się znak zapytania.

– Jasne, że mamy pieniądze – powiedziała Wera. – Ale mamy też wydatki. Mieliśmy mnóstwo akcji, zdaje się, że Torgny je sprzedał, bo potrzebował gotówki... – Urwała, zbyt późno ugryzła się w język. Ethel i Marianna spojrzały na nią, zaskoczone.

– Tak, tak – powiedziała wreszcie Ethel. – Niektórym wszystko łatwo przychodzi. Mój mąż ciężko pracuje i nic prawie nie wyciąga ze swego przedsiębiorstwa. Skóra nie ma szans. Tylko plastik. A od plastikowych wyrobów portfel pęcznieje.

Wera wyprostowała się gniewnie.

– Łatwo. Myślisz, że Torgny nie pracuje, i to jak ciężko. Wciąż w podróży. Dziś wieczorem też jedzie do Göteborga w służbowej sprawie. W ogóle wieczorami zawsze zastanawia się, kalkuluje, ciągle jakieś rozmowy telefoniczne, pisanina, posiedzenia. Stałe zajęty. A ja wciąż sama. Lepiej w ogóle nie wychodzić za mąż.

– Czyżby? – zdziwiła się Ethel. – Wolałabyś zostać sama z dzieckiem?

– Co takiego? – Wera spojrzała na nią ostro, a jednocześnie sięgnęła po butelkę i nalała sobie pospiesznie, nerwowo, rozlewając na tacę.

Ethel uśmiechnęła się kwaśno.

– Słowa bym nie powiedziała, gdyby ta przeklęta fabryka tworzyw sztucznych nie była przyczyną wszystkich zmartwień Svena. Nie masz się na co uskarżać. Powinnaś być wdzięczna, że Torgny okazał się przyzwoity i ożenił się z tobą, kiedy oczekiwałaś Svantego. Wiem, co mówię. Siedziałyśmy wtedy w fabrycznym biurze, w tym samym pokoju. A jeżeli już zaczęłam, mogę ci jeszcze powiedzieć, że strasznie zważniałaś od tamtej pory. – Wskazała na butelki. – Myślisz, że nie rozumiem, podałaś, żeby mnie dopiec, bo u mnie gatunek nie był taki wytworny; a Krystyny Vannerman nie cierpisz, bo Torgny wolałby pewnie z nią się ożenić zamiast z tobą.

Umilkła i, odsapnąwszy, zuchwale spojrzała Wera w oczy.

– Droga Ethel – powiedziała Marianna – jak można tak grubiańsko...

Ethel parsknęła lekceważąco. Wera wstała, przycisnęła rękę do serca, jakby ją w nie ugodzono.

– Z Krystyną skończyło się – powiedziała słabym głosem – nim mnie poznał. I mogę zapewnić, że choć mieszkamy w sąsiedztwie, przez ostatnie dziesięć lat słowa z nią nie zamienił. Zresztą Marianna była dokładnie w takiej samej sytuacji. Ewald też się z Krystyną zadawał, póki Mariannie nie udało się go wyratować.

Marianna przytaknęła.

– To prawda, Ethel. I też się bezpowrotnie skończyło. Krystyna nie należy do kobiet umiejących utrzymać mężczyznę. Ewald też nigdy z nią nie rozmawia.

Wera okrążyła stoł, stanąwszy za Marianną położyła jej rękę na ramieniu i powiedziała patetycznie:

– Takie sprawy wzmocniają przyjaźń. A jak się Krystynie ułożyło? Jeszcze parę lat, a będzie starym babsztylem, osobą pod każdym względem przegraną. Sama widzisz: musi sprzedać dom. A co potem? Pięknie, że się stąd wyniesie, bo nie wyobrażam sobie, żeby tu mieszkała dalej po sprzedaniu. Tylko gdzie się podzieją ci biedni lokatorzy?

Czerwień na twarzy Ethel pogłębiała się, zwłaszcza że każde słowo zapijała łykiem to likieru, to kawy, na zmianę. Wreszcie powiedziała cicho, jakby do siebie tylko:

– Lokatorzy zostaną. I mylisz się, sądząc, że musiała sprzedać. Ma z pewnością więcej niż ty i Marianna razem. Spotkałam wczoraj żonę wicedyrektora banku, powiedziała mi w zaufaniu, że ktoś podjął u nich dwieście tysięcy i wyjął z sejfu kopertę, zawierającą duży pakiet akcji, co do tego nie ma wątpliwości, choć ile i jakich, wicedyrektor nie mówił, gdyż kupony odcinano pewnie w innej miejscowości.

– I to Krystyna? – wyszeptała Wera.

– Właśnie. Krystyna. A więc nie musiała sprzedawać. Może – podjęła Ethel po efektownej pauzie – chce coś kupić w zamian. Może gromadzi, ściąga całą gotówkę, żeby kupić na przykład fabrykę Braci Pihl albo aptekę. A dlaczego by nie jedno i drugie? Tego, że wasi tak poprawni małżonkowie nie podtrzymują znajomości z Krystyną, też nie bądźcie takie pewne. Krążyły plotki o niej i o Torgnym, a jeśli o Ewalda chodzi, składa mu podobno wizyty w aptece, po zamknięciu.

Wstała gwałtownie, aż szkło na tacy zadzwoniło groźnie, i odwróciwszy się odeszła zdecydowanym krokiem w kierunku wjazdu do garażu.

– Apteki nie kupi! – zdążyła krzyknąć za nią Marianna.

– Na to trzeba mieć kwalifikacje farmaceutyczne. Nie dostanie zezwolenia.

Ethel już była poza zasięgiem ich głosu.

Wera nieobecny wzrokiem patrzyła wprost przed siebie. Nie zauważyła nawet, że jamniczka, wytrącona z równowagi gwałtowną wymianą zdań, wskoczyła jej na kolana. Łaskocząc psa powiedziała półgłosem:

– A jeżeli to prawda, że on zamierza sprzedać? Nic nie wiem o interesach. Być może nie idą teraz dobrze, a ja właśnie zamierzałam pokazać mu to ogłoszenie.

Podeszła do hamaka i wyjęła ukryty pod poduszką numer miejscowych „Wiadomości”. Wyszukawszy właściwą stronę, podsunęła przyjaciółce.

– Chciałam, żeby zwrócił na to uwagę. Cudownie byłoby mieć coś takiego bliżej Gislaved – powiedziała. – Do Tylösand tak daleko, a ja nie lubię prowadzić samochodu.

W tejże chwili w głębi mieszkania zadzwonił telefon.

Wera, pozostawiwszy gazetę na kolanach Marianny, oddaliła się. I podczas gdy Marianna czytała tekst: „Do sprzedania (powód: zmiana planów życiowych) działka z domkiem pięknie położona nad jeziorem w pobliżu Gislaved. Za gotówkę lub w papierach wartościowych. Zwracać się do pana Bernta Halla, pośrednika sprzedaży nieruchomości, Gislaved. Tylko osobiście”, osłupiała Wera stała wciąż trzymając słuchawkę, w której usłyszała:

– Dzień dobry. Tu Krystyna Vannerman. Chcę cię tylko prosić, byś przekazała Torgny’emu wiadomość: teraz już serio. Dziś.

Krystyna odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

– Posłuchaj, Sjöman, a więc energia jest niezniszczalna, prawda?

Tomasz Vannerman urwał, nastąpiła męcząca chwila oczekiwania na odpowiedź twierdzącą, która wreszcie nastąpiła w formie niepewnego kiwnięcia głową. Wtedy ciągnął dalej:

– Cóż więc dzieje się z energią, gdy się nią posługujemy? Znika?

– Nie.

Znowu cisza. Tomasz stłumił westchnienie, nie chciał bowiem okazać, co myśli o zasobie wiedzy tego ucznia, gdyż długonogi chudzielec w środkowym rzędzie ławek, syn aptekarza, reprezentował wpływową warstwę społeczną. Byłoby czymś niestosownym, gdyby młody nauczyciel chemii, fizyki i matematyki dał mu do zrozumienia, że jest głupkiem. Tatuś aptekarz zasiadał w radzie szkolnej i był członkiem zarządu miejskiego. Jako domniemany ekspert w sprawach nauk przyrodniczych mógł się przyczynić do powiększenia zasobów laboratorium fizycznego, na czym Tomaszowi zależało. Aptekarz Sjöman też nie był człowiekiem o szerszych horyzontach. Tomasz go odwiedził i wspomniął o potrzebie oscylografu. Aptekarz mruzczał coś o obciążeniach, napomknął, że następnym razem będzie pewnie mowa o reaktorze jądrowym.

– No – ponaglił Tomasz – co się z nią dzieje?

Perra tylko nieco szybciej zaczął obracać długopis między palcami. Tomasz oderwał myśli od oscylografu i powiedział:

– Z energią Sjömana nic się nie dzieje, bo się nią nie posługuje. Pozostaje nienaruszona. Może Pihl zechce odpowiedzieć.

Dziewczęta zachichotały. Perra poruszył się niespokojnie, a Pihl powiedział:

– Przechodzi w energię cieplną albo w promieniowanie, albo w energię chemiczną czy coś takiego... w ruch...

Jedna z dziewcząt krzyknęła niemal:

– Energia może się zmieniać w materię i odwrotnie.

Poczerwieniła, oszołomiona ogromem swej wiedzy. Sjöman odwrócił się i powiedział:

– Wcale nie, nie można z niej nic zrobić.

– Właśnie, że można – pochyliła się ku niemu rozgniewana. – Nic nie może zwyczajnie zniknąć. Gdzie się podziewa benzyna? Staje się energią ruchu.

– Tak. Ale nie odwrotnie. Nie skropi się.

Nieduży okrągły chłopak wtrącił się do dysputy.

– A popatrz na rośliny. Czy one nie są materią? A ty sam: jesz i jedzenie przemienia się w energię, dlatego możesz gadać.

Perra parsknął śmiechem.

– Połowy tego nie zjadam co ty, cholerny pasibrzuchu.

Tomasz uderzył w stół.

– Dość już tego.

Skarcił spojrzeniem Perre, potem przesunął wzrokiem po całej klasie i uśmierzył powstały gwar. Dwadzieścia osiem par oczu skierowało się na niego, dwudziesta dziewięć para zamknęła się na znak, że porozumienie zostaje zerwane. Tomasz zamierzał zabrać się do wykładu, gdy zapukano i zajrzał woźny. Tomasz podszedł do niego.

– Telefon do pana profesora, przełączyłem do pokoju nauczycielskiego.

– Trzeba było powiedzieć, że mam lekcję.

– Nie pomogło. To międzymiastowa. Jakaś pani – i woźny mrugnął.

Tomasz wahał się przez parę sekund, usiłując wykalkulować, kto to może być, ale jakoś nie przychodziło mu na myśl żadne skojarzenie. Powiedział więc do woźnego: – Już idę – a do klasy:

– Przeczytajcie rozdział o akceleracji. Zaczyna się na siódmej stronie.

Znikając w korytarzu usłyszał głos Perry:

– Akceleracja! Co to racja, wiadomo...

Pokój nauczycielski był pusty. Zamknąwszy za sobą

drzwi Tomasz podszedł do stołu, na którym leżała odłożona słuchawka. Zdusił w popielniczce niedopałek, z którego unosiła się smużka dymu.

– Halo! Vannerman.

– Cześć, Tomasz.

Głos odrobinę rozwlekły, dość głęboki i zdecydowanie znajomy.

– Kto mówi?

– Gitt.

Zamknął oczy, zagryzł usta, zdjął okulary i przysunął sobie krzesło. Ona przez ten czas słowem się nie odezwała. Nabrał więc tchu i spytał:

– Czyż nie uzgodniliśmy, że z nami koniec? Czego sobie życzysz?

Roześmiała się niskim zmysłowym śmiechem, który nie był mu obojętny.

– Czego sobie życzysz? – powtórzył. – Bo chyba nie tylko usłyszeć mój głos przez telefon.

– O nie. Chcę się z tobą spotkać. Z pewnością zechcesz obejrzeć zdjęcia z urlopu. Zupełnie udane. Na przykład Colosseum.

– Wykluczone. O ile dobrze pamiętam, przeważnie ty ustawiałaś się przed obiektywem. Gitt. wolałbym raczej zapomnieć o wszystkim.

Znowu gruchający śmiech.

– Kochanie, takie zdjęcia ty robiłaś. Mówiąc, że to najpiękniejszy w Rzymie obiekt. Ja robiłam inne. I te powinieneś zobaczyć.

Tomasz wyprostował się. Po krótkiej i odpowiednio wyrazistej pauzie powiedział:

– Więc dobrze. Przyślij. Masz adres. Zwrócę je po obejrzeniu. A potem zechciej już więcej nie dzwonić. Będę ci wdzięczny. Mam teraz inne zainteresowania.

Znowu śmiech, w którym niepokojąco zabrzmiał jakiś ukryty ton, nie było to jednak rozgoryczenie.

- O, nie tak łatwo.
- Co nie tak łatwo?
- Pozbyć się mnie. Teraz, gdy jest, jak jest.
- A jakże jest?
- Mój drogi, nie pamiętasz, jak dobrze nam było? Nie możesz się mnie wyprzeć. Wiedz, że biedna ze mnie dziewczyna.

Rozważywszy to, co usłyszał, Tomasz poczuł się bardzo niepewnie. Gdy mu się wydało, że znowu panuje nad swym głosem, powiedział szorstko i odstręczająco:

- Chcesz mi wmówić, że spodziewasz się dziecka?
- Nic ci nie chcę wmówić. Zaznaczam tylko, że jestem biedną dziewczyną i że powinieneś się o mnie zatroszczyć.
- A więc szantaż.

Jej głośny śmiech spłynął mu w uszy jak roztopiony ołów. Scisnął słuchawkę, a palcami drugiej ręki nerwowo zabębnił w blat stołu.

- Nie wyciśniesz dużo. Mam niewiele pieniędzy.
- Twoja ciotka je ma. Pomów z nią.
- Z Krystyną? Nigdy! – krzyknął niemal. – Ty mała szantażystko! Jej w to nie mieszaj.
- Aż tak się jej boisz? To by się jej nie podobało, co? Mogłaby się postarać, żeby twój chudy portfel wychudł jeszcze bardziej. Dobrze mieć taką ciotkę. Pod pewnym względem. Dużo pieniędzy. Bezdzienna. Ma tylko bratanek. Nieprzyjemnie byłoby jej się narazić. O nie. Oczywiście nie wie, co nas łączyło we Włoszech. O tym jej nie opowiadałeś. Czy może jednak?

- Nie.
- Więc ja mogę to zrobić.

Tomasz przełknął ślinę. Usiłując zachować spokój i opamiętanie, rzekł:

- Posłuchaj. O cokolwiek chodzi, nie widzę powodu, żeby mieszać w to moją ciotkę. Powiedz, do czego zmierzasz. Zajmę się załatwieniem sprawy w najwłaściwszy

sposób. Krystyna nie ma z tym nic wspólnego. Ani jej pieniądze. Musisz to zrozumieć. A poza tym przyjmij do wiadomości, że jako ofiara szantażu przedstawiam małą wartość.

– Bo ich nie masz? Jej pieniędzy. – Znowu się roześmiała. – Cóż, trudno. Nie warto przedłużać tej rozmowy. Mogę cię jednak uspokoić. Nie spodziewam się dziecka. Chodzi o coś bardziej interesującego. – Urwała i dodała szybko: – Przyjadę do ciebie, może znowu zapłoniesz na mój widok. Wystarczy, żebyś mnie zobaczył. Jutro. Chyba nawet jutro rano.

Brzęknęła odłożona słuchawka.

– Halo, Git.

I on położył słuchawkę, sięgnął po okulary i ruszył do wyjścia. Wtedy dopiero zauważył Ingalill. Siedziała w jednym z głębokich foteli ustawionych w rogu pokoju. Siedziała tam przez cały czas, odwrócona do niego plecami, z czasopiśmem na kolanach. Nie odwracając się spytała:

– Któż to był, kochanie?

Stał jak wryty. Cóż za straszliwy pech sprawił, że znalazła się tu właśnie teraz.

– Nazywa się Gitt – powiedział.

– To słyszałam.

Zbliżył się niepewnie i pochylił, chcąc ją pocałować we włosy. Odsunęła się oczywiście.

– Wpierw trzeba skończyć z jednym, potem dopiero angażować się w drugie. Czy ona jest w ciąży?

– Nie wiem. Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że to szantaż.

Ingalill uśmiechnęła się ironicznie.

– Nie jesteś pewien. Ale istnieje możliwość. To nieco zmienia sytuację.

– Ani trochę. A poza tym to się zdarzyło, zanim ciebie poznałem. Spotkałem ją przypadkiem we Włoszech, a skończyłem wracając do kraju.

– Taki masz zwyczaj, zabawić się a potem kończyć?

Tomasz wzruszył ramionami.

– Nie – powiedział. – Nie trzymam się ścisłych reguł. Z tą dziewczyną trudno było wytrzymać. Dwa tygodnie wystarczyły, istne piekło, wciąż sceny. A kiedy się przekonałem, co się za tym kryje, miałem dość.

– Cóż takiego?

– To narkomanka.

Tomasz wyprostował się i stał ze zwieszonymi rękami, milcząc.

– W takim razie zrozumiałe, że chce z ciebie wyciągnąć trochę pieniędzy. – Głos Ingalill zabrzmiał trochę łagodniej. – Jeżeli jednak oczekuje dziecka, co zrobisz?

– Zaprzeczę. Nie może być moje. Kto się zajmuje biologią, zdaje sobie sprawę z konsekwencji; nie sądzę, że polegałem na jej zapewnieniach o ostrożności.

– A jeżeli przysięgnie, że to twoje? Może bardziej się jej to opłaci.

– Dobrowolnie się nie poddam. Chodzi także o ciebie. Zwłaszcza o ciebie.

Sięgnął po jej rękę, ale ona swoją cofnęła. Podjął więc dalej:

– Zresztą ona nie należy do typu wiarygodnych.

– Typ wiarygodny. Ciekawe, co jej szeptał do ucha, kiedy przy niej leżałeś.

Tomasz uniósł brwi. Potem obszedł stół, usiadł w fotelu naprzeciw i usiłował złowić jej spojrzenie. Błądziła wzrokiem po półkach z książkami, spoglądała w sufit, w podłogę, by wreszcie utkwic oczy w tygodniku, który trzymała na kolanach. Był to ostatni numer „Szwedzkiego Sportu”. Ingalill była nauczycielką gimnastyki.

– Kochanie – powiedział łagodnie – jesteś zazdrosna. A nie masz powodów. Cokolwiek się zdarzy, z Gitt skończone. Wiesz przecież, kiedy ją spotkałem.

– Mówiłeś, że we Włoszech.

– A ciebie kiedy spotkałem?

– Na konferencji przed rozpoczęciem roku szkolnego.

– I co się stało?

Usta jej drgnęły, uśmiech przemknął po twarzy, pozostał w oczach.

– Is... iskr... – podpowiadał.

– Iskra przeskoczyła.

– Właśnie. Tylko jedno mi od tej pory w głowie. Ty. Wszystko ustąpiło miejsca czemuś rozczochranemu, zadartonosemu, zdrowemu, rezolutnemu, gotowemu do śmiechu.

Wreszcie na niego spojrzała i dostrzegł, że już jest gotowa do uśmiechu.

– Co do mnie szepnąłeś, podczas gdy Fritze zagajał?

– Co powiedziałem?

– Że to i owo nas łączy i powinniśmy na to zwrócić uwagę.

– Właśnie. A ty spojrzałaś na mnie ze zdziwieniem. Co wtedy powiedziałem?

– Fizyka. A ja nie rozumiałam, co masz na myśli.

– Ale w chwilę później rozumiałaś i zaczęłaś tak chichotać, że wszyscy zebrani wytrzeszczyli na nas oczy. Co jeszcze powiedziałem?

– Że nie koniec na tym, że także biologia.

Wybuchnęła śmiechem i oburącz ująwszy jego głowę przyciągnęła go do siebie. Resztę wyrecytowała jednym tchem:

– Potem chciałeś iść ze mną do kina, w tydzień później zaprosiłeś się do mnie na herbatę, a w godzinę po herbacie połączyła nas... biologia.

Ujął jej rękę i poważnie patrząc w jej oczy powiedział:

– I dalej wszystko będzie nas łączyć, choć Gitt zamierza tu przyjechać. Choć chce się ze mną zobaczyć. Ze mną może się spotkać, ale z Krystyną nie.

Klara Nordin nerwowo spojrzała na wielki ścienny zegar, wskazujący już za kwadrans piątą, lecz panna Holm potrząsnęła głową i odzegnała się gestem ręki. W centralce zapaliło się światelko.

– Bracia Pihl, Tworzywa Sztuczne. Dzień dobry. Chwileczkę. – Przełączyła i dopiero potem zwróciła się wreszcie do Klary, która całą głowę wsunęła w okienko.

– Więc co?

– Czy widziałaś dyrektora? Muszę go złapać, nim wyjdzie. – Zamachała podłużną brązową kopertą z ekspresową nalepką.

– A nie ma go w gabinecie?

– Nie.

– Chwileczkę. – Panna Holm przerzuciła wtyczki. – Nie – powiedziała – niestety, dyrektora nie ma w pokoju. Czy mam poprosić, żeby zadzwonił?

Wyłączyła i znowu zwróciła się do Klary:

– Zabawne, jakaś kobieta dzwoni już trzeci raz, chce mówić z dyrektorem, a kiedy pytam, kogo mam zapowiedzieć, nie chce podać nazwiska. – Urwała znacząco. – Szukałaś go w fabryce? – spytała po chwili.

Klara cofnęła głowę i bezradnie rozejrzała się po korytarzu.

– Może i jest w fabryce.

Zdecydowała się. Pobiegnęła wzdłuż szeregu drzwi prowadzących do pokoi biurowych, zerkając to w prawo, to w lewo. Wreszcie dotarła do zamykających korytarz ciężkich i obitych dźwiękochłonną płytą podwoi. Nacisnęła obu rękami, bo trudno je było otworzyć. Buchnął na nią fabryczny hałas, syk pras, brzęk wagoników załadowanych pudłami i kartonami, dokładnie odmierzony, regularny stukot maszyn, wyrzucających plastikowe części i przesuwających je po ruchomej taśmie między rzędami dziewcząt w niebieskich fartuchach. Powietrze było nagrzane, przesycone trudnymi do ustalenia wyziewami.

Klara rozejrzała się i odkryła dyrektora daleko w głębi hali, rozmawiającego z majstrem. Właśnie gestykulując pochylił się nad jedną z maszyn, a majster przykucnął. Klara popędziła przez całą długość i zatrzymała się przy rozmawiających tak zadyszana, że aż przyłożyła rękę do piersi. Pihl, wskazując jakiś niewidoczny detal, powiedział: – Ten sworzeń musi być wyslizgany, proszę sprawdzić. – Potem zwrócił się do Klary.

Dyrektor był wysoki, chudy, żylasty. Kurz, unoszący się w hali fabrycznej, pokrył jego ubranie i włosy, które i tak były szare, przyprószone siwizną. Spojrzał pytająco na kierowniczkę księgowości. Klara podała list.

– Ekspres. Przyszedł godzinę temu. Zaadresowany na twoje nazwisko, pomyślałam, że może coś ważnego, że powinieneś go dostać przed piątą.

– Dobrze – powiedział Pihl wsuwając list do kieszeni.

Klara uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie otworzysz? Przecież to ekspres. I przeleżał godzinę. Może trzeba będzie jeszcze dziś odpowiedzieć czy coś zarządzić, jest sobota i wyjeżdżasz.

– Wiem, co to jest. Wszystko w porządku. Czy sprawozdanie za sierpień gotowe?

Klara spojrzała na niego niespokojnie. Nie miała chęci mówić o tym, bo to nie było przyjemne, ale musiała mieć jakieś decyzje, więc powiedziała:

– Eksport niezupełnie się zgadza. Kilku klientom za mało zafakturowaliśmy. Masz jakieś specjalne umowy czy...

Pihl przerwał jej niecierpliwym ruchem ręki.

– Wszystko jest w porządku. Wszystko w porządku – powtórzył i zacisnął usta. – Postaraj się przygotować sprawozdanie na początek tygodnia, bo w czwartek mamy posiedzenie zarządu. Bez żadnych komentarzy do poszczególnych faktur, bądź uprzejma pamiętać.

Klara przytaknęła.

– Jakaś pani trzy razy dzwoniła po południu przez centralę. Nie chciała podać nazwiska.

Pihl poruszył się niecierpliwie.

– Dlaczego mnie nie szukano przez megafon, cały czas tu byłem.

Odwrócił się i szybko poszedł w kierunku szklanego boksu majstra w rogu hali. Klara zauważyła, że starannie zamknął drzwi, zanim sięgnął po słuchawkę. Nakręcił numer. Rozmowa była krótka. Wyszedł i minął Klarę bez słowa, całkowicie pogrążony we własnych myślach. Klara przełknęła ślinę i zamknęła oczy na moment tak krótki, że można to było wziąć za zwykłe mrugnięcie, był to jednak wyraz wielkiego skrytego bólu. Klara była bezgranicznie zakochana w Torgny'm Pihlu, zaś do jego żony czuła nienawiść, co prawda na odległość tylko. To znaczy gdy ją podglądała, poruszając się za jedwabnymi firankami bawialni w oddzielonej bżowym żywoplotem willi. Klara wynajmowała pokój na pierwszym piętrze domu Krystyny Vannerman; od czasu do czasu, zgasiwszy światło, stawała w oknie i patrzyła.

Ocknęła się z zamyślenia, gdyż wycie syreny fabrycznej oznajmiło koniec pracy; dla większości oznaczało to początek pięknego wrześnieowego weekendu. Wracając wolno do biura, myślała: Wiedział, kto dzwonił, wiedział, kim jest ta kobieta. Dobry Boże, daj, żebym nie musiała nienawidzić jeszcze jednej.

Rozdział drugi

Piątek, 12 września. Późne popołudnie. Wieczor

Tomasz skończył lekcje i zamierzał właśnie wyjść, gdy zatrzymał go przedstawiciel firmy sprzedającej wyposaże-

nie do laboratoriów szkolnych. Fritze sprowokował go do pozostania mówiąc:

– Tylko ty znasz się na tym i potrafisz ocenić, co się przyda. – Potem zmienił temat: – Będiesz oczywiście u Krystyny?

Tomasz spojrział pytająco.

– Mamy się u niej spotkać o szóstej. Wszyscy. Nie zostałeś zawiadomiony?

– Nie.

– No więc teraz się dowiadujesz.

Zabrzmiało to tak, jakby Fritze mówił w imieniu Krystyny, co Tomasza rozdrażniło. Kiwnął tylko głową i poszedł za sprzedawcą. Gdy się z nim uporał, było już po szóstej. Wskoczył na rower i popedałował do domu. Szybko przejechał długi most, łączący zachodnią, wyżej położoną część miasteczka z dzielnicą znajdującą się na wschodnim brzegu rzeki. Skręcił na Östra Strandvägen i już finiszował mijając biało otynkowany dom aptekarza.

Jedno z okien na piętrze było otwarte. Wydobywające się stamtąd dźwięki pianina świadczyły, że nie wirtuoz ćwiczy. Tomasz domyślał się, że to Ewa, córka aptekarza, mały rudzielec, noszący zawsze we włosach kokardy, codziennie innego koloru; zaraz jednak dostrzegł, że Ewa stoi w oknie. A więc to Perra. Sam aptekarz grabił ścieżkę w ogrodzie. Jego żona, przykucnięta nad różaną rabatą, rozpylała środek owadobójczy. Tomasz uklonił się, aptekarz odwzajemnił ukłon chłodno i z godnością. Nagle jakąś myślą tknięty, chwycił grabie oburącz i uniósłszy je niby semafor sygnalizujący „stop” ruszył ku furtce. Tomasz zahamował, zsiadł z roweru i czekał. Sjöman dobiegł zdyszany. Pokonanie odległości dwudziestu metrów w przyspieszonym tempie mocno dało mu się we znaki. Oparł się na grabiach. Rozpięta koszula ukazywała różową wydelikaconą skórę, chuda szyja była o ton ciemniejsza. Zdecydowanie cienką szyję wieńczyła głowa bardziej im-

ponująca, o mocnej, kwadratowej, świadczącej o dobrych obiadkach twarzy. Odzyskawszy równomierny oddech aptekarz rzekł:

– Pozwoli pan, profesorze, chciałbym przekazać kilka uwag w związku z tym, że to pan zajmuje się edukacją mego syna, jeśli chodzi o nauki przyrodnicze. Per to natura bardzo wrażliwa.

Tomasz skinął głową, a słysząc jednocześnie w „Dla Elizy” akord uderzony fałszywie, ale z mocą, pomyślał: cóż, może to jest właśnie wyraz wrażliwości.

– Ja osobiście – ciągnął dalej aptekarz – zawsze byłem zdania, że taktowne postępowanie tak w stosunku do starszych, jak i młodzieży to zasadnicza podstawa miłych układów międzyludzkich. Staram się wszczepić tę zasadę moim dzieciom.

Tomasz znowu skinął głową i uśmiechnął się wieloznacznie, gdyż otwarte okno pozwoliło mu odnotować dowód przerażającego braku taktu młodego pianisty.

– Sądząc z tego, co wiem od syna – ciągnął dalej aptekarz – wykazuje pan pewne braki pod tym względem. Dziś w obecności całej klasy wyrażał się pan o nim ironicznie. Miało to coś wspólnego z energią.

Tomasz przypomniał sobie.

– A tak, tak. Chodziło o energię i materię. Per niezupełnie jasno zdawał sobie sprawę ze współzależności tych pojęć.

– Drogi profesorze, nie może pan chyba wymagać, żeby tacy chłopcy rozumieli rzeczy, nad którymi nawet Einstein musiał dobrych kilka lat pracować. Tego chyba nie ma w programie.

– Rzeczywiście, tak się na ogół uważa od czasu, gdy Einstein wykonał najcięższą robotę. Możliwe jednak, że syn pana – powiedział Tomasz z naciskiem – humanistycznie jest lepiej przygotowany, bo jeśli chodzi o nauki ścisłe... przy teoretycznym jedynie rozumowaniu... nasze labora-

torium fizyczne nie jest dostatecznie wyposażone, by można było praktycznie zademonstrować uczniom założenia naukowe.

– No tak, w ten sposób...

Spojrzenie Sjömana stało się czujne, a Tomasz ciągnął dalej:

– Humanistycznie Per wydaje się znacznie bardziej zaawansowany, „cholerny pasibrzuchu”...

– Co proszę! – aptekarz otrząsnął się z zamyślenia.

Marianna Sjöman też zareagowała: przestała opryskiwać róże.

– Powtórzyłem określenie użyte przez pańskiego syna podczas tej samej lekcji – Tomasz uśmiechnął się złośliwie.

– „Cholerny pasibrzuchu” wskazuje na duży zapas słów i umiejętność klasyfikowania. Przypuszczam, że z języka ojczystego miewa oceny lepsze niż z fizyki.

Aptekarz spojrzał na niego chmurno.

– Nie – stwierdził. – Niestety, dość przeciętne. Jego bardziej obchodzi wędkarstwo i futbol. Zastanawiałem się właśnie, czy jakieś nowe aparaty do laboratorium poprawiłyby sytuację.

– Z pewnością – przytaknął Tomasz z westchnieniem – ale nowe wyposażenie kosztuje.

Nastąpiła długa przerwa. Aptekarz zapatrzył się znów w dal. Wreszcie powiedział, a raczej mruknął pod nosem:

– Przedstawiciele władz miejskich powinni rozważyć tę sprawę. W cóż mamy inwestować, jeśli nie w młodzież. Wykształcenie... zmiana dwójek na trójki, trójek na czwórki... Trzeba to brać pod uwagę, teraz, gdy chodzi o przyjęcie do gimnazjum...

Jakby zupełnie zapominając o obecności Tomasza, odwrócił się i odszedł w głąb ogrodu, grabie ciągnął za sobą jak koń bronę.

Tomasz chichotał wewnątrz. Zdumiewające, rozwój

wypadków może być taki, że nie istniejąca energia Perry Sjömana zmieni się w namacalne/dobra materialne, wzbogacające gabinet fizyczny.

Właśnie przerzucił nogę przez ramę roweru, by ruszyć, gdy pani Sjöman dźwignęła się znad róż i podeszła do ogrodzenia.

– Przepraszam, panie profesorze, dziś właśnie słyszałam, że panna Vannerman sprzedała swój dom. Czy wie pan, kto będzie naszym sąsiadem?

Tomasz szeroko otworzył oczy.

– Sprzedała dom? Pojęcia o tym nie mam.

Spojrzała niedowierzająco.

– A to dziwne. Mówiono mi, że zrobiła to, żeby zgromadzić gotówkę. – Wychyliwszy się za płot dodała poufnie: – Mówiono też, że zamierza kupić fabrykę Pihlów. Im, jak wiadomo, kiepsko jakoś idzie ostatnio. – Westchnęła, choć wcale nie wyglądała na zmartwioną. – Święta prawda, że sam Pan Bóg troszczy się o to, by żadne drzewo nie wyrosło ponad inne.

Tomasz wszedł i natychmiast usłyszał gwar dochodzący z salonu. Głosy Klary, Bengta Fritzego, Brora Anderssona i Krystyny oczywiście. Stawiając teczkę w hallu, wyczuł atmosferę niepokoju. W hallu stała już jedna teczka. A na czelej mały neseser z jasnej skóry. Do rączki przyczepiony był futerał na wizytówkę. Pochylił się i przeczytał: Krystyna Vannerman. Bez adresu. Zupełnie nowa. pomyślał i elegancka. Krystyna ma dobry gust.

Krystyna nie miała zwyczaju zapraszać do siebie lokatorów, wolała utrzymywać dystans. Świadczył o tym między innymi, fakt, że lokatorzy mogli korzystać tylko z tylnego wejścia, prowadzącego bezpośrednio na piętro, które zajmowali. Wejście frontowe i schody, prowadzące z hallu na górę, były dla nich niedostępne. Schody oddzie-

lały od hallu białe, do połowy oszklone drzwi, zawsze zamknięte na klucz. Tomasz wiedział jednak, że czasami je otwierano. Robiła to sama Krystyna, ostatnio nawet dość często. I dla innych lokatorów nie było tajemnicą, że w nocy składa Krystynie wizyty dyrektor Fritze.

Tomasz przyczesał włosy przed lustrem i wszedł. Salon był duży, a robił wrażenie jeszcze większego, gdyż od hallu odgradzała go tylko szeroka framuga i oba te pomieszczenia pokrywała efektowna jasnoniebieska wykładzina. Światło niewidocznych lamp wisiało pod sufitem niby rozpięty jasny parasol, zasłony były zaciągnięte. Pod jedną z dłuższych ścian stała wygodna kanapa i trzy fotele kryte skórą w kolorze stonowanej czerwieni. Na lewo drzwi wiodące do sypialni Krystyny, na prawo – do biblioteki. Na przeciwległej do okien krótszej ścianie też były drzwi. Prowadziły do oddzielnego apartamenciku, składającego się z pokoju dziennego, sypialni i podręcznej kuchenki.

Gdy wszedł, Klara Nordin urwała w pół zdania i zapanowała cisza. Bengt Fritze zapalił papierosa, a Bror Andersson pociągnął łyczek ze złotó mieniącego się kieliszka. Tomasz natychmiast dostrzegł na stoliku butelkę whisky i otwarte pudełko czekoladek. Krystyna zaprosiła go gestem. Stała na środku pokoju. Włosy jej lśniły. Krotka, dobrze skrojona sukienka w kolorze śmietanki korzystnie uwydatniała opaleniznę. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Tomasz zagaił:

– Mówiono mi, że sprzedałaś dom, plotka czy...

– To prawda – przerwała, unikając jego spojrzenia.

– Właśnie się o tym dowiedzieliśmy – szybko wtrąciła Klara Nordin. – Choć można by przepuszczać, że powinniśmy być powiadomieni wcześniej, a nie postawieni przez faktem dokonany. Przecież Bóg świadkiem, nas to również obchodzi i to bardzo. Prawda, Bengt, Bror?

Powiodła wzrokiem po zagadniętych. Bror Andersson powściągliwie przytaknął, Bengt Fritze nie zareagował.

stało się to poza jego plecami. W każdym razie przyjemniej byłoby usłyszeć tę informację od Krystyny niż do aptekarki. – Czy to znaczy, że otrzymujemy wymówienie? – dodał.

– Nie – zaprzeczyła Krystyna z gestem zniecierpliwienia. – W umowie wyraźnie zostało zastrzeżone, że kto zechce, może mieszkać dalej przy nie zmienionych warunkach najmu. A poza tym przejęcie nie nastąpi przed początkiem października, więc jeśli ktoś zechce się wypróżnić, będzie mieć dość czasu na znalezienie odpowiedniego locum. Co dla mnie jest zupełnie obojętne.

– Pytałem, komu sprzedałaś.

– Czy to ma znaczenie? – odpowiedziała Krystyna spoglądając na niego uważnie.

– Oczywiście – włączyła się Klara – przecież to właśnie zadecyduje o tym, czy się zechce pozostać, czy nie. Prawda? Bror, Bengt... – szukała spojrzeniem potwierdzenia.

Bror Andersson podniósł do ust kieliszek, Fritze wydmuchnął dym, nie zdradzając zainteresowania.

– Mogę tylko powiedzieć – wyjaśniła Krystyna – że dom prawdopodobnie zostanie wykorzystany na pensjonat. Wzruszyła ramionami. – Świetnie się na to nadaje. Dobry rozkład pokoi, ten salon można zamienić na śliczną jadalnię.

Mina Klary Nordin wyrażała najwyższe niezadowolenie.

– Pensjonat! Wielki Boże! Kto wie, jacy ludzie tu zamieszkają, jeżeli to rzeczywiście będzie pensjonat.

– A zechcesz może ujawnić, dlaczego ten dom sprzedałaś? – spytał Tomasz. – Potrzebujesz pieniędzy? To mi jakoś nigdy na myśl nie przyszło.

– Co ty możesz o tym wiedzieć – powiedziała Krystyna z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. – Co wiesz o moim

planach? Prędzej czy później dochodzi się w życiu do momentu, gdy chce się przekreślić wszystko, co było. Wyrwać się, zacząć na nowo. Najmądrzej jest wtedy zgromadzić swe zasoby, zgarnąć wszystko razem. Wiedzieć, ile się ma, jeśli się chce w coś zainwestować.

Uśmiechnęła się z pewnym wysiłkiem.

– Zlikwidowałam książeczki oszczędnościowe. Sprzedałam część papierów wartościowych. Trochę się ostatnio nazbierało.

Tomasz zacisnął zęby.

– Z tego samego źródła, z którego dowiedziałem się o sprzedaży domu, wiem, że zastanawiasz się nad kupnem wytwórni tworzyw sztucznych Braci Pihl, która ma być jakoby sprzedana, że na to potrzebne ci pieniądze.

Siedząca w rogu kanapy Klara wyprostowała się. Doznała olśnienia, jakby błyskawica rozjaśniła jej w głowie. Z szybkością elektronicznego kalkulatora, którym posługiwała się w biurze, skojarzyła kilka dziwnych zagranicznych spraw, kilka szorstkich słów, że wszystko jest w porządku, telefony od jakiejś tajemniczej kobiety. Co Torgny zamierza? Bolesnie dotknięta, na chwilę zacięła powieki, by zebrać siły. Kiedy fala podejrzeń i poszlak opadła, otworzyła oczy i powiedziała chłodno, z opanowaniem:

– O ile mnie wiadomo, w Gislaved nie ma fabryki do sprzedania. A już na pewno nie fabryka Braci Pihl. A uważam się za dobrze poinformowaną, bo ja właśnie odpowiadam za rachunkowość w tej firmie. – Wstała i sięgając po płaską czarną torebkę zwróciła się do Krystyny: – Cóż, nie ma chyba nic więcej do dodania. A więc, jak mówiłaś, pierwszego października.

Wyszła, ściskając torebkę pod pachą.

Bror Andersson także wstał, opróżnił kieliszek i z roztańgnięciem, na nikogo nie patrząc, mruknął raczej sam do siebie:

– Niełatwo jest staremu człowiekowi wszystko prze-

kreślić, wyrwać z korzeniami. Myślę, droga Krystyno, że zostanę, jeśli wolno. Nie będziemy się spierać.

Przesunął po czole białą, chudą ręką i zrobiwszy w tył zwrot wyszedł. Szyby zadźwięczały w oddzielających hall od schodów drzwiach, gdy je otwierał i oczywiście nie zamknął za sobą.

Krystyna sięgnęła po pudełko z czekoladkami, poczęstowała Bengta i Tomasza.

– Weźcie, proszę – powiedziała. – Jak to ładnie ze strony Bengta, że przyniósł mi bombonierkę, choć miałam do zakomunikowania tak przykrą wiadomość. Chciał, żeby ją schowała wyłącznie dla siebie, ale części mogę się przecież wyrzec.

Tomasz podziękował, Fritze wziął pralinkę.

– No więc zostało powiedziane – ciągnęła dalej Krystyna. – Że też Klara tak się tym przejęła. Zobacysz – uśmiechnęła się do Fritzego – wieczorem karta jej nie będzie szła.

Fritze także odszedł, usprawiedliwiając się, że musi cześć, nim ugrzęźnie w mało interesujących rozgrywkach brydżowych. Trójka lokatorów z piętra w piątkowe wieczory grywała w brydża z dziadkiem.

Tomasz został z ciotką sam. Ciotka, pomyślał. Ma czterdzieści pięć lat, ale wygląda na mniej. Czasem wydawał mu się piękna. Bogata. Odziedziczyła po ojcu ten dom i mnóstwo akcji. Jego ojciec też odziedziczył akcje, tylko okazały się bezwartościowe. Gdy Tomasz miał dwa lata Krystyna się nim zaopiekowała, choć sama miała zaledwie dwadzieścia i musiała walczyć o swoje prawa z urzędowym opiekunem. Tomasz wsunął rękę do kieszeni portfel, by wyszukać schowane w nim stare zdjęcie amatorskie. Młoda dziewczyna z gołą głową, w kraciastym kraciurze i chłopczyk w białej koszulce, z nastroszoną czupryną. Krystyna i on sam. Czasami odczuwał potrzebę oglądania tego zdjęcia.

– A więc opuszczasz ten stary dom – powiedział w zamysleniu. – Czy to znaczy, że wyprowadzasz się w ogóle z Gislaved?

Przytaknęła niezbyt pewnie.

– I dokąd się przeniesiesz?

– To nie ma znaczenia. Słyszałeś przecież: zacznę od nowa.

– Dlaczego?

Po twarzy Krystyny przemknął cień.

– To się wiąże z przeszłością – powiedziała cicho.

– A więc nie z planami na przyszłość?

– Co masz na myśli?

– Bengta Fritzego. Wydajesz się nim bardzo zajęta.

– Zajęta? Cóż z tego. – Uśmiechnęła się, jakby ją to rozbawiło, czego Tomasz nie omieszkał zauważyć.

– Nie. On nie ma nic wspólnego z moją decyzją. Jak powiedziałam, każdy musi w końcu ponieść konsekwencje.

Tomaszowi nagle przypomniała się rozmowa z Gitt.

– Konsekwencje – powtórzył. – Muszę ci powiedzieć o czymś nieprzyjemnym. Miałem dziś telefon od osoby, którą poznałem we Włoszech. Przeżyliśmy małą przygodę... – urwał.

Krystyna zwróciła się ku niemu.

– I są konsekwencje. To masz na myśli?

– Nie powiedziała tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że chce w jakiś sposób wykorzystać sytuację, to znaczy moją sytuację, a ściślej mówiąc także twoją, chce wymusić pieniądze, bo zdarzyło mi się wspomnieć raz, że posiadasz co nieco z dóbr tego świata. Pokazywałem jej także fotografię, to stare zdjęcie. Ona... – zawahał się, umilkł.

– Ona – powtórzyła Krystyna. – Cóż ona? Czy nie jest to sprawa tylko między nią a tobą?

– Oczywiście, przyjedzie tu.

– Ach, tak. Jeśli chcesz, może zamieszkać na górze

w gościnnym pokoju, chyba że wolisz, żeby zatrzymała się w hotelu.

– W ogóle nie chcę się z nią spotkać, jeżeli tylko się uda. Nazywa się Gitt.

– Gitt. I zgłasza do ciebie pretensje. A ty chciałbyś się jakoś wykręcić. Ludzie różnie reagują, gdy zostaną nagle postawieni przed czymś nieprzyjemnym. Próbują uciec. Nie chcą walczyć. Nie chcą wyrównywać rachunków. – Krystyna roześmiała się głośno i dźwięcznie, odchylając przy tym głowę, aż włosy dotknęły ramion. Urwała jednak szybko i powiedziała:

– No cóż, mój drogi, mam jeszcze sporo do załatwienia. Trzeba coś zjeść. Wykąpać się, przebrać. Dziś piątek, idę na koncert. Masz telewizor do wyłącznej dyspozycji na cały wieczór, oczywiście jeżeli nie zaplanowałeś czegoś innego z nauczycielką gimnastyki.

Spojrzał na Krystynę badawczo, bo zapamiętał ten niepokojący cień, który pojawił się w jej oczach.

– Ona przyjdzie, ale później – powiedział. – Wyjaśnij mi jednak, co miałaś na myśli, mówiąc o konsekwencjach.

Po chwili wahania Krystyna podeszła do stojącej w rogu przy oknie sekretery, opuściła klapę. Z jednej z szufladek wyjęła klucz, otworzyła nim drugą szufladkę i wyszukawszy w niej jakiś świstek podała mu bez słowa. Ze zdumieniem przeczytał: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.

Przeczytał kilka razy, roześmiał się, a potem zmieszkał, gdyż zaskoczył go wyraz powagi na twarzy Krystyny.

– Boże wielki – powiedział – cóż to za niedorzeczność?

– Ja to rozumiem – odpowiedziała. – To są właśnie konsekwencje. – Urwała i żywo do niego podszedłszy położyła mu rękę na ramieniu. – Nie przejmuj się tym – powiedziała. – Mam nadzieję, że zdążę się stąd wynieść, zanim się to stanie.

– A co ma się stać?

– To – wskazała karteluszek, który trzymał.

– Kiedy to dostałaś? Ten list? Co to właściwie jest?

– Przyszło pocztą przed dwoma tygodniami. Wtedy właśnie zdecydowałam się sprzedać wszystko i wyjechać. Na zawsze.

Te słowa podziały jak grom z jasnego nieba.

Nastąpiła długa pauza. Krystyna wciąż trzymała go za ramię i wpatrywała się w niego, jakby oczekując pomocy, a on odczuł chęć wyzwolenia się z nastroju niesamowitości. Wreszcie cofnęła rękę, zabrała ze stołu pudełko z czekoladkami i, już stojąc w drzwiach, powiedziała:

– Jeżeli planujesz na jutro jakąś wycieczkę, nie możesz, niestety, liczyć na samochód, zostawiłam go do przeglądu, będzie gotów w przyszłym tygodniu. Możesz go odebrać. To znaczy będzie twój, później, kiedy ja wyjadę.

Pierwszy asystent policji kryminalnej Bertil Durell stał przed lustrem w pokoju hotelowym i wiązał wokół swej krótkiej szyi niebywale kolorowy krawat. Niby egzotyczny wąż wiła się między jego pulchnymi palcami wstęga lśniąca szmaragdem, purpurą i oranżem, będąca śmiałym wyzwaniem wobec niebieskiej, niezbyt starannie wsuniętej w spodnie koszuli i istnym szokiem kolorystycznym w zestawieniu z marchwianorudymi włosami, piegami i wodnistym błękitem oczu. Przy skromnym biurku na oparciu krzesła wisiała marynarka Durella. Granatowa w dwóch odcieniach: jaśniejsze paseczki na ciemnym tle, z szerokimi klapami i wystającą z górnej kieszonki złocistobrazową chusteczką. Para bucików koloru świeżego wołowego mięsa czekała na możliwość pięknego zaprezentowania się w zestawieniu z pomarańczowymi skarpetkami. Chwilowo stopa w pomarańczowej skarpetce wybijała takt, gdyż Durell zaciągając węzeł śpiewał pełnym, dźwięcznym głosem, ślał w przestrzeń skargę sternika z pierwszego aktu

„Latającego Holendra”: „...wkrótce na nowo poniesiesz mój kil, opór twój złamię, lecz męka wieczysta zostanie”. Pod wpływem nieprzepartej chęci całkowitego wczucia się w rolę Durell zamknął oczy, klasycznym gestem operowych tenorów wyciągnął rękę i zrobił półobrót w kierunku Melandera, szefa policji okręgu Värnamo. Melander natychmiast przystanął, przerywając wędrówkę po pokoju, a Durell wytrwał w bohaterskiej pozie do końca arii, potem opuścił rękę, otworzył oczy.

– Aha, jeszcze buciki – powiedział.

Nie dbając o dyskretne uznanie Melandera usiadł na łóżku, nie bez trudu schylił się i sięgnął po prawy bucik.

– Przeczytaj mi program – powiedział.

Szef wyciągnął z kieszeni wycinek z gazety i odczytał:

– Najpierw Dworzaka „Karnawał”, uwertura, opus 92.

Durell kiwnął głową i uformował wargi w ryjek, usiłując przypomnieć sobie pierwszy takt, ale pamięć zawiodła, ryjek się rozciągnął.

– Co potem?

– Mendelssohn, symfonia nr 3.

– A prawda, szkocka, a-moll. – Zawiązał sznurowadło na kokardkę, wstał i sięgnął po marynarkę. – I cieszy mnie, że człowiek spragniony dobrej muzyki może ugasić pragnienie w tej smolandzkiej oazie. – Obciągając ubranie na okrągłościach swej figury, dodał: – Cieszy mnie też, że zechciałeś mi poświęcić weekend. Bo jak by nie było... posterunek w Gislaved jest chyba zamknięty o tej porze.

– Do poniedziałku, chyba że obserwujesz jakąś zbrodnię, wtedy możemy tu otworzyć kwaterę główną.

– Oby się nic nie stało – oburącz odzęgnął się Durell. – Czy jestem ubrany odpowiednio uroczyście, by uczestniczyć w piątkowym koncercie orkiestry związkowej?

Melander się roześmiał, a Durell sięgnął po słuchawkę, bo właśnie zadzwonił telefon.

– Oczywiście – powiedział Melander lustrując kolege

Jednocześnie pomyślał, że człowiek tak się ubierający, mimo wielkich zdolności detektywistycznych, nie mógłby pracować w tajnej policji.

– Do ciebie – powiedział Durell, oddał słuchawkę Melanderowi, spojrzął na zegarek i stwierdził, że najwyższy już czas wyjść, jeżeli chce się zdobyć miejsca zapewniające odpowiednie warunki akustyczne. Twarz Melandera nagle spoważniała.

– Do diabła – mruknął – tak, tak, podeślijcie samochód, zabierzecie mnie sprzed hotelu.

Odłożył słuchawkę i współczująco spojrzął na Durella, który czekał z rękami w kieszeniach.

– Obawiam się, że na koncert mocno się spóźnimy – powiedział. – Mówiliśmy o zabójstwie. Tym razem samobójstwo. Jakaś kobieta zamknęła się w łazience i wszystko wskazuje na to, że odebrała sobie życie.

W niespełna pięć minut później Melander i Durell, dowiezieni policyjnym wozem na pełnym gazie, wysiedli po drugiej stronie rzeki, przed wejściem do dużej, na brunatno pomalowanej piętrowej willi. Szybko ruszyli żwirowaną ścieżką – wysoki, ciemno ubrany szef miejscowej policji przodem, kolega z państwowej policji kryminalnej tuż za nim. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte, na wiodących do nich schodkach oczekiwała wychudzona, szpakowata czterdziestoparoletnia kobieta. Z jej kancias-tej twarzy biła panika.

– Tędy! – krzyknęła, nieopanowanie wymachując rękami. – Coś strasznego się stało!

Durell przyspieszył kroku, wysunął się przed Melandera. Zrobił to bezwiednie – szybko, pierwszy na miejscu, miał to we krwi. Wbiegając po schodkach już ogarniał wzrokiem i notował w pamięci wnętrze oświetlonego hallu. Mnóstwo ludzi tłoczyło się tam pod zamkniętymi

drzwiami, w które walił kulkami jakiś młody blondyn w okularach, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Obok niego starszy jegomość dobrze po sześćdziesiątce, zupełnie wytracony z równowagi, ściskający pustą szklaneczkę pełną whisky, przywiedła pełna blondynka w szlafroku i w papilotach i chłopak, piętnastoletni chyba. I wreszcie trzymający się nieco w głębi ciemnowłosey, lśniący od pomady gentleman, ten, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy, o co mu robi, nieprzerwanie tasował talię kart.

Gdy znalazł się wśród zgromadzonych, a Melander tuż za nim, młodzieniec w okularach przestał walić w drzwi i zwracając się do Melandera powiedział:

– Moja ciotka... nie możemy otworzyć drzwi. Rygiel od wewnątrz jest opuszczony. Ona... ona się zastrzeliła.

Durell uświadomił sobie, że w łazience leje się woda. Rzucił okiem na drzwi i stwierdził, że nie ma w nich zamka, tylko mosiężna obrotowa gałka otwierająca drzwi do wewnątrz.

– Proszę przekręcić gałkę i przytrzymać – powiedział. Cofnął się o dwa metry i całą siłą rzucił na drzwi, uderzając w nie bokiem; drzwi drgnęły odrobinę, ale nie ustąpiły. Słychać było szum wody. Po sekundzie niezdecydowanej rozglądania się spytał:

– Jest tu jakiś młotek, łom czy siekiera?

Natychmiast znalazła się siekiera na krótkim trzonku.

– Na jakiej wysokości jest rygiel? Na którą stronę opada?

Młodzieniec w okularach wskazał miejsce na prawo od futryny. Durell wbił siekierę nieco powyżej. Drzewo za-trzeszczało, posypały się drzazgi, rąbał dalej i gdy otwór był dostatecznie duży, by mógł wsunąć rękę i nacisnąć sprężynkę, utrzymującą rygiel w położeniu poziomym, rzucił siekierę i drugą ręką przekręcił gałkę; udało mu się osiągnąć szparę, wystarczającą do zmieszczenia dłoni i podbicia rygla. Drzwi były otwarte. Po pierwsze, zoba-

czył zalaną posadzkę, po drugie, lustro w głębi, sięgające od podłogi do sufitu. W lustrze swoje własne odbicie na tle bladych przerażonych twarzy usiłujących zajrzeć do środka. Po trzecie, wannę wypełnioną wodą, która już przelała się za brzeg i wciąż spływała z kranów.

Melander wcisnął się za nim. Brodząc ostrożnie podszedł do wanny i zakręcił krany. Potem wyciągnął zatyczkę. Pluskanie i szum ustąpiły miejsca syczącemu bulgota-niu, wanna powoli zaczęła się opróżniać.

Rozejrzawszy się Durell stwierdził, że łazienka nie ma okna ani żadnych innych drzwi oprócz tych, które właśnie mocno pokieroszował. Uważnie obejrzawszy wannę, wyszedł i zwrócił się do młodego człowieka w rozpiętej koszuli:

– Nazywam się Durell, asystent z kryminalnej. A pan kim jest?

– Tomasz Vannerman. Tam leży moja ciotka. Czy jest martwa?

Durell popatrzył na niego zagadkowo, wzrokiem zamglonym jak letnie niebo, kiedy przeciągają po nim obłoki.

– Nie, pańska ciotka nie jest martwa. W ogóle jej tam nie ma. I śladu nikogo innego. Ani żywego, ani martwego.

I miał rację, bo akurat i Melander wyszedł z łazienki.

Rozdział trzeci

Piątek, 12 września. Wieczór.

Przenieśli się do salonu. Durell wyłączył telewizor, zdążywszy przedtem usłyszeć, że nad południową Szwecją ciśnienie spada, co zapowiada mgły i przelotne deszcze. Zachowując się jak u siebie w domu, wypytał obecnych,

jak się nazywają i w jakim pozostają do siebie stosunku potem poprosił, by zajęli miejsca. Sam nie usiadł. Melander szepnąwszy mu dyskretnie w przejściu: – Zajmij się tym, a ja posłucham – stanął przy oknie na twarzowym tle mieniących się złotem i granatem zasłon.

Durell przesunął wzrokiem po obecnych. Miny miały takie, jakby oczekiwali, że to on udzieli im odpowiedzi na pytania, a nie odwrotnie. Ruszył więc do ataku, zwracając się do Tomasza:

– Może więc usłyszymy, co się właściwie stało. Popłoch zdaje się zupełnie nieuzasadniony.

Tomasz przełknął ślinę. Zmieszanie i podniecenie opały, zachowane w pamięci obrazy rozjaśniły się dzięki temu i połączyły w całość. Dostrzegał je teraz tak, jak kto z zewnątrz, jak widz przyglądający się sztuce rozgrywanej na scenie.

– Krystyna miała iść na koncert. Tutejsza orkiestra związkowa daje koncert co piątek. Poszła do sypialni przebrać się. Ja siedziałem tu, dokładnie w tym samym miejscu, a to ważne, o tym trzeba wiedzieć ze względu na ciąg dalszy. A więc w tym właśnie fotelu... Włączyłem telewizor. Wiadomości to program, którego nigdy nie przepuszczam. Jakiś reportaż, muzyka. Drzwi sypialni były otwarte, Krystyna rozmawiała ze mną, potem przeszła tędy w szlafroku do łazienki. Zresztą powiedziała już wcześniej, że chce wziąć kąpiel. Przeprowadziłem ją oczywiście, dlatego ważne jest, gdzie siedziałem. Stąd widziałem ją przez cały czas, widziałem, że weszła do łazienki i zamknęła się.

Umilkł. Durell nie ponaglał go, tylko przyjaznym i zachęcającym ruchem głowy dał znak, że zrozumiał, i Tomasz podjął opowiadanie:

– Nim zamknęła za sobą drzwi łazienki, stała chwilę przed lustrem, można się w nim obejrzeć od stóp do głów zwróciwszy się do mnie powiedziała: Wiesz, patrząc w to

lustro za każdym razem mam ochotę iść dalej i połączyć się z moim odbiciem, zabawne. I roześmiała się.

– A więc była zadowolona, pogodna i naturalna? – przerwał Durell.

– Była taka jak zawsze – stwierdził Tomasz. – To znaczy inna niż wcześniej nieco dzisiejszego wieczoru. Może pan pozwoli, że wrócę do tego później.

– Okay. Proszę dalej.

– Wiadomości się spóźniały, więc sięgnąłem po gazetę, przerzuciłem kilka stron. – Wskazał leżące na podłodze „Wiadomości Dnia”. – Słyszałem, że Krystyna napuszcza wodę. Nagle otworzyła drzwi wołając: Bądź uprzejmy przynieść mi wsuwki do włosów, są na toaletce w szklanej miseczce.

– Zawołała?

– Tak, woda szumiała dość głośno.

– I widział ją pan w drzwiach?

– Tak. Ale zamknęła drzwi, nim zdążyłem odpowiedzieć. Poszedłem do sypialni, na toaletce nie było wsuwek ani miseczki. Rozejrzałem się i znalazłem ją na stoliku nocnym. Wziąłem kilka wsuwek, zapukałem do drzwi łazienki. Nie od razu usłyszała, więc zawołałem: Wsuń rękę, Krystyno, a ona odkrzyknęła, że już nie trzeba, miała wsuwki w kieszeni szlafroka. Nie mogę otworzyć, krzyknęła, wchodzę już do wanny. Tylko uważaj, nie wejdź w lustro, odpowiedziałem i słyszałem, że roześmiała się z tej rady. Wróciłem na swoje miejsce, usiadłem, wiadomości jeszcze się nie zaczęły. Muzyki też nie nadawali, tylko zegar był na ekranie. W łazience panowała cisza, widocznie Krystyna zakręciła kurki i leżała w wannie. Dopiero teraz uderza mnie, że właściwie dziwna była ta cisza. Żadnego plusku, żadnego dźwięku. Na ogół gdy się ktoś w domu kąpie, ma się świadomość tego. Nadano sygnał muzyczny wiadomości i jednocześnie wydało mi się, że usłyszałem z łazienki strzał. Podniosłem się i nasłuchi-

wałem, ale było całkiem cicho, więc dałem spokój, przecież było zupełną niedorzecznością, żeby to mógł być strzał. Usiadłem, po chwili uświadomiłem sobie, że woda znów szumi. Pomyślałem, że już po kąpieli. Tylko że nie był to zwykły znajomy szum. Ściszyłem telewizor i znowu nasłuchiwałem. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że to nie z kranu się leje ani nie spływa z wanny normalnie, tylko przelewa się przez jej krawędź. Leje się strumieniem i bulgocze. Potem rozległ się krzyk, przejmujący do szpiku kości krzyk z łazienki.

Tomasz urwał, zaczerpnął tchu, rozejrzał się. Wszyscy słuchali jego sprawozdania. Ciągnął więc dalej:

– Zerwałem się, zacząłem walić w drzwi. Bębniłem i wołałem: Krystyno, jesteś tam... coś ty zrobiła... Wszyscy zbiegli z góry, pytali, co się stało. A cóż ja wiedziałem? Wskazywałem tylko na drzwi, biłem w nie i powtarzałem, że ona tam jest, że Krystyna się tam zamknęła i najwyraźniej odebrała sobie życie.

Tomasz opadł na fotel, a Durell przyjrzał mu się w zamyśleniu. Całe to sprawozdanie od początku do końca wydawało się nieprawdopodobne, dwie rzeczy jednak przemawiały za jego prawdziwością. Po pierwsze szczerłość cechująca zachowanie młodego człowieka. Tylko że już zdarzało mu się widywać podobne próbki zręcznego aktorstwa. Większą wagę mógł mieć drugi powód: niezaprzeczalny fakt, że drzwi były zaryglowane od wewnątrz, gdy tu przybył. I o ile mógł stwierdzić przy pobieżnych oglądzi-
nach, rygielek mógł zostać opuszczony tylko przez osobę znajdującą się wewnątrz. A jak się potem okazało, w łazience nie było nikogo. Przyglądając się Tomaszowi nieprzeniknionym wzrokiem, dał mu chwilę na opanowanie, potem dopiero spytał:

– Przez cały czas miał pan drzwi w polu widzenia?

– Wyjąwszy krótką chwilę, kiedy poszedłem do sypialni po wsuwki.

– Na jak długo?

– Z pół minuty, nie dłużej.

– Potem wrócił pan pod drzwi łazienki. Z wsuwkami.

– Tak. I rozmawiałem z nią. To, że byłem w sypialni, nie ma znaczenia. Bo przecież nie wyszła z łazienki, po powrocie z sypialni rozmawiałem z nią przez drzwi.

Durell pokiwał głową.

– Właśnie. Następnie wrócił pan na fotel i pewnie odwrócił się plecami do drzwi.

– Tak.

– A czy nie mogła się wtedy wymknąć?

Tomasz podniósł się i spojrział na Durella z wyrzutem.

– Nie rozumiem, jak pan to sobie wyobraża. Nie mogła się wymknąć. Gdyby otworzyła drzwi, usłyszałbym wodę płynącą z kranów, jakby to było tu, w tym pokoju.

– Przecież wspomniał pan, że tam panowała dziwna, jak pan to określił, cisza. Musiała więc zakręcić kurki.

– Ale później woda znów płynęła – krzyknął niemal Tomasz. – Przecież kiedy pan przyjechał, jeszcze płynęła. A strzał? A krzyk? Może znów odkręciła kran. Nie, niech mi pan wierzy, najokropniejsze w tym jest, że ona tam była cały czas, a gdyby nawet nie cały, to w każdym razie widziałem ją wchodzącą, i gdy rozmawiałem z nią przez drzwi, i była tam, kiedy krany... jeżeli przyjąć, że... znowu zostały odkręcone... i kiedy krzyknęła – Tomasz usiadł i oburącz złapał się za głowę.

Durell popatrzył na niego współczująco.

– Nie było jej jednak w łazience, kiedy tam weszliśmy. A o ile zauważyłem, nie ma tam innego wyjścia, tylko przez te drzwi, które były zaryglowane. Musiała więc wyjść przez te drzwi albo... rozplynęła się w powietrzu. – Nabrał tchu tak głęboko, że klatka piersiowa rozdeła się jak balon, potem dopiero zwrócił się do pozostałych:

– Państwo tu zebrani usłyszeli, że coś się dzieje i zeszli z piętra?

Bror Andersson uniósł rękę ruchem zdradzającym dziesiątki lat rutyny zgłaszania się do odpowiedzi. Klara Nordin wydała dźwięk przypominający chlipnięcie. Fritze kiwnął głową. Durell wskazał Fritzego.

– Może pan zechce zdać sprawę z dalszego ciągu. Byli państwo na górze, ale gdzie?

– W hallu. Wszyscy troje. Graliśmy w brydża. Zwykle grywamy w piątkowe wieczory. Ledwie zaczęliśmy, w trójkę tylko, z dziadkiem. Też słyszeliśmy krzyk, strzału natomiast nie, a potem gwałtowne bębnienie w drzwi łazienki. – Fritze, który przez cały czas trzymał w ręce talię kart, wsunął ją wreszcie do kieszeni.

– Przepraszam, czy rzeczywiście słychać było, że profesor Vannerman stuka w drzwi łazienki?

Fritze przygryzł wargę.

– Spróbuję być dokładny. Usłyszeliśmy, że ktoś na dole gdzieś się dobija, potem, że profesor w sposób rozpaczliwy przywołuje swoją ciotkę. Tak, jak on sam opowiadał. Brzmiało to bardzo alarmująco. Zbiegliśmy po tych schodach od strony hallu. Za tymi oszklonymi drzwiami. Były zamknięte. Zwykle bywają zamknięte. Panna Vannerman bardzo tego przestrzega. My z kolei, to znaczy ja, więc ja zacząłem wołać, żeby profesor otworzył. Otworzył. Dowiedzieliśmy się od niego, że panna Vannerman chyba popełniła samobójstwo w łazience, zamknęła się tam, a ściślej zaryglowała, i strzeliła do siebie.

– Kto zaalarmował policję?

– Ja – siedząca w rogu sofy Klara wyprostowała się. Jej palce nerwowo ślizgały się po poręczy albo skubały obicie.

– Panna Nordin otworzyła frontowe drzwi i głośno wzywała pomocy – uzupełnił Bror Andersson. – Policję zawiadomiła tu obecna pani Sjöman. Mieszka w sąsiedniej willi. Przyszła tu... jak by to określić... i pomagała. Ona i jej syn.

Durell przeniósł spojrzenie na blondynkę w papilotach,

potem na jej syna, chudego dryblasza, który przysłuchiwał się wszystkiemu z półotwartymi ustami, zezującym spojrzeniem i z rękami splecionymi na kolanach. Durell miał już dość jasny obraz przebiegu wydarzeń, lecz dla porządku trzeba było zadać jeszcze kilka pytań. Zwrócił się więc do Fritzego:

– Czy panna Vannerman mogła wejść na górę nie zauważona, gdy państwo grali w karty?

– Wykluczone.

Durell zwrócił się do Marianny Sjöman:

– Gdzie się pani znajdowała, gdy zawołano o pomoc?

– W moim pokoju na górze, w sąsiedniej willi. Wyglądałam oknem, bez żadnego specjalnego powodu. Taki piękny dziś wieczór.

– A ma pani widok na ten dom? To znaczy na wejście.

– Oczywiście – przytaknęła pani Sjöman. – Rozumiem, co pan ma na myśli. Czy mogłabym dojrzeć, gdyby Krystyna Vannerman wymknęła się frontowym wejściem. Nie zrobiła tego. Wprawdzie żywopłot rzuca cień, ale nie w tym miejscu. Cały dziedziniec był oświetlony, koło drzwi jasno jak w dzień. Tą drogą nie mogła wyjść, kiedy ja wyglądałam. Usiadłam w oknie na długo przed wiadomościami i siedziałam, póki Klara nie zaczęła coś wołać... na pomoc... policja... odebrała sobie życie... Wtedy zbiegłam na dół i zadzwoniłam po policję.

– Wydaje mi się – oświadczył Durell – że obecność pani i syna nie jest już konieczna. – Obracając się wkoło wskazywał jedną osobę po drugiej: – A także pani, pana i pana.

Marianna Sjöman natychmiast wstała i wyszła mocno trzymając Pera za ramię. Klara, Bror i Bengt także się podnieśli. Fritze wyjął karty z kieszeni, a Bror Andersson chwilę szukał swych okularów, by dość nieoczekiwanie znaleźć je na sekretarce, przy której stał Melander. Klara Nordin spojrzawszy na karty wymamrotała: – Nie, nie,

grać już nie będziemy, to wykluczone. – Opuścili pokój.

Gdy zostali sami, Durell, Tomasz i Melander, gdy znie-
ruchomienie szklanych drzwi zasygnalizowało, że tamci są
już na schodach i nie mogą ich usłyszeć, Durell ponownie
zwrócił się do Tomasza:

– Napomknął pan, że panna Vannerman była dziś inna
niż zwykle. Co pan przez to rozumiał? Czy stało się coś, co
mogło dać powód do podejrzeń, że odebrała sobie życie?

– Nie – rzekł Tomasz z wahaniem – ale czymś była
zmartwiona. Może nawet bała się czegoś. Mieliśmy rozmowę,
która mnie bardzo zatrwożyła. Rozmowa zaczęła się od
oznajmienia wszystkim tu mieszkającym, że sprzedała
dom. I że zrealizowała część swych walorów. Dała do
zrozumienia, że zamierza wynieść się z Gislaved. Gdy
zostaliśmy sami – ruchem głowy wskazał na piętro –
Fritze, Andersson i panna Nordin poszli do siebie, pokaza-
ła mi bardzo dziwny list, który miała jakoby otrzymać
przed dwoma tygodniami. Chwileczkę... – Przypomniało
mu się nagle, że Krystyna odłożyła list do sekretery,
otworzył więc szufladę, w której tkwił kluczyk, znalazł list
i wręczył go Durellowi. Ten przeczytał, spojrzał na Toma-
sza pytająco i powiedział:

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Czy to panu
coś mówi? Od kogo ten list dostała?

– Nie wiem. Powiedziała tylko, że przyszedł pocztą
przed dwoma tygodniami. I że wtedy postanowiła się
przeprowadzić. Mówiła, że dla niej ten tekst jest zrozumia-
ły. Że to ma związek z przeszłością. Nie nie pojmowałem.
Dodała, że ma nadzieję uciec stąd, nim to się zdarzy.

– Nim co się zdarzy?

– Nie wiem. Chyba to miała na myśli. Zniknięcie.

Durell złożył list i wsunął do kieszeni.

– Chwilowo to zatrzymuję. Aha, i twierdzi pan, że
słyszał pan strzał. Czy jest, względnie czy była w domu
jakaś broń?

– Nie sędzę, choć możliwe, że było coś po moim dziad-
ku, ale nie wydaje mi się. Wiedziałbym o tym po tylu latach
spędzonych w tym domu.

– Od dawna pan mieszka razem z ciotką?

– Ponad dwadzieścia lat.

– A rodzice?

– Nie żyją. Ojciec popełnił samobójstwo po krachu
Kraegera.

– Aha, aha. Można by więc powiedzieć, że to ro-
dzinne...

Durell zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem,
rozważając tajemnicę na wszelkie sposoby. Żeby ktoś
zniknął z zamkniętej od wewnątrz łazienki. W szlafroku.
Wszystkie wyjścia pod obserwacją. Nie mogła wyjść nie-
postrzeżenie frontowymi drzwiami ani przez piętro do
drugiego wyjścia. A jeśli nawet wymknęła się w jakiś nie-
wyjaśniony sposób, jak rygielek mógł opaść? Samoczynnie
przy zamykaniu drzwi? Odrzucił tę myśl, nim się zrodziła.
Taka konstrukcja rygla, by mógł zatrzasnąć się samoczyn-
nie, nie jest możliwa. Dla pewności powinien jednak
sprawdzić ten szczegół.

– Panie Vannerman, czy zdarzało się kiedy, żeby ten
rygielek się zatrzasnął, to znaczy sam opadł, przy niedba-
łym zamknięciu drzwi, czy też w jakiś inny sposób?

Tomasz zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nigdy. Od kiedy ja tu jestem, zawsze doskonale funk-
cjonował. Kiedy byłem mały, nie wolno mi było korzystać
z tej łazienki, bano się, żebym się nie zamknął. Chodziłem
do jednej z łazienek na górze, tam są dwie, jedna zamyka
się tak jak ta, druga zwyczajnie, na klucz, bo jest nowo-
czeńszysza, w tej dobudowanej części domu. Nie, nigdy się
nie zacinał. Bardzo dobra konstrukcja, z podwójną spręży-
ną, do podnoszenia i do opuszczania rygielka.

– Jeszcze jedno pytanie. Dyrektor Fritze powiedział, że
drzwi oddzielające schody od hallu były zamknięte i mu-

sieli mocno stukać, nim je pan otworzył. Dlaczego drzwi były zamknięte?

– Zawsze są zamknięte. No, powiedzmy, prawie zawsze. – Zawahał się. – Zdarzało się, że Krystyna otwierała je niekiedy, jeśli oczekiwała odwiedzin... – urwał. Zorientował się, że mówi w czasie przeszłym i to go zmieszało.

Durell natychmiast wtrącił:

– Odwiedzin? Czyich?

– Czy musi pan o to akurat pytać? Przecież nie wiemy jeszcze, gdzie jest Krystyna.

– Racja – uśmiechnął się zgodliwie Durell. Uznał, że nastrój się znacznie poprawił. – A więc otworzył pan tym z góry.

– Tak, otworzyłem.

– Może byśmy przyjrzeliby się tym drzwiom.

– Proszę bardzo.

– A ty przez ten czas – zwrócił się Durell do Melandera – zechciej sprawdzić resztę mieszkania. Wszystkie pomieszczenia, okna, schowki, szafy ściennie.

Tomasz pierwszy wyszedł do hallu, minął ziejące dziurą drzwi łazienki i skierował się do biało lakierowanych drzwi oddzielających wejście na piętro. Dolna ich część była z masywnego drewna, górną stanowiły drobne mlecznobiałe szybki. Otworzył – drzwi otwierały się w stronę hallu – dał Durellowi znak, by wszedł. Durell przystanął, dokładnie sprawdził zamek, klamkę, wyjął klucz, przyjrzał mu się. Zwyczajny klucz, najpospolitszego typu. Wsunął go w dziurkę, kilkakrotnie przekręcił. Schody znajdowały się na prawo. Od drzwi dzieliła je przestrzeń kilku metrów kwadratowych, na wprost dwoje wąskich, pojedynczych drzwi, wyglądających na wejście do schowków. Durell otworzył pierwsze z lewej. Rzeczywiście schowek, froterka i odkurzacz oparte o ścianę, fartuch roboczy na wieszaku, butelki i puszki ze środkami do czyszczenia na półeczce. Wtłoczył się do wnętrza i spojrzał w górę. Zwisająca

z sufitu żarówka bez klosza, a wyżej w rogu wywietrznik, prawie całkowicie zasłonięty półką biegnącą powyżej jego głowy, wzdłuż całej ściany. Wydostał się i otworzył sąsiednie drzwi. Pomieszczenie to zawierało dobrze zaopatrzone domowy warsztat stolarski, narzędzia i materiały, wszystko starannie ułożone na półkach. Spojrzał w górę schodów. Zbędne byłoby wchodzić na nie. Słyszał głosy lokatorów, mógł sobie wyobrazić, że siedzą tam i roztrząsają tajemnicze zniknięcie.

– Gdzie jest włącznik zapalający tu światło? – zwrócił się niespodziewanie do Tomasza.

– Na górze i na dole hallu. Przez cały wieczór światło się paliło.

Durell wrócił do hallu. Zamykając za sobą oszklone drzwi przekręcił w nich klucz, skoro już wiedział, że taki jest w tym domu zwyczaj.

Melander wrócił.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Nikogo nigdzie nie ma. Wszystkie okna pozamykane od wewnątrz.

Spojrzał na telefon stojący na stoliku w hallu.

– Dlaczego państwo nie zaalarmowali policji bezpośrednio, tylko wzywali pomocy sąsiadów?

– Może próbowali to zrobić – uśmiechnął się Durell – tylko w ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył... – Podszedł do stolika, wyłowił sznur i wetknął końcówkę do gniazdka. – Ten aparat po prostu był wyłączony. W związku z tym można jedynie postawić pytanie, kto wyciągnął sznur. Czy ma pan jakiś pogląd na tę sprawę, profesorze?

– Nie wiem. Krystyna wyłącza zwykle telefon, kiedy się kąpie. Dziś nie było to konieczne, bo przecież ja byłem w pobliżu. Ale mogła to zrobić z przyzwyczajenia. Czy ja wiem.

– No tak. Więc co? – Durell spojrzał na zegarek. – Z koncertu niewiele już chyba usłyszymy, gdyby się jednak pospieszyć, to choć ostatni numer, Haydn, nieprawdaż?

– A Krystyna? – spytał Tomasz ze zdumieniem. – Nie znajdują jej panowie?

Durell zwrócił się ku niemu wolno i uroczyście jak ksiądz przed ołtarzem.

– A po co? Prawda, że pana ciotki tu nie ma. Być może nawet ulotniła się w ten czy inny sposób. To się ludziom zdarza. Tylko że ulotnić się nie jest zbrodnią, profesorze. Nie mamy powodu przypuszczać, że się nie ujawni. Nic nie świadczy o tym, że popełniła samobójstwo, a takie podejrzenie było powodem wezwania nas. Nie leży martwa w wannie. Nie została uprowadzona. Bo to by pan przecież zauważył. Nie została zamordowana. Nic nie ukradła. Dziwne są jedynie, to przyznaję, techniczne warunki tego zniknięcia. Oczywiście, jeśli zgadzają się z zeznaniem jedyne go świadka, którym jest właśnie pan. Jeżeli panu na tym rzeczywiście zależy, możemy zarządzić poszukiwanie. Jednak nawet gdyby pańska ciotka nigdy już nie dała o sobie znać, wątpliwe, czy policja miałaby prawo i ochotę grzebać w tej sprawie. Choć nie jest to zupełnie wykluczone. Niechże pan zrozumie, nieraz się zdarzało, że podejmowano poszukiwanie osoby zaginionej, by odnaleźć ją w zdrowiu i dostatku, na przykład, u jakiejś zupełnie nieoczekiwanej kochanki czy kochanka. Niech mi pan wierzy, prawowity mąż czy żona zgłaszająca zaginięcie współmałżonka zakładają, że jakaś poważna, oczywiście zupełnie w innym sensie poważna, przyczyna kryje się za tym zniknięciem, a potem, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, gorzko żałują swej pocho pności. Gdyż świadomość, że zostało się opuszczonym, ciężiej czasem znieść niż niepewność. Znikają prawowici mężowie. Znikają kobiety. Młodzież także. Zdarza się, że i rodzice. A także i ciotki. Większość się odnajduje. Niektórzy nigdy już nie dają znaku życia. Mogli paść ofiarą zbrodni czy nieszczęśliwego wypadku, nagłej śmiertelnej choroby. Policja codziennie przyjmuje zgłoszenia i jeśli uzna to za konieczne, rozsądne

i słuszne, wszczyna poszukiwania. To znaczy, jeśli rzeczywiście podejrzewa morderstwo, samobójstwo, nieszczęśliwy wypadek, zachorowanie, utratę pamięci czy coś w tym rodzaju. Nie sam fakt zniknięcia jest miarodajny, tylko przyczyna zniknięcia...

Po małej, ale znaczącej pauzie podjął perorę:

– W tym wypadku nic nie wiemy o przyczynie. Pan nie potrafi nam podać żadnego powodu ani wskazać na coś, co by upoważniało policję do interwencji. Teorię samobójstwa trzeba wykluczyć. Wszystko to może być po prostu zmyśloną przez pana historią. Albo też został pan przez ciotkę nabrany. Udany kawał – Durell uśmiechnął się i przyjaźnie strzelił w palce.

Tomasz spojrział na niego pochmurno. Przedstawiony wywód był niewątpliwie logiczny. Uświadomił sobie, że właściwie mały policjant ma na swój sposób rację. Jeżeli Krystyna wydostała się jakoś z łazienki, nie ma powodu do robienia z tego sprawy. Jeśli zaś na podstawie jakiegoś tajemniczego prawa natury zdematerializowała się, zmieniła się w energię, przeniosła diabli wiedzą gdzie, by tam się znowu zmaterializować, to też tylko jej sprawa. Trzeba przyznać, że dziś dzień Einsteina.

– Rozumiem – powiedział Tomasz – ale nikt do tej łazienki nie wejdzie, póki Krystyna nie wróci. Zabiję drzwi grubą dyktą. I niech mi pan wierzy, tu to czuję – stuknął się w czoło – coś się stało.

Durell i Melander spojrzeli na siebie znacząco.

– Może pan to zrobić, profesorze – powiedział Durell – przecież na górze też jest łazienka. – I z pewnym ociąganiem, uśmiechając się, dodał: – Jeszcze jedną rzecz panu zdradzę. Pańska ciotka zamierzała się wykąpać. Powiedziała nawet, że wchodzi do wanny, ale z pewnością skłamała. Widzi pan, woda w wannie była zimna jak lód.

Uprzejmie skinąwszy głową, podążył za Melanderem ku wyjściu.

Rozdział czwarty

Piątek, 12 września. Wieczór.

Marianna Sjöman klusem wracała do domu. W podnieceniuzupełnie nieświadoma tego, że ma na sobie brudnawy szlafrok, a na głowie papiloty. Perra zwrócił jej na to uwagę.

– Zaczynasz się zaniedbywać, mamó – powiedział. – Wpadnę do Svantego. Jest o czym pogadać.

Odwrócił się na pięcie i wsunawszy ręce w kieszenie ruszył w kierunku willi dyrektora.

Wszedłszy do przedpokoju, pani Sjöman zawołała:

– Ewald, jesteś tam?

Nie usłyszała odpowiedzi. Ukazała się natomiast Ewa z czerwonymi kokardami we włosach. Wargi jej drżały.

– Tatuś poszedł do apteki. Nie chcę siedzieć sama. Dlaczego policja przyjechała?

– Cicho, dziecko. Nic takiego. Wydawało im się, że ciocia Vannerman zrobiła sobie coś złego. Kiedy tatuś wyszedł?

– Przed chwilą, ma pracę. A ja nie chcę być sama.

– Przecież już wróciłam, nie marudź.

Podeszła do telefonu i nakręciła numer apteki. Mąż natychmiast się odezwał.

– Mieliśmy dziś wieczorem posiedzieć w domu, a tyś Ewę zostawił samą. Co ty masz takiego ważnego do roboty, nie obchodzi cię nawet, co się stało u Krystyny Vannerman? Nie ma jej. Zniknęła. Wyobraź sobie! Jakie zamieszanie, policja i w ogóle... Kiedy wrócisz?

– Późno.

– Jutro ci opowiem. Co tam robisz?

– Piszę artykuł.

– W ostatnich czasach wracasz tak późno, wciąż piszesz artykuły.

– Przecież dobrze wiesz, po co.

Ogarnęła ją podejrzliwość.

– Skąd ja mogę wiedzieć, czy nie spotykasz się z kimś wieczorami.

– Kogo masz na myśli?

– Jakaś inną.

– Niedorzeczność. Któż to miałby być?

– Mówiono mi, że się z nią spotykałeś cichcem wieczorami, z Krystyną. – Nowe podejrzenie przyszło jej do głowy: – Może ona teraz jest u ciebie?

– Co ty bredzisz. Piszę artykuł. Nie słuchaj plotek. Ja i Krystyna Vannerman, nonsens.

– Nigdy się z nią nie spotykałeś po zamknięciu apteki?

Nastąpiła niepokojąca pauza. W końcu mąż powiedział:

– Owszem, kilka tygodni temu zapukała od tyłu, potrzebny jej był magnecyl. Osobiście dałem jej pudełeczko. Wielki Boże, że też ludzie zaraz sobie coś wyobrażają.

Marianna roześmiała się z ulgą.

– Tak też myślałam, że to jakaś głupia gadanina. No więc przyjdiesz, kiedy będziesz mógł, a ja się chyba wcześniej położę.

– Dobranoc, kochanie.

Ledwie odłożyła słuchawkę, telefon zadzwonił. Wera Pihl, podeksycytowana, wprost wstrząśnięta.

– Przyjdź do mnie, Marianno, muszę z tobą pomówić. Musisz mi opowiedzieć, co się stało z Krystyną.

– Zniknęła. I to wszystko. Zniknęła bez śladu.

– O, Boże! Nie mogłabyś wpaść? – Wera zawahała się. – Widzisz, niepokoję się o Torgny'ego. Jestem sama. Svante i Perra gdzieś poszli, jestem sama. Nie lubię być sama.

– Zaraz przyjdę.

Marianna pospieszyła do łazienki, rozkręciła papiloty, zmieniła szlafrok na spódnicę i pulower, wyprawiła Ewę spać i wyszła.

Drzwi się otwały, gdy tylko dotknęła dzwonka, widocznie Wera czekała w pogotowiu.

Przeszły do salonu, gdzie z kolorowego telewizora najnowszego typu rozlegał się ryk programu pop. Wera wyłączyła telewizor, otworzyła natomiast drzwi na werandę, jakby jej brakowało powietrza. Leżący na puszystym futrzaku jamnik natychmiast uniósł głowę, węsząc w stronę ogrodu, wyprężył ogon, zawachlował uszami.

– Siadaj, Marianno – powiedziała Wera – taka jestem niespokojna. Próbowałam wydusić z Torgny'ego prawdę. Teraz wszystko przepadło.

– Prawdę? O czym?

– O różnych rzeczach. Po pierwsze, jak jest z fabryką. Roześmiał się tylko. Nie podobał mi się ten śmiech. Potem, czy zamierza sprzedać. Określił to jako piramidalnie głupi pomysł. A potem różne inne sprawy. – Zawierciła się niepewna, czy opowiedzieć wszystko i od czego zacząć.

– Wiesz, to ogłoszenie, które dałam ci dziś do przeczytania, pamiętasz, i telefon akurat zadzwonił. Wiesz, kto to był?

Marianna zaprzeczyła.

– Krystyna Vannerman. Prosiła, żebym powiedziała Torgny'emu, że teraz już serio i że to musi być dziś. Długo się zastanawiałam i nagle wpadłam na myśl, że to musi być ona. Rozumiesz, ona przecież ma działkę w Norlidzie koło jeziora. Że to ona chce sprzedać działkę, a Torgny może kupuje po kryjomu, żeby mi zrobić niespodziankę. Dlaczego by nie, pomyślałam. Dom przecież sprzedała i ta wiadomość o podjętej gotówce i akcjach... więc zadzwoniłam do Halla, tego pośrednika, i dowiedziałam się, że rzeczywiście to ona sprzedaje. Mimochodem dowiedziałam się przy tym, kto kupił jej dom. Jakiś Karlsson, mieszkający w Norlidzie. A wiesz, kto to taki? Otóż ojciec Ethel. Nic więc dziwnego, że Ethel wiedziała o tej transakcji. Potem ostrożnie wypytałam, czy Torgny z nim rozmawiał, z tym

pośrednikiem znaczy, o działce. Okazało się, że owszem, Hall go powiadomił, kto sprzedaje, że Krystyna, i spytał, czy chciałby działkę obejrzeć. – Urwała i wargi jej zadrżały. – I wiesz, co Torgny odpowiedział?

– Nie. – Marianna w przeczuciu, że musiała to być interesująca odpowiedź, pochyliła się, żeby słowa nie uronić.

– Powiedział, że nie trzeba, po pierwsze, bo go to nie interesuje, a po drugie, bo doskonale zna tę działkę.

– Co też ty mówisz? Coś takiego! – Marianna opadła na miękkie poduszki i wpatrzyła się w Werę szeroko otwartymi oczami. – I ty przypuszczasz, że...

Wera przytaknęła i oczy jej zwilgotniały.

– Musiał się z nią tam spotykać. Musiało ich łączyć coś, o czym nie wiem. Ethel miała rację. Pewnie jej ojciec widział ich razem tam, na działce. Chyba Torgny mnie zdradzał.

Wybuchnęła płaczem. Marianna wstała i pocieszająco położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

– Skądże, skądże. Uspokój się. Przecież nie musi to być coś poważnego. – Choć w głębi duszy czuła tajoną radość i zadowolenie, że to przypuszczalnie prawda.

– Właśnie że tak, właśnie że tak – szlochała Wera. – Posłuchaj, powiedziałam mu, że dzwoniłam do Halla, wiem, że pytał o działkę. Powiedziałam mu, że Krystyna telefonowała i prosiła, żeby mu powiedzieć, że teraz już serio i że koniecznie dziś. Przez chwilę milczał, potem wyjaśnił, że to właśnie w sprawie działki. Jeśli ma kupić, musi się dziś zdecydować. Wtedy mu oświadczyłam, że kłamie. Wiem, że go ta działka wcale nie interesuje, powiedziałam, może się nie krępować i przyznać, co ich łączy, jego i Krystynę. Żebyś ty widziała... – Wera wyprostowała się i odsunęła współczujące ramię Marianny. Płacz ustał jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Zwróciła ku przyjaciółce bladą, ale opanowaną twarz.

– Żebyś widziała, jak zareagował. Jak przyłapany na gorącym uczynku. Zrobił się biały, ręce drżały mu, choć je zaciskał, żebym nie zauważyła. Po chwili zszedł na dół bez słowa. A ja siedziałam tu. Stąd zobaczyłam, że jego teczka leży w hallu na stoliku. Czasem człowiek postępuje jak szóstym zmysłem kierowany. Zajrzałam do teczki. Był tam ekspres z biura podróży w Göteborgu zaadresowany do Torgny'ego, więc zajrzałam. Był otwarty. A on akurat wrócił na górę. Dlaczego, u licha, grzebiez w mojej teczce, powiedział... – dolna warga Wery znów zadrżała i oczy się zaszklily, więc Marianna znowu opiekuńczo otoczyła ją ramieniem, by stworzyć zapórę, w miarę możliwości zapobiec wybuchowi, który mógłby zaprzepaścić apogeum tego podniecającego zwierzenia. Wera jednak odzyskała spokój i podjęła: – Wyrwał mi teczkę i wyszedł, powiedziawszy tylko: jadę do fabryki, mam tam jeszcze coś do załatwienia, stamtąd prosto do Göteborga, nie oczekuj mnie wieczorem. A kiedy wrócisz?, spytałam. Przystanął w drzwiach i spojrzał na mnie tak, że zdrętwiałam. Nie wiem, powiedział. Rozumiesz, Marianno. Nie wiem. On chyba w ogóle nie wróci. Opuścił mnie na zawsze. Wyjechał. Nie sam. Z Krystyną Vannerman.

Marianna poczuła, że ramiona Wery zaczynają konwulsyjnie drżeć, że znowu wzbiera w niej płacz. Poklepała ją jak pieska.

– A ja nie sądzę. Krystyna Vannerman zginęła, więc nie masz się czego bać. – O, chyba dołała oliwy do ognia. Trzeba jakoś inaczej. – Ale nie tak, jak podejrzewasz – dodała spieszenie. – Ona naprawdę zginęła, może nawet nie żyje.

Wera wzdrygnęła się i po raz drugi uwolniła od uścisku przyjaciółki.

– A wiesz, co było w tej kopercie? Dwa bilety lotnicze do Zurychu.

Wstała i podeszła do telewizora, by go włączyć. Jedno-

czesnie z nią podniosła się jamniczka i nagle wypadła na werandę z głośnym szczekaniem, zapowiadającym myśzom polnym, że choćby się pochowały do swych dziur, już ona je wywęszy mimo ciemności.

Stukanie w oszklone drzwi hallu dotarło przez wszystkie ściany do pokoju Tomasza, który spojrzawszy z irytacją na zegarek, wypuścił z objęć Ingalill, wstał i poszedł dowiedzieć się, co to za hałas. Dobijał się Fritze. Miał już na sobie szlafrok w szkocką kratę i pantofle. Rozpięta koszula ukazywała muskularną szyję i wydatne jabłko Adama.

– Pozwól ze mną na chwilę.

– Chętnie. Ale nie na długo. Jest ktoś u mnie.

Weszli na górę. Tuż obok szczytu schodów znajdowała się tam łazienka, położona dokładnie nad tą, z której zniknęła Krystyna, i tak samo wyglądająca. Na wprost znajdowały się drzwi do pokoju Klary, na lewo krótki korytarzyk prowadził do pokoju Fritzego, Brora Anderssona i do pustego pokoju gościnnego. Korytarz ten przechodził w wielki wspólny hall, w którego przeciwległym końcu znajdowało się wyjście na drugie schody, wiodące wprost do ogrodu. Lokatorzy mieli oddzielny, niekrepujący dostęp do domu. Za schodami był jeszcze jeden, oświetlony weneckim oknem korytarz z wejściem na prawo do obszernego pokoju, zwanego kancelarią, a na lewo do łazienki i kuchenki.

W hallu Fritze usiadł na kanapie, przed którą stał rozłożony stolik do gry, z kartami na zielonym suknie. Tomasz zajął miejsce w fotelu, naprzeciw połyskującego w półcieniu fortepianu z podniesionym wiekiem.

– Kiedy oni rozpoczną poszukiwania? – spytał Fritze.

– Nie będzie żadnych poszukiwań. A przynajmniej nie od razu. Znikanie nie jest wzbronione. Trzeba czekać.

– Na co?
– Że się wynurzy.
– Z wanny? Trzeba będzie może długo czekać. Więc policja się tym nie interesuje?

– Nie interesuje się. A dlaczego, wyjaśniono mi w długim pouczeniu. Nawet ich rozumiem. Dość mają roboty z mandatami za nieprawidłowe parkowanie i podobnymi przestępstwami.

– A jeśli ona się nie odnajdzie?
– Możemy wystąpić o wszczęcie poszukiwania.
– A jeżeli zniknęła bez śladu?
– Policja zacznie działać, gdy będzie podejrzenie, że rzeczywiście coś się stało. Jakby się nie dość jeszcze stało do tej pory. – Podejrzliwie spojrzął na Fritzego. – Jak ty to sobie tłumaczysz?

– Niepojęte. Człowiek zadaje sobie pytanie, dlaczego i jak. Udany numer iluzjonisty. Bardzo zręczny, mistrzowski.

Fritze wstał i, minawszy podest schodów, szeroko otworzył okno w głębi korytarza. Na dworze było ciepło. Pełnia księżyc. Lecz księżyc chował się raz po raz za przeciągające chmury o poszarpanych mglistych brzegach. W ogrodzie dyrektora Pihla czekał pies, poza tym panowała cisza. Fritze zostawił okno otwarte i wrócił do hallu ciężkim krokiem, świadczącym o przygnębieniu. Zatrzymał się przy fortepianie, przeciągnął palcem po klawiaturze, potem usiadł i prawą ręką poszukał basów. Zabrzmiął grzmiący ton, przeszedł w pianissimo, forte, znowu pianissimo, jeszcze raz, lewa ręka włączyła się twardym staccato w jeszcze głębszym basie, jak gwałtowne uderzenie młota. Szybkie niby muśnięcie skrzydła dysonanse, gwałtowne, zaskakujące zmiany oktaw tworzyły melodię agresywną, popędliwą, prymitywną a rytmiczną. „Taniec ognia” de Falli, Fritze to grywał, Tomasz już nieraz słyszał. Podczas gdy akordy w oszalałej gonitwie wypełniały cały hall,

tworząc materialną niemal substancję akustyczną, pochylił się nad grającym i powiedział:

– Pobudzisz wszystkich.

Fritze nie słuchał. Więc Tomasz zszedł na dół, a rytualny „Taniec ognia” rozlegał się nad nim jak deszcz bębniący w otwarty parasol.

Ingalill zaparzyła kawę w kuchence, ustawiła na tacy filiżanki i kieliszki do koniaku. Tomasz nie usiadł. Podeszedł do okna i wpatrzył się w ciemność. Zębata sylwetka czarnej masy drzew i krzaków odcinała się od zamglonych świateł, bijących z osiedla po przeciwnej stronie rzeki. Kiedy muzyka na górze skończyła się szaleńcza ekstaza. usłyszał ujadanie psa. Zdecydowane, agresywne i bliskie.

– Coś tam musi być – powiedział. – Pies szczeka jak oszalały.

– Mysz polna – powiedziała Ingalill.

– Nie byłbym taki pewny. Bądź uprzejma, zgaś lampę.

Ingalill zgasła, potem podeszła do niego, właśnie gdy pies znowu gwałtownie zaszczekał.

– Widzisz coś? – spytała.

– Nie. Zupełnie nic.

Po zgaszeniu lampy czerń ogrodu zaczęła powoli rozpląwać się, ukazując zarysy drzew, jasniejsza o ton ścieżka do rzeki wystąpiła wyraźnie, po chwili oczy nawykły do ciemności i dojrzał nawet oddalony detal linii brzegowej: kadłub łodzi Krystyny, widoczny na tle wody, która była inną czernią, żywą, ruchomą, płynącą wolno między olchami i wikliną.

– Tam – powiedział nagle Tomasz, wskazując palcem i mimowiednie przechodząc w szept. – Widzisz psa, na prawo od ścieżki.

Jamnik dyrektora w pokrętnych susach atakował cień pod rozłożystym drzewem. to skacząc w głąb. to cofając

się. Nagle cień pękł, rozdzielił się na dwie części. Cos oderwało się od ciemności, spadło na jamnika, który próbował ucieczki, ale został schwyty, uniesiony w górę, szczebanie przeszło w przenikliwe ujadanie, podczas gdy ktoś biegł ścieżką przyciskając psa do piersi. Potem oboje zobaczyli, że ramiona tego kogoś uniosły się nad głowę, ciało wygięło się w tył, zakreśliło łuk do przodu i skowyt, niemal krzyk wrzucanego do rzeki psa wwiercił się im w uszy.

Tomasz chwycił Ingalill za ramię.

– Ależ drań...

Wychylił się za okno i wrzasnął:

– Halo! Co się tam dzieje?

Cień nad rzeką odwrócił się. Na moment łysnęła twarz. Nieznajomy przemykał wzdłuż brzegu, w lewo, potem w prawo, posuwał się chyłkiem, zgięty, jak złapany w pułapkę. Od strony willi dyrektora usłyszeli nawoływanie pani Pihl: Mitzi, gdzie jesteś, chodź tu! Tomasz widział przez żywopłot oświetloną werandę, ale pani Pihl nie mógł dostrzec, mógł ją tylko wyobrazić sobie, w szlafroku przypuszczalnie i w lokówkach na głowie, w jedwabnych pantofelkach przybranych puszką, wypatrującą w ciemności psa uciekiniera. Chwila wahania i przerzucił nogi przez parapet. Ingalill nie zdążyła mu przeszkodzić, na ugiętych kolanach wylądował miękko w środku rabaty i pędem puścił się ku rzece.

– Halo? Co pan tam robi!

Ciemna sylwetka między olchami jakby zapadła się w wodę, żeby wychynąć po chwili nad burtą łodzi. Kadłub zadygotał i wyraźnie zaczął się ześlizgiwać. Tomasz słyszał chrobot dna o piasek, chlupot wody, wywołany chybotaniem łodzi przy wskakiwaniu intruza. Gdy Tomasz dobiegł do celu, łódź spłynęła już w nurt. Łańcuch uderzał o nabrzeżne kamienie, wiosła uniosły się w górę, plasnęły

o wodę i łódź wraz z siedzącym w niej człowiekiem roztopiła się w ciemności. zagłębiła w noc i opadająca mgłę.

Tomasz zatrzymał się zdyszany i kłął bezgłośnie, że pozwolił uciec nieznajomemu i to na dodatek w łodzi Krystyny.

– Ty złodzieju! – krzyknął w ślad za zbiegiem. Jednocześnie próbował utrwalić w pamięci jakiś znak szczególny, mógł się jednak wesprzeć tylko na wrażeniach, zarejestrowanych podświadomie, być może zafałszowanych przez ciemność, szybkość i ruch.

Zawrócił. W połowie drogi do domu natknął się na dyrektorkę. Rzeczywiście miała na sobie szlafrok i lokówki na głowie, a spojrzawszy na jej nogi stwierdził, że i obrazu pantofli wyobraźnia nie zafałszowała: zdobiły je pompony z białego puchu.

– Co się stało z Mitzi? – zagadnęła go. – Co pan z nią zrobił?

– Nie ja. Ktoś inny. Ktoś wrzucił ją do rzeki. Ale nie wydaje mi się, żeby był powód do niepokoju, jamniki dobrze pływają, wkrótce tu będzie.

– Kto mógł tak postąpić z biedną psiną? Widział pan, kto to był?

– Nie.

Pani Pihl pociągnęła nosem.

– Mitzi się wymknęła, nie miałam nic przeciw temu. Kiedy jestem sama, pewniej się czuję, wiedząc, że biega koło domu i pilnuje. To znaczy była u mnie pani Sjöman, ale Perra zadzwonił, że jej mała wyszła po kryjomu, więc się pożegnała, a mego męża nie ma.

Wyprostowała się.

– Mitzi biega tylko po ogrodzie, nigdy się nie oddala. Musiała zwęszyć tego człowieka.

– Być może.

– Miałam się właśnie położyć. Biedna Mitzi. – Znów

pociągnęła nosem. – W dodatku przeciskając się przez ten okropny żywopłot wdepnęłam w jakąś krecią jamę, o mało nogi nie skręciłam. Niech pan mi pomoże ją odnaleźć, drogi profesorze. Co ten podejrzany osobnik tu robił?

– Właśnie, może kradł śliwki? Teraz zamiast śliwek straciliśmy łódkę.

– Niech pan weźmie naszą, jeśli trzeba. Chce pan wypłynąć?

– O Mitzi może pani być spokojna, zaręczam pani.

Słowa te natychmiast znalazły potwierdzenie. Od brzegu dał się słyszeć chlupot, parskanie i nie pozostawiający wątpliwości odgłos otrząsania się z wody. Tomasz krzepiąc co uśmiechnął się do dyrektorowej.

– A nie mówiłem, już jest.

Wera przykucnęła i wyciągnęła ramiona, pies szczekając dał susa w jej objęcia. Pani, nie zważając na przemocony szlafrok, szczebiotała:

– Moja maleńka Mitzi, co oni ci zrobili!

Ruszyła w stronę żywopłotu, zupełnie zapominając o Tomaszu. Nagle jednak przystanęła.

– A panna Vannerman wróciła?

– Nie. Nic o niej nie wiemy. Niech pani uważa na krecie jamy.

Pani Pihl, jej pies i białe puchowe pompony, wszystko zniknęło za żywopłotem.

Panie profesorze, monologował Tomasz w myśli. Wiadomo, jak się kto nazywa, wiadomo, kto kim jest. Wszyscy się wzajemnie obserwują i pewnie oplotkowują. Znają też tajemne przejścia w żywopłocie. Czasami przez przypadek, jak dzisiaj wieczoru, spotykają się i bywają zmuszeni do wymiany kilku słów. A potem jest znowu jak zawsze. Obcy, choć sąsiedzi. Konwencjonalne kiwnięcie głową lub uchylenie kapelusza przy mijaniu na ulicy. Oficjalne rozmowy telefoniczne o tym, że Svante Pihl nie przyniósł świadectwa lekarskiego, usprawiedliwiającego

nieobecność na dwóch lekcjach – akurat wtedy, kiedy były zawody narciarskie w Hestra.

Ruszył do domu. Lampa w jego pokoju znowu się paliła, okno było otwarte, Ingalill dawała mu znaki, przypuszczała widać, że zechce wrócić tą samą drogą, jaką wyszedł, co ani mu było w głowie. Wyjść oknem to żaden problem, wejść przez okno jest nieco trudniej, wolał drogę okrężną. Za narożnikiem wyszedł na wysypany żwirem placyk przed przybudówką. W miejscu gdzie przybudówka łączyła się ze starym domem, w samym rogu, znajdowało się tylne wejście. Tego wejścia, przeznaczonego dla lokatorów z góry, nigdy nie zamykano. Teraz drzwi były otwarte na oścież i padał z nich słaby, chybotliwy blask, który to przygasał, to wzmacniał się. Tomasz przystanął, zdziwiony, mózg szybko pojął, co się dzieje, i przekazał impuls do działania. Tomasz wbiegł do sieni, stwierdził, że się nie myli. Paliło się. Nic groźnego, ale jednak. Ogień buzował w wiązce starannie ułożonych drewnienek. Płomienie lizały ścianę, na której lakier już się gotował, pękające bąble wydawały trzask. Tomasz zgarnął drewnienka, wyrzucił na żwir, parząc przy tym rękę. Potem ściągnął starą zasłonę z pręta przy schodach, zmiął w kulę i przeciągnął po rozpalonym lakierze.

Ugaszone. Została tylko czarna plama na podłodze i osmalenie na kawałku ściany. Drewnienka dopalały się na dworze. Odetchnął głęboko. Ręka piekła, serce waliło. Dopiero teraz uświadomił sobie, że serce łomocze mu w takt dźwięków fortepianu, rozbrzmiewających z góry. Twarde, szybkie uderzenia znowu wydobywały z klawiatury te pogańskie, prymitywne, chaotyczne dysonanse, które wypełniały sieni, buchały przez otwarte okno.

„Taniec ognia”. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej. Prawie północ. Pełniący obowiązki dyrektora gimnazjum w Gislaved Bengt Fritze wywoływał de-

mony, nie licząc się z porą, miejscem i otoczeniem. Tomasz wbiegł na podest schodów i zawołał:

– Czyś ty oszalał? Skończcie z tym!

Fritze opuścił ręce, wstał, podszedł do okna i przechyliwszy głowę w bok parę razy zaczerpnął tchu, potem ukrył twarz w dłoniach. Zapanowała cisza, głęboka cisza. Tylko gdzieś daleko odezwał się sygnał samochodu, zamilkł i nad Gislaved zapanowała noc i spokój.

Rozdział piąty

Sobota, 13 września. Ranek.

Przed opuszczeniem łazienki Durell rozpylił chmurę wonnego The Baron after shave wokół swej świeżo ogolonej brody. Otworzył okno. Sobotni ranek był ciepły i mglisty. W nocy padało, na asfalcie rynku lśniły jeszcze kałuże, roślinność w parku była dojrzała i świeża. Drzewa w alei wiodącej do stacji miały bujną zielenią późnego lata, nie naznaczoną jeszcze improwizacjami z obfitej palety jesieni. Na rynku panował już ożywiony ruch. Gospodynie kupowały kwiaty i jarzyny od wózkarzy, ciężarówki wjeżdżały zza rogu ulicy, zdążając do centrum targowego, zwolennicy pieszych wędrówek od rana wyruszali w pola i lasy, ten z psem u nogi, ów z koszem na grzyby.

Durell spojrział na zegar w szczycie starego budynku Kasy Oszczędnościowej, po przeciwnej stronie rynku. Ósma. Melander może się ukazać lada chwila. zaplanowali sobie wycieczkę do Norlidahället, gdzie szef wynajął teren łowiecki nad jeziorem i twierdził, że jest tam mnóstwo kaczek.

Durell zszedł na dół. Gdy mijał recepcję, Melander stanął w drzwiach, ubrany w strój niewątpliwie myśliwski, w kapelusik z piórkami, lodenową kurtkę i zielonka-

woszarę spodnie wpuszczone w cholewy Plecak, przez ramię przewieszony mapnik. Durell nie czuł się bynajmniej zdystansowany: w wiśniowych kamaszkach do połędki, ładnie skonstrastowanych z szarymi skarpetami do kolan, wciągniętymi na obcisłe granatowe spodnie golfowe w paseczki. Prócz tego miał na sobie brązową kurtkę skórzaną, jasnoniebieską koszulę i rdzawy krawat w czerwone kropki, mogące iść w zawody z jego naturalną ozdobą, z piegami, a na głowie sportową czapkę z daszkiem, beżową w kratę. Melander przyjrzał mu się z pewnym zdumieniem i coś pod nosem zamruczał. Durell jednak dosłyszał i przysiągłby, że szef powiedział: – Wielki Boże, mamy przecież te kaczki wystrzelać, a nie wystraszyć je na śmierć.

Wyszli i usadowili się w starym volkswagenie Melandera, który cudem chyba się w nim mieścił przy swej długości. Ruszyli w Köpmannagatan.

– Zrobimy mały objazd – powiedział Melander – bo chciałbym przejechać koło tego domu, w którym wczoraj byliśmy. Posłałem tam paru moich chłopców.

Durell spojrział ze zdziwieniem.

– Do domu Vannermanów?

– Właśnie. Dostaliśmy wiadomość o próbie podpalenia. Ktoś puścił kurka w sieni przy schodach. Jej bratanek telefonował.

– A panna Vannerman nie dała znaku życia?

– Nie wiem. Może się czegoś tam dowiemy. – Melander dał się wyprzedzić ciężarówce. – Nie miało sensu zaczynać, nim się rozwidni, więc powiedziałem chłopcom, żeby przyszli o ósmej. Nie przypuszczam, żeby to było coś poważnego.

– Podpalenie jest zawsze sprawą poważną.

– Nie to miałem na myśli, tylko że pożar szybko wykryto i ugaszono. W przeciwnym razie taka wielka drewniana buda spłonęłaby jak hubka.

– Z pewnością.

Skręcili z Köpmannagatan na most na Nissie. Dwie dubeltówki na tylnym siedzeniu szczęknęły. Minęli budynek opuszczonej fabryki z powybijanymi oknami i odpadającym tynkiem. Durell się zamyślił.

– Jest w tym jakiś związek? – zapytał.

– Między zniknięciem a podpaleniem? Też się nad tym zastanawiałem. Może nie ma żadnego.

– Ale nie jesteś pewien. Uważasz, że to dość dziwny zbieg okoliczności?

– Może. Dlatego właśnie chcę, żebyśmy tam zajrzeli. Z jakich powodów ludzie podpalają?

– Cóż, najpospolitsze bywają trzy powody. Ktoś jest piromanem, chce dostać wypłatę ubezpieczeniową, chce się zemścić.

– Jest jeszcze jeden. Chce zatrzeć ślady przestępstwa. Powiedzmy, że za tym wczorajszym zniknięciem kryje się coś zbrodniczego. Nie przeprowadziliśmy dokładniejszych oględzin. A tym samym nie zabezpieczyliśmy ewentualnych śladów, jakie pozostały. Była więc możliwość zatarcia ich. Czyli może istnieć związek między podpaleniem a zniknięciem panny Vannerman.

– A jeśli kryje się za tym zbrodnia, kogo byś podejrzewał?

– Tego samego co ty.

– Bratanka. – Durell powiedział to tonem zagadkowym, ani twierdzącym, ani przeczącym.

– Oczywiście. Wszystko, co wiemy, wiemy od niego. Mógł na przykład zamordować, utopić w rzece, a potem wymyślić całą farsę z łazienką.

– Tylko jak ją usunął z domu?

– Choćby przez okno swego pokoju. Wychodzi dyskretnie na ogród. Potem zatroszczył się o zaalarmowanie pozostałych osób, pośrednio także o zaalarmowanie policji. W ten sposób wypadł bardzo niewinnie.

Durell kiwnął głową potakująco.

– A potem podłożył ogień. A żeby odwrócić od siebie podejrzenie, znowu on zawiadomił policję, tak rozumiesz.

– Właśnie.

– Uznajesz więc za prawdopodobne, że ktoś podkłada ogień, żeby zatrzeć ślady, a następnie gasi, nim się na dobre rozpali i ślady zostaną zatarte?

Melander zmieszał się nieco.

– Rzeczywiście, to niezupełnie się zgadza.

– Czyżby? – zdziwił się Durell. – Jeżeli ślad znajdował się właśnie w tym miejscu, gdzie podłożył ogień, wcale nie trzeba było dużego płomienia, żeby go zniszczyć. Pasuje? Może ją tam właśnie zatłukł i były ślady krwi.

Melander stracił pewność siebie.

– Też pasuje.

– Tylko że – uśmiechnął się Durell – wiedział już przecież, że nie zamierzamy szukać śladów, po cóż więc podpalał i w porę gasił, tak by wszystko wskazywało na umyślne podpalenie. Rozumiał chyba, że to może zwrócić naszą uwagę na inne tajemnicze fakty. Mogło to nas na przykład skłonić do rozpoczęcia poszukiwań Krystyny Vannerman.

Melander rozjaśnił się.

– Chyba o to mu chodziło. Nie widział żadnego zainteresowania i dlatego podpałił.

– Owszem, tylko w takim razie należy odstąpić od podejrzenia, że on ma coś wspólnego ze zniknięciem. A od tego przecież zaczęliśmy.

Z zadowoleniem roześmiał się z przygaszonej miny szefa i ciągnął dalej:

– Załóżmy więc: jeżeli za zniknięciem kryje się zbrodnia, Tomasz Vannerman najprawdopodobniej nie jest jej winien. I w takim wypadku możemy polegać na jego oświadczeniach. A jeżeli próba podpalenia ma coś wspólnego z owa domniemaną zbrodnią, i w tej sprawie nie on

jest winowajcą, możemy zatem i w tym wypadku polegać na jego zeznaniach. Jeśli by nawet, niezależnie od zniknięcia, on upozorował pożar, jest zupełnie możliwe, że opamiętawszy się, sam by go w porę ugasił. Tylko że z pewnością wcale by tego nie zgłosił. Przyjmijmy więc założenie, że i w sprawie podpalenia nie on jest winowajcą. Co nie wyklucza związku pomiędzy podpaleniem a zniknięciem, wyklucza tylko Tomasza jako sprawcę. Przejdźmy do motywu: odszkodowanie ubezpieczeniowe. Dom został sprzedany, co nie przemawia za tą teorią.

– Słusznie.

– Można natomiast brać pod uwagę wyczyn piromana. Tacy bywają bezwzględni, gdy ich ogarnie żądza podpalenia. Gdyby się udało, byłaby katastrofa. Strach pomyśleć, u podnóża schodów, droga ucieczki zamknięta, ogień rozszerza się błyskawicznie – Durell otrząsnął się ze zgrozą.

– Piromani to rzadkie okazy. Więc zemsta? Cóż, albo to ma związek z wczorajszym wypadkiem, albo zemsta. Zobaczymy. Trzeba będzie dokładnie obejrzeć tę łazienkę.

– A polowanie na kaczki?

– Zajmiemy się tym po polowaniu.

Melander uśmiechnął się, a Durell ściągnął wargi i zagwizdał. Ochylił głowę, kryształowo czyste tony wypełniły samochód, mieszając się z szumem silnika. Seria szybkich trioletów, będących introdukcją arii Rossiniego, nie trwała długo, gdyż podjechali pod wille.

Dwoch policjantów krzątało się na klatce schodowej, jeden zbierał przed domem strzępy papieru i nadpalone drzażgi. Przed wejściem stał aparat filmowy na statywie, Tomasz i Fritze też byli na dole. Jeden z policjantów na widok hamującego samochodu wyprostował się.

– Tego nie zrobił fachowy podpalacz – zameldował. – Zupełnie jakby ktoś chciał w piecu rozpalić. Gazety, drewnianka, ani śladu benzyny, denaturatu czy czegoś, co podsyca.

Melander zajrzał w plastikową płachtę, na którą zgarbięto opalone resztki. Przykucnął i przyjrzał się strzępom gazet.

– „Wiadomości Dnia” – oznajmił.

– Czyli sprawcy należy szukać w kręgu czytelników tego pisma – uzupełnił Durell – zawsze coś. Więcej nic?

– Nic. W nocy padało. Nie ma śladów, odcisków stóp. Mamy natomiast świadka – zagadnięty wskazał Tomasza, do którego Durell podszedł z życzliwą miną.

– Żadnych wiadomości o pana ciotce? – spytał.

– Żadnych, jeśli jej zniknięcie dziś więcej pana interesuje niż wczoraj, łazienka jest nie tknięta. Drzwi zabiłem dyktą. Sądzę, że ze względu na tę próbę podpalenia policja powinna się trochę więcej zaangażować w zbadanie, co się za tym wszystkim kryje.

Durell rozpromienił się.

– Oczywiście. Zaczniemy może od podpalenia.

Podczas gdy Tomasz rozpoczął opowieść o wydarzeniach wczorajszego wieczoru, Durell wyciągnął z kieszeni notes w czarnej ceratowej oprawie i czerwony długopis. Zanotował: szczekanie psa sąsiadów, jakiś nieznajomy w ogrodzie. Próba złapania wymienionego, jego ucieczka w łodzi Krystyny. Rozmowa z panią Pihl, odkrycie, że w sieni się pali. Zanotował nawet wzmiankę o Fritzem i „Tańcu ognia” de Falli. Gdy Tomasz skończył, Durell zwrócił się do dyrektora:

– Był pan więc w hallu na górze, gdy się to wszystko działo?

– Tak – odpowiedział Fritze. – Ale nic nie zauważyłem.

– Nic pan nie widział; nie słyszał, nie czuł pan nawet dymu?

– Nie.

– Nie ma pan więc nic do dodania?

– Nic.

Durell spojrzał na niego uważnie. Dym musiał prze-

dostawać się bezpośrednio do hallu, musiał być widoczny i wyczuwalny węchem. Zdecydował się na większą natarczywość.

– Dlaczego nagle zaczął pan grać? I to utwór tak odpowiedni?

– Dość zabawny przypadek – chłodno odpowiedział Fritze. – Choć z drugiej strony, jestem właśnie w trakcie opracowywania tego utworu. Mam nadzieję, że nie chce pan dać do zrozumienia, iż to ja podłożyłem ogień.

– A interesuje się pan ogniem?

– Chodzi panu o to, czy mam skłonność do piromanii? – roześmiał się ironicznie. – Nie, drogi panie. W każdym razie nie do tego stopnia, żebym miał sam siebie podpalać.

– Czy pora nie była zbyt późna, by ćwiczyć de Fallę?

– Możliwe, ale po tym, co się stało z Krystyną, nie zastanawiałem się nad porą i miejscem. Wszyscy spali.

– Właśnie. Właśnie dlatego taki spóźniony koncert wydaje się dość bezwzględny.

– A jednak nie pobudzili się. Bror Andersson dobrze sypia po kilku szklaneczkach whisky, a panna Nordin, o ile wiem, wzięła dla uspokojenia trzy tabletki nasenne.

– Tak, tak.

Durell zwrócił się do Tomasza.

– A ta tajemnicza osoba, którą pan gonił aż do rzeki, czy może pan podać jakiś rysopis? Duża, rosła?

– Dość niskiego wzrostu, drobna twarz, chyba bokobrody... na głowie kepi czy coś w tym rodzaju, trener z odbłaskową naszywką na plecach. Wszystko to odbywało się w takim tempie... najbliższa odległość, z jakiej go widziałem, wynosiła jakieś cztery metry.

– Go? Czy jest pan pewien, że to był mężczyzna?

Tomasz spojrział zaskoczony.

– A pan sądzi, że to mogła być kobieta?

– Oczywiście. Powiedział pan: bokobrody. Czyż nie

mogły to być długie włosy wepchnięte pod czapkę, spod której kilka kosmyków się wysunęło?

– Naturalnie... chociaż nie wydaje mi się. Zakładałem, że mam do czynienia z mężczyzną.

Durell wyprostował się.

– Ile łódek należy do mieszkańców tego domu?

– Tylko jedna. Tylko Krystyna ma łódź.

– Aha. – Durell ponad ramieniem Tomasza przeniósł wzrok na wybrzeże.

– I ten osobnik uciekł w łodzi Krystyny?

– Tak.

Tomasz poczuł się niepewnie widząc, że Durell spogląda na coś poza jego plecami. Odwrócił się wolno. Na przystani znajomy poczerniały kadłub sterczał do góry, biegnący od niego łańcuch przymocowany był do tego co zwykle słupka.

– Czy to ta łódź? – spytał Durell. – Łódź Krystyny?

Tomasz potwierdził, zmieszany. Tknęło go jakieś okropne przeczucie.

– No więc teraz łódź jest na miejscu i wszystko w porządku – powiedział Durell. – Przyjmijmy, profesorze, że sprawczynią nocnego podpalenia była kobieta. Przyjmijmy – ciągnął, a oczy jego przybrały tajemniczy wyraz – że tą kobietą mogła być pana ciotka. A w takim razie, gdzie może być teraz Krystyna Wannerman?

Może to i błąd, że kupiłem dom od panny Wannerman, myślał Kurt Karlsson. Ale mogę go przecież sprzedać, jeżeli Anna stanie okoniem. Którędy ta nagonka poszła?

Zatrzymał się i nasłuchiwał, poki nie usłyszał znowu szczenia, wtedy ruszył w las. Miał ponad siedemdziesiąt lat, ale nie wyglądał na ten wiek. Plecy proste, ramiona szerokie, nogi mocne, noszące go lekkim, płynnym krokiem leśnego wygi po mchach między gęsto rosnącymi

rosochatymi jodłami. Zdązał w kierunku jeziora. Od czasu do czasu przystawał i słuchał, skąd dochodzi wrzawa. Wyżeł wytropił zajaca po kilku minutach, ale szczekanie oddalało się, zakreślając wielki krąg, i Karlsson wiedział, że jeśli chce mieć jakąś przyjemność i pożytek z tego zajaca, musi iść do przełazu koło granicznego rowu od strony nadbrzeżnych łąk i działki panny Vannerman. Jeśli ma zdążyć, musi iść na przełaj przez las. Wkrótce znalazł się na ścieżce prowadzącej do przełazu. Przeróżne ujadanie wyża zbliżało się. Stał przy ścieżce, oparł się o sosnę, odbezpieczył strzelbę, otarł pot z czoła i wypatrywał. Jezioro przebłyskiwało pomiędzy drzew i zarośli. Słońce zaczynało przypiekać. W nocy padało, ale teraz robiła się pogoda. I tak czekając na niedzielną pieczeń wypatrywał Annę. Siedziała u wylotu ścieżki na głazie, pochylona, z głową opartą na rękach i spoglądała na niego posepnie. Miała na sobie szary sweter, tak samo szary jak kosmyki jej włosów.

– Po co tu siedzisz? – zapytał. – Im mniej ludzi na drodze zajaca, tym lepiej. Lada chwila tu będą.

Córka wyprostowała się i opuściła ręce na kolana.

– Siedzę i myślę sobie, jak to będzie – powiedziała. – Nie wiedziałam przecież, że akurat tu się ustawisz.

– Jak będzie? – między brwiami Karlssona pojawiła się głęboka bruzda. – Już zdecydowane, jak będzie. Przeprowadzisz się do Gislaved, przecież już zostało postanowione.

Anna spuściła oczy.

– Ja z tym nie dam rady. Tu mi najlepiej. I tobie jestem potrzebna. – Skubała brzeg swetra. – Tato, ja przecież ledwie piszę, błędy robię i... rachować też nie potrafię. Kto ma pensjonat, musi rachować.

– Boże wielki, nie możesz przecież przez całe życie być przy mnie. Na co ty właściwie wyrosłaś? Za męża nie wyszłaś, nic nie potrafisz, tylko sprzątać i gotować. No

więc tym się zajmuj. Teraz będziesz to robić we własnym pensjonacie.

Surowo patrzył na córkę. Miała krzepkie ciało, mocne ręce, wyglądała raczej na mężczyznę, tylko głowę miała słabą, tego był w pełni świadom. Westchnął. Dlaczego teraz, kiedy zatroszczył się o przyszłość, wreszcie ją urządził, ona się sprzeciwia? Odgłosy znowu się oddaliły, widocznie kandydat na pieczeń ich usłyszał. Zabezpieczył strzelbę i postawił ją pod drzewem.

– Wcale nie trzeba dużo umieć, żeby prowadzić pensjonat. A dobrze zarobisz. Jeżeli potrzebna ci będzie pomoc, możesz poprosić Ethel, nie odmówi, bo też na tym ekstra zarobi. Słuchasz?

Anna tylko kiwnęła głową. Stary ciągnął dalej:

– Wyłożyłem sto pięćdziesiąt tysięcy gotówką, żeby cię zabezpieczyć. Pieniądze za las do ostatniego öre. A ty siedzisz na kamieniu i myślisz, i tyle wymyśliłaś, żeby być przeciw. Zamiast brać i dziękować. Kiedy ja nogi wyciągnę, będziesz mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, zostaniesz sama, niezaradna. Wtedy przyda ci się własny pensjonat.

Urwał. Choć w miarę mówienia podniecał się coraz bardziej, nastawiał jednak uszu na szczekanie, które znowu się przybliżyło. Zajac musi tędy przelecieć, chwycił więc strzelbę i ciągnął dalej przytłumionym głosem:

– Jakie to szczęście, że trafił się akurat dom panny Vannerman. I że udało mi się porozmawiać z nią akurat we właściwym momencie, kiedy zaczęła myśleć o sprzedaniu. I szczęście, że wtedy właśnie dostałem pieniądze za las i mogłem zapłacić gotówką, bo to musiało być natychmiast i było. Ona też uważała, że świetnie się udało załatwić coś dla ciebie. Dom jakby na pensjonat wybudowany. A pensjonat to coś dla Anny, w sam raz dla kogoś, kto umie tylko gotować i łóżka zaścielić.

Patrzył na ścieżkę, ujadanie było bliskie, więc szepnął prawie:

– Zresztą już podpisane, zapłacone, załatwione. Tylko się mądrze zabrać do rzeczy.

W tejże chwili zając ukazał się na ścieżce, biegł wyraźnie z wysiłkiem. Karlsson zmierzył, strzał huknął w ciszy. Zając zawিrował, wyżeł wypadł z krzaków. Przeróżliwe szczekanie nabrało głębszych tonów, by ścichnąć, gdy dopadł zdobyczy. Charcząc wyrywał kłaki z zajęczego futra.

Stary spojrzął na córkę.

– Ty się pewnie boisz, że ciebie będą tak szarpać, kiedy pójdziesz od ojca. Nie ma strachu, szarpie się takiego, co już leży.

Uśmiechnął się do niej zachęcająco, ale twarz Anny pozostała nieruchoma jak wyciosana z drewna. Kanciasta martwa maska. Karlsson wzruszył ramionami i poszedł uratować zdobycz z zębów psa. Wtedy Anna wstała, zbliżyła się do niego, wyciągnęła swe szerokie, mocne dłonie.

– Czy to są ręce do pensjonatu – spytała – takie ciężkie i toporne? Dobrze na wsi, obornik wyrzucać, ziemniaki okopywać.

Odwróciła się i szybko odeszła w stronę domu. Karlsson stał chwilę nieruchomo z zającem w jednej ręce, w drugiej trzymając nóż, już wyjęty do wypatroszenia. Okropnie te jej ręce wyglądają, pomyślał. Zrogowaciałe, przeżarte brudem i takie wyniszczzone, że żywe ciało czerwono prześwituje koło pooblamywanych paznokci.

Brora Anderssona wyrwało ze snu terkotanie budzika. Sprężyny w starym łóżku zaskrzypiały, gdy odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby wyłączyć dzwonek. Ale nie mógł trafić, budzik dzwoniąc spadł na podłogę i zamilkł. Podniósł i spojrzął z gniewem: wpół do dziewiątej. Usiadł

w celu sprawdzenia, czy nie ma bólu głowy. Po tym wczorajszym zamieszaniu wycofał się do swego pokoju i spędził wieczór w towarzystwie butelki whisky – towarzyski, z którą zbyt często i zbyt wiele przestawał, a wyrzuty sumienia, jakie miewał z tego powodu, udawało mu się stłumić tylko przy pomocy jeszcze jednej mieniającej się złościście szklaneczki. Stwierdził, że rzeczywiście źle się czuje. Ból głowy nie był zbyt dokuczliwy, ale wystarczający, by szukać jakiegoś środka zaradczego. Wsunął rękę pod łóżko i wyciągnął na pół opróżnioną butelkę piwa. Otworzył kapsel i zwilżył gardło kilkoma łykami zwietrzałego napoju.

Ożywiło go to jednak. Postawił butelkę na nocnym stoliku i wstał. W piżamie podszedł do okna, podniósł roletę i otworzył okno na roścież. Z trudem wykonał kilka przysiadów, dla pewności trzymając się parapetu. Wciągał głęboko powietrze i przysiadając wypuszczał je. W sadzie naprzeciwko dostrzegł aptekarza. Sjöman stał tuż przy sztachetach i bez powodzenia usiłował zerwać jabłko.

– Dzień dobry panu – zawołał Bror. – To chyba zbyt uciążliwe, nie lepiej byłoby namówić syna, żeby wszedł na drzewo?

Aptekarz drgnął, potem z lekkim uśmiechem zwrócił głowę ku profesorowi łaciny.

– Zapewne. Tylko syn jest nad rzeką, poszedł na ryby, a poza tym to jabłko tak jakoś bez sensu tkwi na gałęzi, za wysoko. Może mi pan profesor powiedzieć, co policja tam robi u państwa?

– Policja? Znowu tu jest?

– Właśnie. – Sjöman podszedł do sztachet i roześmiał się dość nieprzyjemnie. – Może pan profesor dowie się, co tam zaszło. Są po tamtej stronie.

Bror Andersson zamknął okno i wrócił do stolika nocnego. Czuł się tak podle, że musiał znowu pociągnąć kilka łyków piwa. Włożył szlafrok, wsunął nogi w przydeptane

pantofle i wyjrzał na korytarz. Cisza, spokój. Ruszył do łazienki. Jednocześnie Klara wyjrzała ze swego pokoju, dostrzegłszy Brora, kiwnęła mu głową na dzień dobry i w takim tempie pobiegła do łazienki, że nim zdążył odpowiedzieć na powitanie, już w niej zniknęła. Usłyszał opuszczanie rygielka. Z westchnieniem zawrócił do pokoju. Zastukały kroki na schodach. W chwilę później ukazała się głowa Fritzego.

– Słyszałem, że policja znów tu jest – zagadnął go Bror Andersson. – O co chodzi tym razem?

Fritze stanął tuż przy nim, pochylił głowę czujnie jak tropiący pies i rzekł sarkastycznie:

– Pachniesz piwem, Bror. Cóż. Jest policja. Powinniśmy być wdzięczni losowi, że nie leżymy zwęgleni pod ruinami tej budy. Ktoś próbował w nocy podpalić cały ten kram.

Brora Anderssona zatkało.

– Na litość boską, co ty mówisz. A wiadomo kto?

– Nie. Może ty wiesz?

– Ja! Ja wiem tylko, że w środku nocy ktoś tu bębnił na fortepianie jak oszalały. – Demonstracyjnie wysunął brodę. – Żeby tak bezwzględnie i w taki sposób budzić cały dom! Żeby tak nie brać pod uwagę tego, co się przedtem stało! Nie uważasz, że potrzebny nam był spokój?

Fritze zimno popatrzył na niego spod przynikniętych powiek.

– Może dlatego właśnie grałem – powiedział. – Ludzie mogą w różny sposób szukać spokoju.

Odywrócił się i odszedł.

Bror Andersson wzruszył ramionami. Dobrze robi czasem powiedzieć, co się myśli. Osadzić trochę tego aroganta. Przecież on mógłby być moim synem. Przeszedł przez cały hall, minął schody i wszedł w przeciwległy korytarz, gdzie była druga łazienka. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Chwilę stał zbity z tropu. I tu też zajęte? Podeszedł do okna w końcu korytarza i wyjrzał. Rzeczywiście, była

policja. Kilku mundurowych, szef i ten drugi, który tu był wczoraj. I Tomasz. Tomasz Vannerman rozmawiał z tym małym, okrągłym. Bror Andersson doznał dziwnego uczucia. Jego mózg potrzebował kilku sekund na zestawienie faktów. Klara w tamtej łazience, Bengt Fritze wszedł do swego pokoju, Tomasz w ogrodzie, a on sam tu przy oknie. Więc w jaki sposób druga łazienka może być zajęta? Znowu poruszył klamką. Zamknięte. Schylił się i zajrzał w dziurkę od klucza. Tkwił w niej klucz. A więc zamknięta od wewnątrz. Stojąc tuż przy drzwiach uświadomił sobie, że tam słychać plusk wody, powolny, równy. Nie z kranu chyba ciekło, tylko przelewało się. Ogarnęła go panika. Podbiegł do okna, wychylił się i zawołał:

– Halo! Policja! Proszę tutaj!

Serce waliło mu jak młot, tchu nie mógł złapać. Wreszcie udało mu się wydobyć z gardła coś więcej:

– Halo! Tu na górze ktoś się zamknął w łazience. Nie wiem... chyba nikt z domowników: Z wanny się wylewa... – Słowa mu się plątały, ale tamci byli już na górze.

Ledwie zdążył się odwrócić, a pojawił się mały okrągły. Bror Andersson drżącym palcem wskazał drzwi, Durell potrząsnął klamką, przyłożył ucho, zajrzał w dziurkę od klucza, wyjął z kieszeni kurtki scyzoryk, podłubał w zamku, usłyszał stuk spadającego klucza.

– Załatwione – mruknął. – Postaraj się o wytrych – zwrócił się do Melandera. – Masz wytrych? Spytaj, kto ma.

Pytanie zostało przekazane mundurowym i po chwili podano mu dwa pęki kluczy.

Przez ten czas zadyszany Tomasz wyjął klucz z drzwi przeciwległego pokoju, zwanego kancelarią.

– Ten pasuje – powiedział.

Durell przekręcił klucz, otworzył drzwi i zajrzał. Przez brzeg wanny przelewała się parująca woda. Klucz leżał na podłodze, na haczyku wisiał szlafrok. Zamknął i zwrócił się do Tomasza:

– Pora nadeszła. Pańska ciotka wróciła. Niestety, nie żyje. Leży w wannie z raną postrzałową w czole. Powiadamiam o tym, nim poproszę pana o zidentyfikowanie zwłok.

Rozdział szósty

Sobota, 13 września. Popołudnie.

Durell wyszedł z domu i obrzucił spojrzeniem gromadę zebranych. Na ulicy stały dwa czarno-białe wozy policyjne. Przyjechały z Jönköpingu z ekipą do zabezpieczania miejsca zbrodni, z fotografem, lekarzem sądowym i resztą potrzebnego personelu. Przed domem stał jeden z nowocześnie wyposażonych mikrobusów dochodzeniowych, drugi już odjeżdżał, zawożąc zwłoki na obdukcję.

Wiadomość szybko się rozeszła. Ludzie usiłowali z zażywością zajrzeć na teren brązowego domu. Samochody mijaly w ślimaczym tempie, a z za opuszczonych szyb wyglądały ciekawe twarze. Przed frontowym wejściem stał policjant, skutecznie broniąc się przed reporterami. Odsyłał ich do kierownictwa grupy dochodzeniowej, która oczywiście nie odpowiadała na żadne pytania, bo nic jeszcze nie było do powiedzenia poza tym, że popełniono morderstwo, niewątpliwie morderstwo.

Kamaszki Durella skrzypiały nieprzyjemnie, gdy zdążył do zaparkowanego na ulicy samochodu. Otworzył drzwiczki, wyjął leżący na tylnym siedzeniu chlebak i zniknął we wnętrzu domu; nieczuły na spojrzenia i pospiesznie rzucane pytania dziennikarzy. Przy kuchennym stole czekał już Melander, opierając łokcie na ceracie. Durell odpiąwszy paski wydobyl z chlebaka serwetki, plastikowe talerzyki, kubki i termos. Odwinał paczuszkę z kanapkami. Zapachniało metką i jajkami na twardo. Wreszcie usiadł i założył serwetkę pod brodę.

– A teraz – powiedział – rozpatrzmy rzecz całą od początku.

– Wobec tego – rzekł Melander – wezmę tę z jajkiem.

– Słuchaj – ciągnął Durell – ta historia rozpada się na trzy części. Skoncentrujmy się na pierwszej. Krystyna zamknęła się w łazience, ubrana tylko w szlafrok. W chwilę później zniknęła z łazienki w dziwnych okolicznościach. A jak to ustaliliśmy już wcześniej, jadąc samochodem, powinniśmy co do tych okoliczności zawierzyć świadectwu Tomasza Vannermana. A jeśli tak, pytam, jak mogło się odbyć to zniknięcie pod względem technicznym?

– Pojęcia nie mam. Cos ty zanotował o łazience?

Durell wyłowił z kieszeni swój czarny notes. Przerzucił kilka kartek i odczytał:

– Łazienka staromodna, z wolno stojącą wanną, wymiary 3,5x3. Zatyczka w końcu wanny, patrząc od drzwi. Dość duża studzienka w podłodze umożliwiająca szybki odpływ. Staroświecki sedes i umywalnia. Naprzeciw drzwi lustro od podłogi do sufitu. W ścianie na prawo, bardzo wysoko, standartowy wywietrznik. Brak okien. Żadnych ukrytych wyjść. Jedyne możliwe wyjście: przez drzwi. Jak wiadomo, zaopatrzone w urządzenie ryglujące, które otworzyć można tylko od wewnątrz.

– A co zanotowałeś o ryglu?

– Mosiężny. Dość elegancki. Umocowany na mosiężnym bolcu, który nie przechodzi przez futrynę na wylot, więc nie można nim manipulować z zewnątrz, nie można także dostać się do obu, mających kształt litery U, uchwytów, a prościej mówiąc zatrzasków, z których jeden utrzymuje rygielek w pozycji otwartej, to jest pionowo, drugi w zamkniętej, czyli poziomo.

– A jakie drzwi się tam znajdowały? – Melander przerwał na chwilę przeżuwanie, żeby lepiej słyszeć, bo jajko ułożone było na chrupkim, trzeszczącym chlebie.

Durell przewrócił kartkę.

– Szklanki i szczoteczki do zębów, grzebień z kilkoma włosami, szczotka do włosów, metalowe nakrętki, kolczaste, tusz do oczu, szminka, szampon, pilnik, proszek do prania, pudełeczko sabriny, spetinal... – Chcesz słuchać dalej?

– Dziękuję, starczy, nic godnego uwagi.

– Rzeczywiście, nic godnego uwagi – westchnął Durell.

– Jednak z tej łazienki zniknęła. To fakt. Zanotujmy też porę. Mniej więcej o dziewiętnastej. Teraz zadajmy sobie pytanie, dokąd się wymknęła. Czy pozostała w domu?

– Wykluczone – powiedział Melander powracając do żucia. – Piętra strzegli brydżyści, dół miał pod kontrolą Tomasz Vannerman.

– Słusznie. A więc musiała wydostać się z domu.

– Prawdopodobnie.

– Tylko jak? Główne wejście miała na oku pani Sjöman. Okna sam sprawdziłeś. Żeby dostać się do tylnego wyjścia, musiałaby przejść przez górę, w dodatku miała na sobie tylko szlafrok.

– Tomasz mógł być z nią w zмовie, wypuścić przez okno, potem je zamknąć.

– Stop – Durell podniósł palec ostrzegawczo. – Mieliśmy przecież uznać Tomasza za wiarygodnego. Zresztą, nawet gdyby współdziałał w sytuacji, w której morderstwo nie wchodziło w grę, teraz, po znalezieniu jej zwłok, zmieniliby zeznania, wyznał prawdę. A tego nie zrobił.

– No więc gdzie się, u licha, podziała? – Melander podniósł głos. – Nie ma jej w domu, ale też i nie wyszła z niego.

– Wiemy, gdzie się podziała – cierpliwie stwierdził Durell. – Pomalutku. Znalazła się w łazience na górze. Do tego jeszcze wrócimy. Tylko że znalazła się martwa. Zajmijmy się teraz czym innym. Wspomniałeś o zмовie. Pytanie: czy zniknęła dobrowolnie, czy wbrew swej woli.

Tomasz słyszał strzał i krzyk, tylko niejednocześnie, co byłoby naturalne. Rozważmy więc ten krzyk. Wskazuje na to, że zniknęła wbrew swej woli. Albo, co też możliwe, chciała wywołać wrażenie, że coś się jej stało. A jeśli chciała wywołać takie wrażenie, należy przyjąć, że zamierzała ulotnić się. Wtedy logicznym następstwem byłoby założenie, że sama to wszystko zainscenizowała, Bóg jeden wie, z jakiego powodu. Tę teorię potwierdzałyby następujące fakty: powiedziała Tomaszowi, że zamierza się kąpać, stworzyła pozory, że to robi, a w rzeczywistości wcale nie zamierzała wejść do wanny, bo przecież woda była lodowato zimna. Cóż – westchnął ponownie – kto jest w stanie przewidzieć plany kobiety? Kto potrafi przejrzeć jej podstępny?

Nalał sobie kawy z termosy i wziął kanapkę z paździetem.

– Faza druga. Co o niej wiemy?

– Krystyna zniknęła. Próbowano podpalić jej dom. Jakiś nieznany osobnik odpłynął jej łódką.

– Zgadza się. A rano łódź znajdowała się na zwykłym miejscu. Pytam więc: kto to mógł być, ten nieznany osobnik?

– Krystyna.

– Mogła to być ona. Tylko, na litość boską, dlaczego miałyby podpalać dom? Czyżby chciała upiec swych lokatorów wraz z bratankiem, którego, jak mamy powody przypuszczać, naprawdę lubiła? Przecież to zupełna niedorzeczność.

– Kto jest w stanie zrozumieć plany kobiety? Kto potrafi przejrzeć jej podstępny? – uśmiechnął się Melander.

Durell popadł w głęboką zadumę, podczas której plasterki ogórka spadł mu na ceratę. Wreszcie powiedział:

– Czegoś musiała się obawiać. Jak ci wiadomo, dostała list z pogrózkami. Wspominała niejasno o czymś z przeszłości. Może chciała ujść nemezys, zniknąć bez śladu, by

nie można jej było odnaleźć? Pierwszy cios nemezys, podpalenie jej domu, nie udał się. Krystyna była już daleko, ogień ugaszono. Drugim razem cios był celniejszy. Morderca znalazł Krystynę, zgładził ją i zdeponował w łazience z równie szatańską zręcznością, z jaką ona sama urządziła swe zniknięcie. Nie sądzisz, że tak to może się przedstawiać?

– Wprost to widzę – powiedział Melander. – I uważam, że masz rację. Krystyna była gdzieś tu, w domu. Nemezys powróciła tą samą łódką, którą przedtem uciekła, natknęła się na Krystynę zamordowała ją. A gdzie to się stało? Może tam na gorze, w tej kancelarii, nie widzę żadnych przeszkód, albo w pokoju gościnnym. Tam ją zaskoczyła, zastrzeliła i wymknęła się.

Durell ocknął się z zamyślenia, umieścił plasterek ogórka z powrotem na pasztecie i odgryzł kęs. Niezbyt dokładnie słyszał, co mówił Melander. Teraz podjął tok własnych myśli:

– Faza trzecia. W dwanaście godzin po zniknięciu Krystyna zostaje znaleziona w wannie na piętrze, z kulą w głowie. Łazienka zamknięta od wewnątrz, szlafrok wiszący na haczyku. Wszystko mogłoby świadczyć o samobójstwie, gdyby znaleziono wewnątrz broń i łuskę... – Spojrzał pytająco na Melandera. – Czy notatki o tej łazience także przeczytać?

– Tak.

– Pomieszczenie dokładnie takie jak łazienka numer jeden, tylko nowocześniejsze, z obudowaną wanną. Mniej więcej tej samej wielkości. Wyposażenie normalne, jak w łazience. Na ścianie zewnętrznej, nad wanną, pod sufitem, wywietrznik pospolitego typu, zaopatrzony kratką. Drzwi naprzeciw wanny, w drzwiach zwykły zamek. Nic godnego uwagi w tym pomieszczeniu nie było. Prócz zwłok oczywiście. Na podłodze leżał klucz wysadzony z zamka, na własne uszy słyszałem, jak wypadł. Należy zaznaczyć,

ze w kieszeniach szlafroka, zgodnie z tym, co zapodała Krystyna, gdy znajdowała się w łazience numer jeden, było z tuzin wsuwek do włosów. I wreszcie: łazienka w zasadzie przeznaczona jest dla gości i używana jedynie sporadycznie. Lokatorzy korzystają z niej tylko wtedy, gdy druga łazienka na piętrze jest zajęta.

Zerknął na kolegę.

– Kapujesz coś z tego?

– Nie.

– Jedno jest dość interesujące. O ile jest niemal pewne, że Krystyna nie zamierzała się kąpać w pierwszej łazience, nie można wykluczyć, że zamierzała to zrobić właśnie w drugiej. Tam puściła zimną wodę, tu gorącą. Woda w miarę upływu robiła się coraz gorętsza, ponad sześćdziesiąt stopni. a to już dużo, gdyby pistolet i łuska były w łazience, gdyby umiejętnie zaaranżowano ich znalezienie, z całą pewnością wyciągnęlibyśmy wniosek, że to samobójstwo. Samobójstwo w wannie wypełnionej ciepłą wodą nie jest czymś niespotykanym. Co więc sądzisz?

– Że została umieszczona w tej łazience, żeby upozorować samobójstwo.

– Możliwe. A jaki sposób zastosował morderca, żeby zniknąć bez śladu? W każdym razie równie mistrzowski jak ten, którym posłużyła się Krystyna. Pewne doświadczenie z jej umiejętnościami iluzjonistki mogłoby ułatwić nam wykalkulowanie, jak zniknęły pistolet i łuska. – Spojrzał na Melandera.

– Myślę, że może koniec końców to i samobójstwo. I może fazy drugiej wcale nie było. Może ona sama poprzez system rur kanalizacyjnych przemieściła się z łazienki numer jeden do łazienki numer dwa i odebrała sobie życie.

– Nie ma między tymi łazienkami połączenia przez rury kanalizacyjne – oburzył się Melander – to są dwa różne pioniki.

– Może w takim razie przez wentylatory – uśmiechnął się Durell.

– Idź do... – szef urwał i z pewnym zażenowaniem ciągnął dalej:

Trzeba wyjaśnić dwanaście godzin pomiędzy zniknięciem i odnalezieniem. Przede wszystkim, jak długo denatka leżała w wannie. Obdukcja...

– Nie wiąż nadziei z obdukcją – przerwał Durell. – Nie licz na to, że pozwoli nam ustalić porę. Leżała w gorącej wodzie dość długo, ale raczej nie jest możliwe ustalenie, jak długo. Rigor mortis to nie jest wyraźna wskazówka, trupie plamy też nie, rozkład skóry nie daje pewności, czy leżała tam dwanaście, sześć czy osiem godzin; zawartość żołądka też nic pewnego, przecież nie wiadomo, kiedy jadła po raz ostatni ani co jadła. A świadkowie co wnoszą: Bengt Fritze nic nie wie, Klara Nordin nic nie wie, Bror Andersson nic nie wie, jej bratanek nic nie wie – urwał. – Owszem, bratanek wie, że zniknęła jej teczka, jasnobrązowa. I jeszcze się nie odnalazła. Mogę się założyć, że była w niej gotówka.

Durell sięgnął po ostatnią kanapkę i pociągnął łyk wystygłej kawy.

– Od czegoś jednak trzeba zacząć – powiedział. – Skończ z dochodzeniami, a ja się zajmę domem. Znajdę pośrednika, który załatwił sprzedaż.

Tomasz wyciągnął się na trawie. Ingalill pod osłoną płaszczka kąpielowego wkładała na siebie dolną część bikini, kręcąc przy tym biodrami jak wschodnia tancerka. Jej ruchy wywoływały miękkie falowanie płaszczka, lada podmuch wiatru mógł z niej zerwać irytującą zasłonę, ukazać widok wcale pożądany. Cóż, kiedy powietrze było nieruchome, a upał dławiący, mimo że słońce chyliło się ku zachodowi. Ingalill zdjęła nareszcie z siebie płaszcz, roz-

postarła go na ziemi, ułożyła się i jej ręka dotknęła jego palców. Leżeli w odległości kilku metrów od nadbrzeżnego pomostu, pod którym leniwie przepływały mszystozielone wody Nissy. Nieco dalej kilku chłopców kopało piłkę. Tomasz rozpoznał wśród nich Svantego Pihla i Perrę Sjömana, przy którym plątała się jego młodsza siostra, jak zwykle z ogromnymi kokardami we włosach. Ta plaża i camping znajdowały się przy Röjan, o kilka kilometrów na północ od centrum miasteczka, na przeciwległym brzegu rzeki, jeśli patrzeć od domu panny Vannerman. O kilkaset metrów stąd, ukryta wśród sosen i jodeł, przebiegała droga do Nissy.

Tomasz zamknął oczy i usiłował myśleć o czym innym, nie o białej twarzy Krystyny, o jej wargach zastygłych w ohydny grymasie, o małej jak znak kastowy czerwono-brunatnej dziurce w czole. Ale ten obraz wciąż natrętnie powracał. Można było temu zapobiec, gdyby natychmiast podjęto jakieś działania. Czuł gorycz. Wczoraj, natychmiast po jej zniknięciu, wcale nie byli tacy gorliwi w prowadzeniu śledztwa. A teraz w domu kłębią się kamery, jakieś odkurzacze czy rozpylacze, proszek utrwalający odciski i Bóg wie co jeszcze. Teraz wszyscy raz po raz muszą odpowiadać w kółko na te same pytania, po kolei: Fritze, Bror Andersson, Klara i on sam, każdy z osobna i wszyscy razem, choć nie dostarczyli żadnych istotnych wiadomości. Prócz tej o brązowej teczce. – Gdzie stała? – W hallu. – Widział ją pan pewnie wcześniej, w dzień, a potem zniknęła. – Zniknęła wtedy, kiedy Krystyna zniknęła. – Nie mógł jej ktoś zabrać na górę po tym zebraniu państwa? Dyrektor albo ktoś inny? – Też możliwe. Proszę ich spytać. Ja nie wiem. Wiem tylko, że stała tam, kiedy ja przyszedłem, a potem zniknęła. Kiedy panowie opuścili dom. Może panowie ją z sobą zabrali? – – Nedorzecznosc. Czy wiadomo panu, co było w teczce? – Nie. – A czy się pan domyśla? – Nie. To znaczy, jak by to powiedzieć... mogły

w niej być pieniądze. Krystyna podjęła z banku mnóstwo gotówki i sprzedała dom. Gdzieś musiały być te pieniądze. – A więc nie wie pan, czy w teczce były pieniądze, ale uważa pan to za możliwe? – Tak. – A przedtem nigdy pan tej teczki nie widział? – Nigdy. – Musiała więc być świeżo kupiona. – Tak przypuszczam. – Jak się panu zdaje, dlaczego ciotka pana kupiła teczkę? – Ma pan jakiś pogląd? Myśli pan, że specjalnie dla przechowania w niej pieniędzy? – Wiem tyle, co pan. – Jednak tych pieniędzy nigdzie nie ma. Przeszukaliśmy wszystkie zakamarki. Jeżeli miała te pieniądze w domu, musiały znajdować się w teczce, nieprawdaż? – Nie wiem, ale to oczywiście bardzo prawdopodobne. – Jak duża była teczka? Może ją pan dokładnie opisać? – I tak w kółko, bez końca. Wciąż te same pytania, te same odpowiedzi. Gdyby wczoraj byli tacy gorliwi, może by się to nie zdarzyło. Biedna Krystyna. Nic z tego nie pojmuję. Ciekawe, czy ona wiedziała. Może tego właśnie się bała. Z prochu powstałeś... przeszłość... Co ona miała na myśli mówiąc o tej przeszłości? Jedno jest jasne: zamierzała wyjechać. Tylko nie zdążyła, ktoś ją uprzedził.

I znowu zamajaczyła przed nim biała twarz, wargi, czoło.

– Czy ona nie dziś miała przyjechać?

– Kto?

– Gitt.

Tomasz jęknął i dzwignął się na łokciu.

– Zupełnie o niej zapomniałem. Uchronź mnie, Boże, jeszcze jej do tego wszystkiego brakuje. Jeśli przyjedzie, powiem jej, żeby się wyniosła do diabła.

– Właściwie jesteś teraz w gorszej sytuacji.

– Dlaczego w gorszej?

– Jeśli chodzi o szantaż. Teraz możesz coś mieć. Będzie z ciebie co wycisnąć. Teraz wszystko będzie twoje.

– Chyba tak. Jeśli coś zostało. Pieniądze przepadły. Tylko jeżeli pieniądze były przyczyną, może zostaną odzyskane, kiedy ujmą mordercę.

Ingalill usiadła i podkurczyła nogi. Tomasz też usiadł i pograżył się w myślach, patrząc na chłopców, niezmordowanie kopiących piłkę w odległości rzutu kamieniem. Po chwili powiedział:

– W takim razie zrobił to ktoś, kto wiedział, że Krystyna ma pieniądze. Że podjęła z banku. Że sprzedała dom. – Uśmiechnął się gorzko. – Sęk w tym, że to mógł wiedzieć każdy.

W tej chwili jednemu z chłopców nie udało się silne podanie, piłka poleciała w stronę rzeki. Svante Pihl pobiegł za nią, ale nie dogonił, piłka odbiła się od brzegu i stoczyła do wody. Podskakując na powierzchni oddalała się z prądem. Svante stanął na brzegu i patrzył w dół. Tomaszowi wydało się, że chłopak nie piłkę śledzi, a coś znajdującego się przy brzegu. Rzeczywiście, odwrócił się po chwili i kiwnął na pozostałych. Podbiegli całą gromadką, przykucnęli, jakby grzebali w ziemi. Potem przeszli na pomost i wpatrywali się w wodę gestykulując i pokazując coś w dole. Jeden z chłopców ściągnął dzinsy i koszulę, został tylko w kąpielówkach i szykował się do skoku z wysokości dwóch metrów. Perra wziął Ewę za rękę i odprowadził na bok. Ingalill zauważyła, że Tomasz patrzy gdzieś nad jej plecami. Odwróciła się, właśnie gdy chłopak skoczył i dał nura. Tomasz wstał, Ingalill też, ale z tego miejsca nic nie mogli dojrzec, wysoki brzeg rzeki zasłaniał im widok. Brodząc w piasku szli przez plażę, łagodnie opadającą ku Nissie. Czego chłopcy mogą tam szukać? Ten, który skoczył, pływał w kółko, nurkował, wynurzył się po kilku sekundach i wskazując na wodę wołał coś do pozostałych. Svante Pihl szybko ściągnął ubranie i skoczył. Perra i Ewa podbiegli do Tomasza i Ingalill, którzy zboczyli na trawę idąc na spotkanie dzieciom aptekarza.

– Co wy tam robicie? – spytał Tomasz. – Stało się coś?

Perra był czerwony, a Ewa bliska płaczu.

– Jakiś samochód leży w rzece – powiedział Perra. – Svante pobiegł za piłką i zobaczył ślady opon z brzegu do wody. Oni tam teraz sprawdzają, może w samochodzie ktoś jest? Ale draka!

Tomasz pokiwał głową. Nic nadzwyczajnego, pomyślał. Klasyczny sposób pozbywania się zużytego samochodu bez ponoszenia kosztów przewozu i złomowania.

– Różne miejsca mogą służyć jako cmentarze wraków samochodowych – powiedział. – Chodźmy jednak sprawdzić.

Gdy doszli, jeden z chłopców wynurzył się właśnie nad powierzchnię i kierował do miejsca, gdzie brzeg nie był tak stromy, najwidoczniej coś znalazł – dysząc i prychnając dobił się gruntu pod nogami i wyszedł na brzeg, ciągnąc walizkę z czarnej lśniącej od wilgoci skóry. Ze szpar wyciekała woda.

Tomasz poczuł się niewyraźnie. Jeśli w samochodzie była walizka, nie mógł być porzucony na złom. Podszedł do chłopców, mocujących się z zamkiem, ale solidne metalowe okucie stawiało opór. Pochylił się. Do ucha walizki przyczepiony był futerał na wizytówkę. Uniósł klapkę zakrywającą adres. Wyprostował się natychmiast, krew odpłynęła mu z głowy, czarne punkty zawirowały przed oczyma. Dokładnie taki sam futerał z dokładnie takim samym tekstem wewnątrz widział już – wczoraj wieczorem na jasnobrązowej teczce. Chwycił się za głowę i powiedział:

– Nie ruszajcie tego, nie dotykajcie.

Potem pobiegł sam na skraj wysokiego brzegu i głową w dół skoczył do ciemnej wody... Była chłodna, miękka jak aksamit, pozwalająca na widoczność kilku decymetrów za ledwie. Po paru ruchach ramion dostrzegł wrak samochodu, który jak przez tiulową zasłonę zamajaczył w brunatnej, mętnej od zawiesin wodzie. Przed ostatecznymi oględzinami wynurzył się, by zaczerpnąć tchu.

– Profesorze! – zawołał do niego Svante – zgubiłem tam zegarek, może pan znajdzie, niech się pan rozejrzy.

Tomasz dał nurka. Był tuż przy samochodzie, który stał na kołach, tylko krzywo, przechylony. Przesunął palcem po szarej blasze, opłynął bagażnik, zanurzył się głębiej i przez ciemniejszą tu wodę dojrzał tabliczkę z numerem, numer niewyraźny, ale czytelny. Wypłynął, nabrał powietrza i zanurzył się powtórnie, opływając samochód wzdłuż do przednich drzwiczek. Były zamknięte, ale nie zabezpieczone, z opuszczoną szybą. Oburącz chwycił za obramowanie szyby, woda uniosła w górę jego nogi i biodra, wsunął głowę do wnętrza samochodu i rozejrzał się. Pusto. Odepchnął się rękami, po raz trzeci wypłynął na powierzchnię i czołmakiem skierował do brzegu. Chłopcy czekali, Ingalill patrzyła pytająco.

– To samochód Krystyny, tkwi na głębokości trzech-czterech metrów, chciałbym wiedzieć, jak mógł się tam znaleźć. Krystyna twierdziła, że oddała go do przeglądu.

Svante i Perra wciąż majstrowali przy zamku walizki, pozostali tworzyli grupkę ciekawych obserwatorów. Tomasz chwycił Perę za ramię i odciągnął.

– Powiedziałem przecież, nie ruszajcie, niech się tym policja zajmie.

– Już otworzyłem! – wykrzyknął Svante z triumfującym spojrzeniem. – Teraz tylko... – czubkiem palca otworzył wieko. W walizce było ubranie. Na samym wierzchu zakieciak od kostiumu i pulower. Mokre, ociekające wodą. Tomasz wbrew woli przykucnął i ostrożnie odsunął pulower; leżała pod nim para pantofli, bielizna, woreczek z przyborami toaletowymi, inne sztuki ubrania.

– To jej rzeczy?

– Nie wiem, nie widziałem ich nigdy, tego zakietu i sweterka z pewnością nie, pantofle chyba tak.

Obmacał zawartość walizki, starając się nie naruszyć

porządku. Wyczuł jakiś twardy, metalowy przedmiot, wy-
ciągnął go.

– Coś, co z pewnością policję najbardziej zainteresuje –
powiedział.

Chłopcy ścieśnili krąg, ich ciekawe, podniecone twarze
utworzyły wianuszek wokół Tomasza.

– Ta okładzina – powiedział Svante – i ta tabliczka...
oczy zaokrągliły mu się ze strachu, chwilę stał, patrząc
w jakiś punkt na przeciwległym brzegu rzeki, ustami
poruszał bezwiednie – ... ta tabliczka. Ta chyba tatusia
Tatus miał taki.

Tomasz ze zdziwieniem spojrział na chłopca, potem na
przedmiot, który trzymał w ręku.

– Przypuszczasz więc, że to może być twego ojca? Tatus
ma taki pistolet? Ścisłej mówiąc, miał taki pistolet? O tym
też trzeba powiadomić policję.

Rozdział siódmy

Sobota, 13 września. Popołudnie

Na lewo od bramy na dyskretnym szyldziku równie
dyskretny napis: „Hall – pośrednik w sprawach kupna
i sprzedaży nieruchomości. Pierwsze piętro”.

Durell wbiegł po schodach lekko i zręcznie, jakby pro-
blem tuszy dla niego nie istniał. Na piętrze obejrzał szyl-
dziki na drzwiach. Na wprost „Bernt Hall”, na lewo
„Pośrednictwo w sprawach mieszkaniowych”. Pewnie
mieszkanie prywatne. Durell zdecydował się zadzwonić od
prywatnej strony, gdyż było sobotnie popołudnie, prawdo-
podobnie i w sprawach pośrednictwa obowiązywał wee-
kend. Zadzwonił, usłyszał kroki zbliżające się nie do tych
drzwi, do których zadzwonił, do tych drugich. Drzwi

uchylono i wyjrzała jakaś kobieta. Oba wejścia najwidocz-
niej prowadziły do tego samego mieszkania, z którego
jeden czy dwa pokoje wydzielono do rodzinnej działalnoś-
ci zarobkowej. Durell uśmiechnął się przymilnie.

– Zostałem pośrednika?

– Chodzi o kupno czegoś?

– Nie.

Kobieta patrzyła nieprzychylnie.

– Dziś sobota. Zamknięte do poniedziałku.

– Jestem z policji.

– Ach, tak. Czego policja może chcieć? Żadnych zatar-
gów z policją nie mamy.

Durellowi wydało się jednak, że jest nieprzyjemnie
poruszona. Po kilku sekundach milczącego wpatrywania
się w niego, zawołała w głąb mieszkania:

– Bernt, jakiś pan chce z tobą mówić.

Przestała tarasować wejście, wpuściła Durella, a jedno-
cześnie drobny, wąty mężczyzna wynurzył się zza kotary,
oddzielającej przedpokój od wnętrza mieszkania. Ukłonił
się, Durell pokazał legitymację, której tamten przyjrzał
się, mrużąc oczy, z wyrazem zupełnego niezrozumienia.

– Moje nazwisko Durell, jestem z policji kryminalnej,
chciałbym zadać kilka pytań.

Rozmówca, mogący mieć około pięćdziesiątki, nie ogo-
lony, jakby dopiero wstał, bez marynarki, w rozpiętej
koszuli, przesunął ręką po szczeciniastej brodzie i powie-
dział wynijająco:

– Owszem, tylko o co chodzi... może...

Durell wszedł za kotarę i znalazł się w małym pokoiku
biurowym: standardowy stół i krzesła, na pół podciągnięte
rolety, w rogu stolik na kółkach a na nim maszyna zadzi-
wiająco nowoczesna, przy tym stoliku stało obite wyświe-
conym sztruksem krzesło.

– Proszę – powiedział Hall wskazując miejsce.

Durell usiadł naprzeciw pośrednika. Pani Hall, czujna

i napięta, zajęła miejsce przy stoliku z maszyną, uważała swą obecność przy rozmowie za zupełnie oczywistą.

– Zna pan pannę Vannerman – zaczął Durell – przeprowadził pan dla niej sprawę sprzedaży domu.

– Zgadza się. Zupełnie legalny interes, o ile mi wiadomo.

Durell poruszył się niecierpliwie, ale natychmiast uznał, że to nie może podzielać na pośrednika uspokajająco. Wyjaśnił więc krótko:

– Pewnie pan nie wie, że panna Vannerman nie żyje. Została zamordowana.

Pośrednik oniemiał, od strony maszyny dobiegł okrzyk przerażenia. Durell kątem oka dostrzegł, że pani Hall kurczowo zacisnęła na kolanach drżące ręce.

– Zechce pan pokrótce opowiedzieć o tej transakcji – ciągnął dalej. – Jak długo trwało załatwianie? Kto kupił? Zapłata, formalności. Wszystko, co panu wiadomo.

Hall odetchnął głęboko, wiadomość o losie Krystyny Vannerman najwyraźniej zaskoczyła go i mocno poruszyła.

– Kilka tygodni temu – zaczął – przyszła tu i oświadczyła, że chce sprzedać swój dom przy Östra Strandvägen. A także działkę za miastem, w Norlidzie. Chciała to załatwić jak najszybciej. Nie powinno się rozejść, że zamierza sprzedać, powiedziała.

– A podała jakiś powód?

– Nie. Ale to zwykła rzecz, że takie sprawy trzyma się w tajemnicy. Ze względu na ludzką gadaninę. Pytała też, czy mam reflektanta na tego rodzaju dom. Wtedy nie miałem, ale wkrótce zdarzył mi się ktoś. Bo widzi pan, sprzedaję także las, ziemią też trochę handluję. Dla mnie przypada bardzo niewielka prowizja. Ze względów społecznych nie powinno się dużo zarabiać...

– A więc wkrótce się ktoś zdarzył?

– Tak. Rolnik z Norlidy. Chciał sprzedać kawał lasu

Fabryki masy papierowej i handlarze drewnem zwykle przepytują o takie okazje, więc właściwie wystarczyło tylko zawiadomić. Jego nazwisko Karlsson, Kurt Karlsson. – Według oferty i pomiarów, jakie Karlsson przedłożył, wypadło sto pięćdziesiąt tysięcy. – Hall przesunął ręką po brodzie. – Od razu mnie uderzyło, że dokładnie tyle panna Vannerman chciała za dom, gotówką.

– Tylko gotówką?

– Właśnie. Wszystko gotówką. Tylko to jej odpowiadało. I to było dość niezwykle. Bo na ogół część się tylko wpłaca od razu. – Uśmiechnął się niepewnie.

– I załatwił pan tę transakcję.

– Tak jest. Załatwiłem. Spotkali się u mnie we wtorek. W ten ostatni wtorek. Pieniądze miałem w szufladzie, tylko wręczyć. Karlsson w ogóle nie dostał tych pieniędzy do ręki.

– Co panna Vannerman zrobiła z pieniędzmi?

– Włożyła do walizeczki.

– To nie była walizka – sprostowała pani Hall – tylko teczka. Jasnobrązowa. Nawet tych pieniędzy nie przeliczyła.

– Jasnobrązowa teczka, jest pani pewna?

– Zupełnie pewna. Kiedy Bernt wręczył jej pieniądze, pomyślałam: przecież to się w torebce nie zmieści. Bo teczki jeszcze nie zauważyłam. Kiedy klientka wyszła, powiedziałam do Bernta: Coś tu jest nie w porządku. Nie podoba mi się ten interes. Wyśmiał mnie tylko.

– A co wydało się pani dziwne?

– Nie przeliczyła pieniędzy. I to, że banknoty nie mogły być różnych wartości.

– A jakiej mianowicie?

Pośrednik klasnął w ręce i tak się przechylił do tyłu, że krzesło zachybotowało, przez chwilę Durell był pewien, że jego rozmówca przekościółkuje. jednak krzesło musiało mieć konstrukcję umożliwiającą podobne ćwiczenia.

– Same setki – powiedział Hall. – Postarałem się o nie na wyraźne życzenie klientki. Nie chciała czeku ani banknotów tysiąckoronowych. Zapewniam pana komisarza...

– Asystenta.

– Zapewniam, że to było kilka pokaźnych paczek. Tysiąc pięćset stukoronowych banknotów to niemało. Piętnaście grubych paczek po dziesięć tysięcy, czyli sto banknotów w każdej. – Na wspomnienie tak pięknego widoku oczy pośrednika rozbłysły i Durell pozwolił mu się przez kilka sekund rozkoszować; nim podjął:

– I to było we wtorek. A co z działką?

– Cóż, na działkę nie miałem reflektanta. Panna Vannerman spytała, czy dałem ogłoszenie. Nie dałem. Właściwie odradzałem jej sprzedaż o tej porze roku, wiosną można osiągnąć lepszą cenę. Ale nie chciała. Poleciała mi zamieścić ogłoszenie. W czwartek, powiedziała, chce sprzedać możliwie najszybciej. – Hall zastanowił się. Wydał mi się dziwny ten pośpiech. Sprzedaży nieruchomości nie załatwia się z dnia na dzień. Pomyślałem jednak, że śpieszy się jej, bo pewnie chce wyjechać. – Urwał i przełknął ślinę.

– Wyjechać? Wyprowadzić się z Gislaved? Powiedziała coś o tym?

Hall potrząsnął głową.

– Nie. Sam na to wpadłem. Wydało mi się, że ona chyba zamierza opuścić kraj. Bo za granicą nie można wymienić banknotów większej wartości niż setki. Wiem, byłem na Majorce. Tysiąckoronowych nie przyjmują.

Durell uśmiechnął się ukradkiem. Domysły pośrednika szły tym samym szlakiem co jego własne.

– Odniósł więc pan wrażenie, że to były przygotowania do ewentualnego wyjazdu.

– Owszem. – Hall zastanowił się. – Wszystko w takim pośpiechu... Ale mówić, nic nie mówiła. Dała mi natomiast... chwileczkę.

Wysunął szufladę i po chwili grzebania znalazł jakiś papier. Przyjrzał mu się z pewnego oddalenia, mrużąc oczy. Chyba powinien używać okularów.

– Dała mi to upoważnienie. Stwierdzające, że mam prawo występować w imieniu właścicielki, przeprowadzić sprzedaż jej działki, są tu też wskazówki i tym podobne. Za cenę co najmniej trzystu pięćdziesięciu tysięcy. Jej podpis, potwierdzony przez nią żonę i sąsiada, mieszkającego w tym domu, piętro wyżej. Proszę, niech pan sam zobaczy. Można więc sprzedać nawet po jej wyjeździe. – Podał dokument Durellowi, który szybko przejrzał tekst i stwierdził, że jest zgodny z tym, co pośrednik odczytał. Dostrzegł jednak jeszcze coś, coś znajomego było w tym tekście. W kroju czcionki. Coś, co spowodowało, że w jego korze mózgowej zaskoczył trybik wywołujący asocjacje.

– A jak uzgodnili państwo sposób przekazania kwoty uzyskanej ze sprzedaży?

– O tym nie było mowy. Wychodziłem z założenia, że dalszych wskazówek udzieli mi później. Przyjąłem, że zamierza wyjechać. Choć nic na ten temat nie powiedziała. Tylko mi się zdawało. To, że dała mi upoważnienie, nie musiało mieć akurat takiego znaczenia. Zdarza się, że składam podpis za sprzedającego, a później przekazuję mu pieniądze. Muszę powiedzieć, że zawsze okazywano mi zaufanie.

– No tak. I potem zamieścił pan ogłoszenie?

– Właśnie. Anons ukazał się w czwartkowych „Wiadomościach”. I od razu chwycił. Tego samego dnia zgłosił się reflektant. Tutejszy. Pewien dyrektor, nazwiskiem Pihl. Wpadał tu ostatnio parę razy, przewidywał się, czy nie mam czegoś odpowiedniego na letnie mieszkanie, bo jego żona nie chce mieszkać w Tylösand. To właściciel fabryki wyrobów plastikowych. I pomyśleć tylko – po twarzy Halla przemknął uśmiech – panna Vannerman życzyła sobie, by sprzedaż domu i działki odbyła się, jak to się teraz

mawia, dyskretnie, a niech pan sobie wyobrazi, ten klient zapytał wprost, czy chodzi o działkę Krystyny Vannerman. Chcę tylko zaznaczyć, że trudno utrzymać tajemnicę w takim Gislaved. Cóż, powiedziałem prawdę i spytałem, czy interesuje się tym obiektem.

– A on interesował się?

– I tak, i nie – powiedział Hall przeciągle i podrapał się w brodę. – Spytał, czy może zobaczyć opis, a kiedy mu dałem, spytał, czy może zostać na chwilę sam, więc wyszedłem. Słyszałem, że usiadł przy maszynie i coś pisał. Pewnie przepisywał dane, choć mógł zatrzymać ten egzemplarz, który mu dałem. Mam kilka kopii. Potem gdzieś telefonował. Nie słyszałem, ani z kim mówił, ani co mówił. Kiedy odłożył słuchawkę, wróciłem do pokoju, bo nie podobało mi się, że załatwia swoje biurowe sprawy w moim lokalu, spytałem, czy chce, żebym mu pokazał działkę. Powiedział, że nie trzeba. Już mnie to nie interesuje. powiedział, zresztą ja tę działkę znam jak własną kieszeń.

– Ach, tak powiedział. I to było w...

– W czwartek. W dniu ukazania się anonsu. Nikt więcej się nie zgłosił. To znaczy – przerwał – dzwoniła także żona dyrektora Pihla. Wczoraj wieczorem. Chciała się tylko dowiedzieć, czy mąż był w tej sprawie, co potwierdziłem. Widocznie obojgu zależy, żeby kupić coś w tej okolicy.

Durell bębniąc palcami w stół podsumowywał rezultat tej wizyty, stwierdzając, że nie dała mu wiele, ale jednak coś. Potwierdzenie, że Krystyna chciała cały swój majątek zamienić na gotówkę i że zamierzała wyjechać, prawdopodobnie za granicę. Potwierdzenie, że bardzo jej się spieszyło. Choć pozostawało jeszcze trochę czasu na dokładniejsze polecenie dla pośrednika co do sposobu przekazania pieniędzy za działkę. Z drugiej strony odpowiednie polecenie mogła przekazać z innego miejsca pobytu. Pozostaje ten dyrektor. Zapytał wprost, czy chodzi o działkę Krystyny. To może być nitka prowadząca do kłębka. To może

być... – Nagle Durell wyprostował się. Trybik, obracający się w jego mózgu podświadomie i bez zakłócania świadomie prowadzonych rozważań, natrafił teraz na coś, co było uchwytnie. Durell wyciągnął rękę do pośrednika:

– Czy mógłbym spojrzeć na to upoważnienie?

Hall z pewnym zdziwieniem podał karteczkę, której Durell przyjrzał się dokładnie.

– Wspomniał pan, że autentyczność tego dokumentu poświadczyła pańska żona i sąsiad.

– Tak jest.

– I został napisany na pana maszynie i papierze tu na miejscu, w tym biurze?

– Tak jest, na tej maszynie.

– Czy maszyna często bywa w użyciu?

– Bardzo rzadko.

– To znaczy?

Pośrednik zmieszał się.

– Raz w tygodniu, najwyżej dwa. Bo przecież na wszystko są gotowe formularze. Czy coś jest nie w porządku?

Durell nie odpowiedział. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni swój czarny notes a z notesu karteczkę. Rozłożył ją na stole obok upoważnienia. Nie było żadnej wątpliwości. Dokładnie ta sama czcionka, piękny krój, ten sam gatunek papieru, tylko format inny. Arkusik wyciągnięty z notatnika był krótszy dokładnie o tyle, ile zajmował napis firmowy na upoważnieniu. Nawet amator mógł dostrzec, że górna część została po prostu odcięta. Podsunął krótszy arkusik Hallowi.

– Czy pan to napisał?

Hall przeczytał, spojrział na pytającego ze zdumioną miną.

– Nie rozumiem...

Durell podał kartkę jego żonie.

– A pani?

– Skądże... Co to jest? Z prochu powstałeś...

– A jednak zostało to napisane na maszynie należącej do państwa i na waszym papierze firmowym. I w tym samym mniej więcej czasie co upoważnienie, bo natężenie czerni prawie się nie różni.

Złożył arkusik i umieścił ponownie w notesie, tylko już razem z upoważnieniem. Wkrótce można będzie z całą pewnością ustalić identyczność papieru i czcionki, a jednak gotów byłby założyć się, że pośrednik i jego żona nie mają z tym nic wspólnego. Oczywiście panna Vannerman sama mogła napisać ten tajemniczy list. Mogła mieć jakiś utajony powód, by stwarzać pozory, że jest zagrożona. Mogła go napisać będąc tu po raz pierwszy, to znaczy przed dwoma tygodniami, albo też wypisując upoważnienie. Zabarwienie taśmy może nie ujawnić chronologii. Jeżeli jednak rzeczywiście była szantażowana, jeżeli rzeczywiście list nadszedł pocztą przed dwoma tygodniami, jak powiedziała bratankowi, kto ten list napisał? Kto kilkakrotnie odwiedzał pośrednika w ostatnim okresie i bez skrupowania korzystał z jego telefonu i maszyny do pisania? Warto sobie zadać trud poznania dyrektora. Bo niezależnie od listu, skąd on tak od razu i z taką pewnością wiedział, że ogłoszenie o sprzedaży dotyczy działki Krystyny?

Durell wracał od pośrednika piechotą. Poprosił o klucz od domku, ale dowiedział się tylko, gdzie jest on schowany tam, na miejscu. Mijając hotel poczuł ssanie w żołądku. Dobry obiad zrekompensowałby skromny lunch, zjedzony w kuchni domu Vannermanów. Zegar na rynku wskazywał, że jest już po szóstej, więc i pora usprawiedliwiłaby chętkę. Wyminął jednak stanowczo miejsce pokusy, bo ssąca go również chęć zdobycia wiadomości. Ludzie przyglądali mu się ciekawie, gdyż strój jego, zwłaszcza o tej porze, budził pewne zdziwienie.

Dotarł do ceglanego czerwonego budynku komendy policji i przypomniały mu się słowa Melandera: Zaoferuj

morderstwo, a otworzymy tu kwaterę główną. Szeff siedział przy swym biurku, przed nim leżał pistolet. Bystre oko Durella natychmiast zidentyfikowało go jako Beretta Olympic 5,6 mm. Usiadł naprzeciw kolegi i wskazując palcem czarny przedmiot spytał:

– Broń mordercy?

Melander kiwnął głową.

– Zaopatrzony w tłumik. Wystrzał z niego oddano niedawno.

Wyciągnął szufladę, a z niej plastikowe pudełeczko, w którym na wacie, niby cenny klejnot, spoczywała szara bryłka.

– A tu jest kula wystrzelona z tej broni. Utkwiła w kręgu szyjnym. Strzeliliśmy dla sprawdzenia z tego pistoletu i porównaliśmy, wszystkie szczegóły są zgodne. – Postawił pudełeczko i dodał: – Tylko łuski wciąż brak.

– A jak z odciskami palców? – spytał Durell.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, zdumiewająco dobrze dało się zabezpieczyć odciski, wywołaliśmy je rtęciową kredą.

– Czyje? Czy tylko zidentyfikowane, czy coś więcej?

– Krystyny Vannerman. Porównaliśmy je z odciskami z jej pokoju. Bo odciski jej palców w obecnym ich stanie niewiele by dały.

– Czyli wygląda to na samobójstwo. Odciski palców denatki, zamkniętej od wewnątrz. Wszystko by na to wskazywało. Tylko coś się zacięło w planowaniu akcji, zapomniano o pistolecie. Cóż, wszyscy popełniamy błędy.

– Nie pytasz, gdzie znaleźliśmy pistolet? – rzekł Melander przechylając głowę.

– Coś wspominałeś o okolicznościach.

– Był w walizce, walizka w samochodzie, a samochód utopiony w Nissie. Walizka zawierała ubranie, samochód należał do zmarłej. Został zepchnięty z brzegu rzeki.

Durell gwizdnął ze zdumienia.

– Znakomicie – powiedział. – Bądź uprzejmy podać bliższe szczegóły.

Melander opowiedział, jak odnaleziono pistolet i że jak zwykle – tu roześmiał się – jak zwykle Tomasz Vannerman o tym zameldował i o tym, że samochód był oddany do przeglądu pod miastem, w Röjan. Durell słuchał uważnie. Gdy Melander skończył sprawozdanie, powstrzymał się od komentarzy, spytał natomiast, czy obdukcja gotowa.

– Tak. Powodem śmierci była rana postrzałowa. Denatkę złożono w wannie, gdy już nie żyła.

– A jakieś inne dane co do czasu ustalono?

– Nie. To zupełnie niemożliwe. Leżała w wodzie o temperaturze sześćdziesięciu pięciu stopni i rozkład ciała zaczął się przed znalezieniem go. Lekarz przypuszcza, że zwłoki musiały leżeć tam kilka godzin, co najmniej dwie, trzy, zanim je odkryliśmy.

Durell smutno popatrzył na niego.

– Tyle tylko ma nam do powiedzenia. Bardzo z grubszą zarysowane granice, jak na okres między dziewiętnastą trzydzieści a czwartą, piątą rano. O, wiedza wiele jeszcze pozostawia do życzenia.

Melander przytaknął i wrócił wzrokiem do pistoletu.

– Interesujące będzie wyjaśnienie dyrektora Torgny'ego Pihla, w jaki sposób jego pistolet znalazł się w walizce Krystyny Vannerman. A zezwolenia na posiadanie broni nie ma.

Durell zerwał się i ściskając palcami blat biurka, spytał:

– Czyje wyjaśnienie?

– Dyrektor Pihl jest sąsiadem Krystyny. Nie powiedziałem ci tego? – Z pewnym zmęczeniem ciągnął dalej: – Jego syn odkrył samochód, był przy otwieraniu walizki. Z większą szczerością niż rozważą ujawnił, że to pistolet ojca. Próbowałem znaleźć Pihla.

– No i co?

– Wyjechał, jest w Göteborgu, jak mówi jego żona.

Wyjechał wczoraj wieczorem. Wątpić można... – nie do końca, ale Durell uzupełnił:

– Czy będzie się spieszył z powrotem. Musimy go przyłapać natychmiast.

– Wiem. Policja w Göteborgu zaalarmowana. Na pewno będziemy go mieli, na pewno. Nawet gdyby zwał za granicę. Dlaczego zresztą miałby uciekać za granicę. Przecież nie wie, że znaleźliśmy pistolet.

– Jego syn znalazł. Pihl mógł dostać z domu wiadomość.

– Nie – odrzekł Melander. – Pihl nie kontaktował się z domem. Rozmawiałem z jego żoną. Pytałem. Jeżeli nie kłamała. A jeżeli Pihl dowiedział się i uciekł za granicę, to właściwie równa się przyznaniu do zbrodni. Raczej znajdziemy go bez trudu. I będzie mieć jakieś usprawiedliwienie, jeśli chodzi o pistolet, prawdziwe czy zmyślane.

Przez kilka sekund panowało milczenie. Rozumowanie szefa wydało się Durellowi logiczne, jednak nie wspomniał – choć może powinien był – że w wypadku zatrzymania Pihla on postawi mu kilka pytań, czego innego dotyczących. Spytał natomiast:

– Gdzie jest walizka?

Melander podniósł się i skinął na Durella, żeby poszedł za nim. W sąsiednim pokoju stał długi stół z kilkoma krzesłami, a pod oknem drugi stół z magnetofonem i rzutnikiem. Na długim stole, pokrytym plastikową płachtą, rozłożona była zawartość walizki. Oglądając „wystawkę”, Durell ze starego przyzwyczajenia wsunął ręce do kieszeni, by nie ulec pokusie dotknięcia czegokolwiek. Pusta walizka z podniesionym wiekiem leżała z brzegu na lewo.

– Była zamknięta?

– Nie. Ale przemokła i zamki się zacięły. Kluczyki leżały wewnątrz między rzeczami.

Durell przyjrzał się spodnicy od kostiumu, żakietowi, żółtemu sweterkowi, brązowym półbucikom, szalikowi.

– Wszystkie te rzeczy są nowe – wyjaśnił Melander. – Kwity kasowe są tu w torebce – wskazał – i mogą służyć jako spis całej zawartości, łącznie z torebką. Zakupiono je wczoraj w „Domusie”. Posłałem tam pracownika dla sprawdzenia. A jednak – dobitnie akcentował każde słowo – jednak używano tych rzeczy. Na spódnicy jest plamka po czekoladzie. Podeszwy butów trochę zdeptane, w rajstopach znaleźliśmy włosy. Na sweterku kilka plam, prawdopodobnie jest to krew. Natomiast żadnych śladów ziemi, trawy czy czegoś takiego. Co o tym powiesz?

– Że była całkowicie ubrana, kiedy zniknęła z domu, że miała na sobie te rzeczy, kiedy ją zastrzelono, że prawdopodobnie została zastrzelona wewnątrz domu, u siebie, w domu mordercy, może w samochodzie... A to są kluczyki od walizki?

Wyciągnął na chwilę rękę z kieszeni, by wskazać błyszczące kluczyki, związane żółto-niebieskim sznureczkiem.

– Tak, wypróbowaliśmy je, pasują do walizki.

Durell, posuwając się wzdłuż stołu, dotarł do brązowej torebki z długim paskiem do przewieszania przez ramię. Torebka była otwarta i opróżniona, jej zawartość leżała obok. Chusteczka do nosa, szminka, grzebień, zegarek na rękę, pęk kluczy, portmonetka, cienka bransoletka i czerwony portfel. Prawo jazdy, spinki do włosów, pilnik, mały scyzoryk, agrafki, kilka drobnych monet. Najbardziej interesujący był paszport w czerwonym ochronnym futeralku. Sięgnął po niego, przejrzał.

– Wyjeżdżała od czasu do czasu. Dość często do Zurychu. Przypuszczam, że i teraz tam zamierzała pojechać.

Melander kiwnął głową potakująco.

– W portfelu jest karteczka, która, jeśli się nie mylę, może być numerem konta w Szwajcarii. W bagażu powinna znajdować się teczka z pieniędzmi, ale przepadła.

– Być może i inne bagaże przepadły, albo też zamierzała

wyjechać bez bagażu. Bo ta walizka nie została zapakowana na podróż. Należy ją raczej uznać za miejsce spoczynku jednego kompletu ubrania, jaki kobieta ma zwykle na sobie, łącznie z torebką. Tę walizkę pakował morderca Krystyny Vannerman. Zdjął z niej ubranie, wpakował do walizki łącznie z torebką, kluczami i pistoletem. Walizkę wrzucił do samochodu, który zepchnął na głębie. Tak to się musiało przedstawiać.

Pochylił się nad stołem i dokładnie przyjrzał zegarkowi.

– On wciąż chodzi. Jak długo taki mechanizm działa bez nakręcania?

– Nie wiem. Kiedy stanie, możemy go nakręcić i sprawdzić.

– Dobrze. Jeżeli właścicielka należała do osób, które nakręcają zegarek po trochu za każdym razem, jak na niego spojrzą, może to dać cenną informację.

Urwał, bo zadzwonił telefon. Melander podniósł słuchawkę, wysłuchał, podziękował.

– Zgadza się – powiedział. – Krystyna nabyła ten komplet ubrania wczoraj w „Domusie”. Trudno pojąć, dlaczego to zrobiła. Może zależało jej, żeby po zniknięciu niczego nie brakowało z jej garderoby prócz szlafroka.

Durell spojrzał na Melandera z uznaniem, zamierzał nawet obdarzyć go komplementem, ale znów im przerwało, tym razem było to pukanie, po którym zajrzał do pokoju policjant.

– Samochód już tu jest – powiedział.

– Świetnie, przyjrzymy mu się dokładniej.

Wyszli na podjazd. Stał tam samochód pomocy drogowej z jasnoszarym austinem, który właśnie odczepiano. Po czym kierowca wozu pomocy drogowej odstawił swój pojazd na pobocze i dołączył do gromadki czekających policjantów. Durell obszedł austina dokoła. Tu i owdzie tkwiło błoto, w sprzęgłach, na błotnikach, za wycieraczka-

mi. Dotykając samym koniuszkiem palca, nacisnął klamkę i otworzył drzwiczki:

– Mogła zostać przetransportowana tym wozem – powiedział – może nawet w nim zamordowana. – Ostrożnie, by nie dotknąć czegoś, wsunął głowę do wnętrza, obejrzał przednie i tylne siedzenie, deskę rozdzielczą. Wypróbował włącznik klaksonu. Nie działał. Widocznie bateria była zniszczona.

– Kluczyki w stacyjce i, jeśli się nie mylę, pierwszy bieg włączony. Licznik wykazuje sześćdziesiąt dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt kilometrów. Zegar... – wycofał się z wnętrza i chwycił Melandera za rękę.

– Nareszcie – powiedział. – Nareszcie jakiś punkt zaczepienia. Zegar stanął. Wskazuje trzecią osiemnaście. Jeżeli działał, długo nie mógł chodzić pod wodą.

– Taki zegar staje natychmiast. – Kierowca wozu pomocy drogowej przepchnął się do przodu z miną niemal urażoną. – Jest z napędem elektrycznym. A że działał, mogę zapewnić. Ten wóz był u mnie na przeglądzie nie dalej niż wczoraj, a z mego warsztatu żaden drobiazg nie wychodzi sfuszerowany. Można sprawdzić.

Odsunął zamek błyskawiczny wewnętrznej kieszeni i wyciągnął futerał z grubym plikiem papierów.

– Mam tu wszystkie kwity – powiedział. – W czwartek po południu zostawiła wóz, a wczoraj około czwartej odebrała. Chodził wtedy jak... zegar, znaczy... samochód, ale zegar też...

Podał zmiętą kopię rachunku, którą Durell wziął bez protestu, ale i bez większego zainteresowania. Pobieźnie przejrzał spis wykonanych czynności i ich ceny. Nagle w jego spojrzeniu błysnęło ożywienie.

– Jest pan pewien, że te dane są dokładne?

– Dokładne? Ładnie byśmy wyglądali, jakby nie były.

– Przyjmując samochód do przeglądu zapisuje pan zawsze stan licznika?

– Przecież pan widzi. U mnie chłopaki nie mają szansy pożyczania sobie wozu i wypuszczenia się gdzieś nocą. Żaden klient nie może zarzucić, że w moim warsztacie takie rzeczy się zdarzają. Zapisane czarno na białym, żadnych nieporozumień.

Durell nie słuchał, bo myślał głośno, nie uświadamiając sobie, że wypowiada słowa dosłyszalne dla najbliższej stojących.

– Zanotowano sześćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt, licznik wskazuje sześćdziesiąt dziewięć czterysta pięćdziesiąt, te sto siedemdziesiąt kilometrów wóz przejechał od zabrania go z warsztatu do stoczenia się w wody Nissy. W którą stronę je przejechał, kto prowadził, kto siedział za kierownicą...

Zwrócił się do stojącego najbliżej policjanta.

– Proszę zadzwonić do pani Pihl, sąsiadki Krystyny Vannerman, i powiedzieć, że zamierzam jej złożyć wizytę.

Policjant oddalił się, lecz wrócił prawie natychmiast.

– Pani Pihl nie zastałem – zameldował. – Jej syn powiedział, że jest w Domu Ludowym, gra w bingo.

Rozdział ósmy

Sobota, 13 września. Wieczór.

Trzaski i chroboty. W Domu Ludowym przeważała młodzież i starsze panie. Siedzieli rzędem przy stołach, z oczyma wlepionymi w tabliczki, ze skupioną uwagą, a kulki w plastikowym bębnie kręciły się i wyskakiwały. Prowadzący grę siedział na podwyższeniu. Wyjął właśnie kolejną kulkę i wywołał numer siedemnasty. Znowu zaczęły się trzaski i chroboty.

Durell stanął na uboczu. Słyszał, co grający mówią,

widział, co robią, nie chciał im jednak przeszkadzać, czekał na odpowiednią okazję.

Marianna wcisnęła guzik na tabliczce i szturchnęła Werę w bok.

– Gdyby teraz wyskoczyła pięćdziesiątka, mam bingo.

– Mnie brakuje dwudziestu sześciu – odpowiedziała Wera oschle. Zerknęła na układ Ethel. – A Ethel brak trzydziestu pięciu.

– Pięćdziesiąt sześć – ogłosił prowadzący grę. Przy stołach rozległy się trzaski naciskanych guzików, ale nie u Marianny, Wery i Ethel. Mała Ewa też tu była. Mocno znudzona, zaczęła tarmosić matkę za ramię. – Chodźmy już do domu, mam – molestowała, podczas gdy Durell odnotował w pamięci, że kokardy są dziś turkusowe. Akurat jakaś siwa staruszka z błyskiem w oczach zawołała: – Bingo! – Gra się urwała.

Marianna westchnęła.

– Pójdę już – powiedziała Wera wstając.

– Jeszcze raz – Marianna przysunęła sobie tabliczkę.

– Nie. Dłużej tu nie wytrzymam. Muszę iść do domu i wziąć coś na uspokojenie. Przecież widzisz, jak mi ręce drżą.

Wyciągnęła ręce do Marianny, która przyjrzała się uważnie.

Durell przysunął się o krok bliżej, zastanawiał się, czy pani Pihl to ta, której ręce drżą, czy ta druga, która się nie odzywa, tylko słucha ciekawie. Panią Sjöman rozpoznał. To ona właśnie powiedziała:

– Biedaczko, przecież nie masz z tym nic wspólnego, a Torgny wyjechał. Nie masz powodów do niepokoju, kochanie.

– Pistolet – szepnęła Wera i Durell już wiedział, kto jest kto.

– No, to prawda, ale Svante mógł się pomylić, wszystkie pistolety tak samo wyglądają.

– Jednak ten mógł być jego. Nie wiedziałam, że ma broń, ale jeżeli Svante tak mówi, musiała być w domu. To mnie właśnie denerwuje, że ja nic nie wiem. I to, co ci wczoraj opowiadałam.

– A co opowiadałaś? – wtrąciła Ethel wyciągając głowę, żeby lepiej słyszeć.

Marianna spojrzała na nią chłodno.

– Nic, co by ciebie mogło zainteresować.

Wera ruszyła przed siebie, błędząc wokół wzrokiem. W każdy sobotni wieczór grywano tu w bingo, kilka podniecających godzin z wygranymi w postaci połówek prosiaków, puszek kawy i pudełek ze słodyczami. Zwykle gra w bingo pozwalała jej zapominać o wszystkim, ale dziś to napięcie tylko jeszcze bardziej ją denerwowało. Zapierała dech cisza, gdy po wywołaniu numeru następowały spieszne trzaski, zamiast zwykłej emocji wywoływała niepokój, niemal panikę. Musi wyjść. Do domu, połknąć jakiś proszek. Znalazłszy się w westybulu, odetchnęła. Tu było przynajmniej cicho, pusto, ustronnie. Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Odwróciła się, struchlała.

– Przepraszam. Pani Pihl? Zechce pani poświęcić mi chwileczkę?

Durell promieniał wręcz życzliwością. Zwykł być bowiem okazywać względy osobom, którym ręce drżały.

– Kim pan jest?

– Z policji.

Wzdrygnęła się, przymknęła oczy.

– Chodzi o mego męża?

Przytaknął.

– Może odprowadzę panią do domu, w drodze porozmawiamy.

– Nie mam nic do powiedzenia. Mąż wyjechał. Niech pan z nim samym pomówi, kiedy wróci, to będzie znacznie lepiej.

– Jeżeli wróci.

– Co pan ma na myśli? – spojrzała przerażona.
Durell nie wyjaśnił, co miał na myśli, zapytał natomiast:
– Kiedy spodziewa się pani jego powrotu?
– Nie wiem. Nie było o tym mowy. I ja naprawdę nie mam nic do powiedzenia, nic, co mogłoby zainteresować policję.

– Spróbuję postawić kilka pytań.
– Nie odpowiem na żadne pytanie. Nie może mnie pan zmusić do odpowiedzi, zwłaszcza gdy chodzi o mego męża. Po prostu nie chcę odpowiadać na pytania.

Durell uniósł brwi. Bardzo charakterystyczną i demaskującą reakcją mu zaprezentowano. Przyjrzał się obojętnie swej rozmówczyni.

– Zupełnie niepotrzebnie obawia się pani policji. Tyle jest innych powodów do obaw, często w najbliższym otoczeniu, tuż obok. Gdyby pani zmieniła decyzję, pani Pihl, proszę do mnie zatelefonować. Oby to było jak najprędzej. Żegnam.

Odwrócił się, kątem oka dostrzegł, że pani Pihl uniosła rękę i otworzyła usta, jakby go chciała zatrzymać. Natychmiast jednak pożałowała tego zamiaru. Wracając na salę Durell słyszał stukot jej oddalających się kroków.

Marianna Sjöman uległa wreszcie uprzykrzonym jękom Ewy i wstała od stołu. Ethel ujęła małą za ramiona i potrząsając nią powiedziała przyjaźnie:

– Ty smyku! Zdaje się, że wczoraj wieczorem szukałaś przygód. A mama się niepokoiła. – Siegnęła po torebkę i też się podniosła.

– Poszłam tylko do tatusia, do apteki – powiedziała Ewa.

– Nie powinnaś, moje dziecko.

Ruszyły do wyjścia. Ethel ścisnęła pod pachą pudełko marmoladek, jedyną wygraną, jaką zdobyła w tym sezonie. Uciszyło się. Kierujący grą puścił w ruch kulki, a Ewa powiedziała:

– O czym on chciał mówić z tatusiem?

Marianna obdarzyła córkę roztargnionym spojrzeniem, które utknęło na kokardach.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Wcale mnie nie widział – prychnęła Ewa.

– Kto cię nie widział?

– Tatuś.

– Kiedy to było, kochanie?

– Wczoraj w aptece.

Marianna z rezygnacją potrząsnęła głową i lekko popchnęła małą, torując jej drogę między stolikami.

– Stałam za drzwiami – ciągnęła Ewa – więc mnie nie widział. Potem ktoś zadzwonił, choć już była noc.

Marianna zaczęła wreszcie słuchać, i to pilnie nastawiając uszu. Bo nagle jej się wydało, że Ewa mówi o czymś, czego warto słuchać, o czymś nieprzyjemnym, od czego poczuła ściskanie w dołku. Ociągała się z wyjściem, a teraz coś ją zmusiło do przyspieszenia kroku, byle oddalić się od Ethel, opuścić ten lokal.

Szybko i bez niechęci zapytała:

– A kto to był?

– Przecież mówiłam, że nie wiem. Tatuś powiedział: Krystyna nie żyje? A potem powiedział: przyjdę, oczywiście przyjdę.

Marianna poczuła, że słabnie. Zmusiła się jednak do większego jeszcze pośpiechu, byle się pozbyć Ethel, wciąż deptającej im po piętach. Każde słowo Ewy czuła w żołądku jak spadającą bryłkę lodu. Mignęła jej jakaś znajoma twarz, okrągła, piegowata, o wodnistoniebieskich oczach pod rudą czupryną. Te oczy też spoglądały na nią jak na znajomą.

– Pomówimy o tym w domu – szepnęła.

– Potem tatuś połknął proszek i powiedział: Nie żyje. Dlaczego to się musiało teraz stać. Włożył kapelusz i wyszedł. Tak mu się spieszyło, że zapomniał drzwi zamknąć.

Już były przy wyjściu, Marianna słyszała za sobą kroki Ethel, głos wywołujący: osiemdziesiąt osiem, trzask naciśniętych guziczków, poczuła, że dym gryzie w oczy. Sięgnęła po rękę Ewy i uściśnęła ją, podczas gdy w głowie wirowała myśl: byle tylko nikt nie usłyszał. Ethel pewnie słyszy. Ta okropna Ethel.

– Ja zatrzęsnałam drzwi – powiedziała Ewa. – Dobrze, że tam poszłam, całe szczęście, całą noc by było otwarte.

– Pewnie, pewnie.

Wreszcie się wydostały. Gorąco. Marianna nagle przypomniała sobie, gdzie widziała te wodniste oczy. Wielki Boże, pomyślała, to ten policjant. Czy on też coś usłyszał? Jak on się nazywa... Dunell?

Zegar na wieży kościelnej wybił dziesiątą. Ciepły wrześniowy wieczór poniósł dźwięk przez rzekę i przez otwarte okno dotarł do Brora Anderssona, który siedział przy biurku z piórem w ręku, ze sporym stosem zeszytów po lewej stronie i znacznie mniejszym po prawej. Przy większym stosie stała szklaneczka, której zawartość lśniła złotawo w świetle jedynej palącej się lampy. Bror Andersson sięgnął na prawo po jeden z ostatnich zeszytów, otworzył go, przekartkował w poszukiwaniu nie poprawionych stron. Wodząc oczyma po wierszach, od czasu do czasu stawiał znaczek, robił poprawkę, szybko obliczał punkty i wpisywał wynik lekko i dyskretnie, jeśli błędy były drobne, bardziej zamasyście, gdy poważne. Westchnął. Odłożył zeszyt na drugą stronę i machinalnie sięgnął po szklaneczkę, by odkryć, że jest niemal pusta. Pozwól sobie na jeszcze jedną, Bror. To ci się należy. Po każdym zeszycie łyk, mały łycek oczywiście, w granicach przyzwoitości. W takim dniu, po wszystkim, co przyniósł, napięcie nerwowe, przetrane doznania fizyczne. Zresztą, czy można wymagać, żebys w sobotni wieczór ślęczał nad

poprawianiem zeszytów? Inni się bawią. Odprężają się pod koniec tygodnia, jadą do letnich domków, na działkę, do krewnych i przyjaciół, zapominają o codzienności. Jednak zostało jeszcze kilka, Bror. Masz liczną klasę, zeszytów dużo. Sam sobie kiwnął głową potakująco, bo gdy się w wolny wieczór poprawia klasówki, liczebność klasy i zeszytów jest pewną pociechą. Sumienie się jednak sprzeciwiało: zdarza ci się zaglądać do kieliszka, choć nie masz klasówek do poprawiania. I do lunchu też sobie często pozwalasz na jednego. Zgłębiał ten zarzut, uparcie wydmawając usta. Dziś akurat zapomniałem, ograniczyłem się, więc mała dolewka jest uzasadniona. Mogę znowu któregoś dnia nie wypić przy lunchu, nie muszę teraz ustalać, kiedy. Kompromis bywa szczęśliwym rozwiązaniem: dajesz i bierzesz. Według najświętszego wzorca demokracji, być może stanowiącego jej kamień węgielny: ustępować, by zażądać; żądać, by ustąpić. Teraz kolej na żądanie.

Prowadząc ten wewnętrzny dialog, wyprostował nogi, rękami oparł się o blat biurka, połączenie tych działań sprawiło, że wstał. I natychmiast znalazł się w dyskretnym cieniu obok pięknej staroświeckiej szafki narożnej, wsuniętej między regał z książkami i grupę foteli. Gęsty abażur ograniczał zasięg białego strumienia światła, płynącego z lampy stojącej na biurku, zupełnie nie było widać, co tam robi, zresztą nie robił nic ważnego. Przekręcił kluczyk, otworzył drzwi szafki. Wydało mu się, że w głębi między kieliszkami i butelkami widzi cień swej dawno zmarłej żony. Zawahał się, może to jakaś wieść, ostrzeżenie, zapowiedź. Odrzucił jednak wszelkie skrupuły, wszelkie zarzuty, z tamtej strony pochodzące, i mruknął: na co ty się możesz skarżyć, mam tylko siebie, tylko siebie. Wsunął rękę w ciemność i namacał niemal opróżnioną butelkę whisky, ściskając ją mocno, zamknął szafkę i wrócił do biurka i szklaneczki. Zobacz, jak się innym wiedzie, myślał. Fritzemu na przykład, dorobkiewicz, bez klasycznego

wykształcenia, bez horyzontów, jakie daje tylko studiowanie łaciny, greki i filozofii. Dorobkiewicz, prychnął pogardliwie, a pełni obowiązki dyrektora. Nie ma już uczciwości. Jest za młody, nieznośny gaduła, głądzi na kolegiach, na zebraniach Rady Miejskiej też z pewnością plecie. Zaczepił się tam z racji swego stanowiska oczywiście. I dlatego, że jego była żona pochodziła z ziemiańskiej rodziny. Wstyd, co się w tym domu działo, bo wziął ją dla pieniędzy, wszyscy o tym wiedzieli. Tylko że ona go przejrzała. Cóż za wiosenna słoneczność! Bror Andersson podniósł szklaneczkę pod światło, by nacieszyć się widokiem złocistej zawartości, nim jej dotknie ustami. Zamknął oczy i zakończył akt głębokim westchnieniem, które przeszło w lekkie sapanie. A Krystyna? Nie jest tak głupi, by nie zauważyć, co się tu dzieje między Krystyną a Fritzem. Takie rzeczy dostrzega się żyjąc pod jednym dachem, zwłaszcza gdy skrzypiące schody zdradzają. Stawiał sobie pytanie, o co też Fritzemu chodzi, o nią czy o jej pieniądze. Im człowiek starszy, tym mniej wierzy w miłość. Krystyny już nie ma. Uważnie przyjrzał się szklaneczce. Znowu pusta. Przeniósł wzrok na butelkę, też już próżna. Widok dwóch opróżnionych naczyń połączył się i wywołał decyzję. Jeszcze łyk, nim pójdzie się położyć. Bez tego nie zaśnie tak głęboko, by zamknąć dostęp myślom, kapryśnie wysnuwającym wątki z fantazji i z rzeczywistości. Dużo się działo. Pełen dom, woda lejąca się z kranów, rozbite drzwi, Bogu dzięki, że nie widział tego, co odkryto w łazience na górze. Wczoraj wieczorem było tak samo. Położył się leciutko podchmielony, zgasił lampę i na progu zapadnięcia w nieświadomość wszystkie wrażenia zmaterializowały się w zagadkę. I nagle ta gwałtowna jak eksplozja muzyka tuż pod jego drzwiami sprawiła, że zerwał się półprzytomny, dygocący ze strachu i z gniewu. Nie tylko on, Klara też. A Fritze śmiał się, czymś się tam usprawiedliwiał, wreszcie przeprosił i zaproponował tabletki nasenne. Klara odmó-

wiła, bo już wzięła, zresztą nie odważyłaby się wziąć czegoś, czego jej doktor nie przepisał. Bror Andersson ją poparł. Wolałby solidnego kielicha, ale o tym nie śmiał napomknąć wobec p.o. dyrektora, bo mógłby zostać źle zrozumiany. Zaśniemy i bez tego, byle wreszcie cisza zapanowała w domu. Dyrektor przytaknął, słowem nie wspominając o usiłowaniu podpalenia, za co zresztą Bror Andersson był mu wdzięczny. Oprzytomniał, ale dalej stał niezdecydowany wpatrując się w pustą szklaneczkę, jakby to mogło wystarczyć, by napełniła się zgodnie z jego pragnieniem. Wreszcie powziął postanowienie. Cicho otworzył drzwi i wymknął się do hallu. Zapalił światło i na palcach podszedł do sąsiednich drzwi w nadziei, że Fritze nie śpi, wpół do jedenastej jeszcze nie ma, więc nie powinien. Tylko oczywiście może ktoś u niego być. Pochylił się i nasłuchiwał. Cicho. Śpi jednak. A może go nie ma. Nachylił się jeszcze niżej i zajrzał przez dziurkę od klucza. Ciemno. Po chwili wydało mu się, że coś przecież słyhać, więc przyłożył ucho do drzwi. Słaby szmer głosów, jeden Fritzego, drugiego nie mógł rozpoznać, bo to był tylko szept. Znowu zajrzał i jednak tym razem stwierdził, że tam pali się lampa, tylko przyćmiona. Zapukał. Jeszcze przez kilka sekund słyszał głosy, potem zapanowała zupełna cisza. Kroki pod drzwiami, które Fritze uchylił tylko, więc nauczyciel łaciny nie mógł zajrzeć do wnętrza. Odchrząknął i zaczął:

– Nie chciałbym ci przeszkadzać, Bengt, ale masz może przypadkiem parę kropel whisky do pożyczania?

– Nie – usta Fritzego zacisnęły się w wąską kreskę. – Jestem przy tym bardzo zajęty.

– Jakaś wizyta?

– Jestem zajęty.

Nim Bror Andersson zdążył przeprosić, zamknięto mu drzwi przed nosem. Poczul się urażony. Wyprostował się i poczerwieniał z irytacji. Że też ktoś może być tak nieo-

krzesany. Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi Klary. Zapukał. Otworzyła natychmiast. Zrobiła zdziwioną minę i powiedziała:

– Czego sobie życzysz, mój drogi, tak w środku nocy?

– W środku nocy! – Zmieszał się, do głowy mu nie przyszło, że jest późno, zresztą osuszenie butelki zawsze cofa czas.

– Przepraszam – powiedział – myślałem, że już śpisz.

– Nie rozumiem.

Zmieszanie Brora wzrastało.

– To znaczy, przypuszczałem, że nie otworzysz, chciałem jednak spytać, bo Bengtowi nie można przeszkadzać. Poprawiałem klasówki i pomyślałem sobie, że mały kieliszek... bo mi zabrakło... więc chciałem spytać, czy nie mogłabyś mi pożyczyć do poniedziałku?

W tejże chwili dostrzegł na stolyczku przed kanapą butelkę. Ciemną, przyjemnie zaokrągloną, z czarną etykietą Queen Ann. A obok napełniony kieliszek.

Klara po pewnym wahaniu wzięła go za ramię i wciągnęła do pokoju. Pokój był obszerny, dużo większy niż jego własny. I wbrew temu, czego można by oczekiwać ze względu na jej zawód i sposób bycia, urządzone bardzo po kobiecemu. Różowa kapa z pomponikami, tiulowe firanki, jasnoniebieski dywan, różowe kwieciste tapety, akwarele w wąskich pozłacanych ramkach. Lampa z ogromnym plecionym z rafii abażurem kołysała się nad kanapą.

– Usiądź – powiedziała. – Zapraszam cię na jednego. – Wyjęła rżnięty kryształowy kieliszek. – Proszę. – Odkorkowała butelkę i naląła.

Przyglądał się jej popijając. Twarz dobrze utrzymana. Wiedział, że ma ponad czterdziestkę, ale w tym oświetleniu o tej porze i w tej sytuacji wyglądała na dwadzieścia pięć albo niewiele więcej. Wystające kości policzkowe, usta pełne, o linii bardziej miękkiej, niż mu się dotychczas wydawało, choć nie pozbawionej zdecydowania, broda

okrągła, mocna, dobrze ukształtowana, z zagłębieniem pod dolną wargą. Oczy piwne. Zawsze mu się wydawało, że patrzą trzeźwo i czujnie. Ale teraz było w nich łagodne zaleknienie, prawie smutek. Frędzle lampy, rzucające cień na jej twarz aż po brwi, podkreślały jeszcze to wrażenie, wydobywały skośne ustawienie oczu, czerń półukrytych pod powiekami źrenic skonstrastowaną z pasmem białka. Bror Andersson przyglądał się Klarze uważniej niż kiedykolwiek. Zawsze wydawało mu się, że wygląda głupawo. Teraz gra światła i cieni czyniła jej twarz inteligentną a nawet uduchowioną. To mu się podobało. Podniósł kieliszek i wypił do dna. Potem dokonał odkrycia, że Klara ma na sobie tylko cienki szlafrok, a pod szlafrokiem prawdopodobnie tylko koszulę nocną.

Klara zauważyła, że jego wzrok ześliznął się z jej twarzy ku dekoltowi. Podniosła rękę i obcisnęła szlafrok pod szyją.

– Ach tak, więc Bengt nie chce, by mu przeszkadzano – powiedziała. – Różnie reagujemy. Jeden chce siedzieć w samotności, drugi wolałby mieć w pobliżu jakąś rękę do uściśnięcia. O, jakież chłód wtargnął do tego wielkiego domu!

– Nie w samotności. Ktoś u niego był. Może ma w pobliżu rękę do uściśnięcia, jak powiedziałaś. Kobiety, kobiety – westchnął. – Nikt nie znajdzie pociechy, jeśli jej nie szuka. Dla mnie przeważnie pociechą bywał Bachus... gdybyż to zamiast niego była kobieta.

Klara spojrzała na niego. Coś poruszyło się w jej sercu. Tak wygląda, pomyślała, stary człowiek, zmęczony, ziarno zostało zasiane, a plon był niewielki. Dotknęła spojrzeniem szorstkich policzków, poznaczonych siwą szczecina zarostu, czoła, po którym cienkie linie zmarszczek rozbiegały się ku nasadzie włosów, dość gęstych, ale martwo zmatowiałych. Zauważyła jabłko Adama gwałtownie poruszające się pod wyschlą skórą, gdy alkohol przepływał

przez gardło, odkryła niezliczone zmarszczki na odstawiającej kieliszek dłoni. Wzdrygnęła się, sięgnęła po kieliszek i powiedziała:

– Więc miał u siebie kobietę, tak natychmiast po niej – pożałowała tych słów, zaledwie zostały wypowiedziane.

Bror Andersson uśmiechnął się zmieszany.

– To był tylko szept. Cóż to jednak za różnica, że Krystyny już nie ma. Nie można oczekiwać zbytnej przyzwoitości w takich sprawach. Nie mamy zresztą prawa. Zdarza się miłość w desperacji, równie dobrze jak desperacja w miłości... crime passionel.

– Nie przypuszczasz chyba – Klara szeroko otworzyła oczy, lecz Bror odzegnał się powolnym ruchem uniesionej dłoni.

– Nie. Nie to. Nie w takich okolicznościach. Miałem tylko na myśli, że zmartwienie często rzuca człowieka w ramiona kogokolwiek. Byle to dało pociechę. Ja nie żywiłem takich uczuć dla niej. Dla mnie był to tylko szok, przykrość, jakby się wdepnęło w coś, w co nie miało się najmniejszej ochoty wdepnąć. A dla ciebie?

Spojrzał na nią, lekka mgła przysłaniała mu oczy. Przyjęła jego spojrzenie z pewnym zdziwieniem, palce mocniej zacisnęły się wokół dekoltu.

– Cóż, nie mieszkaliśmy w domu niewinności – tyle mogę powiedzieć. Ja to tylko wyczuwałam, jako coś dalekiego, zza ściany, zaprzeczałam własnej świadomości. Nie chciałam w to wierzyć, nie chciałam wiedzieć. – Słowa płynęły i wsiąkały w ciszę. Klara opuściła oczy i poczerwieniała. Bror Andersson z roztargnieniem sięgnął po butelkę i napełnił oba kieliszki.

– Każdy ma inny sposób – powiedział wolno. – Jedni czekają, drudzy uczestniczą w tym. A dla innych to już minęło. – Westchnął głęboko i podniósł butelkę pod światło, by skontrolować poziom płynu. – Dla mnie na przykład to już minęło – ciągnął dalej.

– A dla mnie?

Było to bezgłośnie pytanie. Bror Andersson popatrzył na nią. Sprawiało mu to pewną trudność, więc żeby lepiej widzieć, przymrużył jedno oko. Zmarszczki, które często dostrzegał na jej szyi, zniknęły, cera była gładka i czysta, przejrzyste i połyskliwe padały na nią refleksy tapet i firanek. Poczuł, że coś, co długo było uspione, budzi się w nim, taje. Nie było to nieprzyjemne, choć smutne i nieśmiałe. Powiedział tak miękko, jak tylko potrafił:

– Droga przyjaciółko, ty możesz w pełni uczestniczyć.

Dźwignął się ciężko i niepewnie, choć w nogach czuł lekkość. Podeszedł do białego kredensiku i włączył radio. Ciepła, spokojna muzyka wypełniła próżnię ograniczoną różowymi ścianami.

– Istnienie to terażniejszość – powiedział. – Poza mną nic nie istnieje. Ani ten pokój, ani ty, ani muzyka, nic, co się wydarzyło albo wydarzy. Istnienie to percepcja, filozofia to wie, Klaro, filozofia wie.

Bokiem, niemal niezauważalnie przysunął się do niej. Klara znieruchomiała, spojrzała przerażona. Wreszcie pojęła.

– Bror – powiedziała ostro – co ci właściwie przyszło do głowy? Przecież ośmieszasz się...

Upadł przed nią na kolana, ujął jej dłoń, przycisnął sobie do czoła.

– Ludzie kochają – szepnął. – Nie jestem starcem, Klaro. Uzgodnijmy to. Jesteś moja, ja jestem twój. – Wypowiadał słowa niemal śpiewnie, kołysząc głową w takt muzyki.

A w niej jakby bomba eksplodowała. Wolną ręką sięgnęła po kieliszek, podniosła do ust. W gardle zapiekło, ale przełknąwszy natychmiast naląła sobie ponownie. Od muzyki i alkoholu zakręciło się jej w głowie. Wyrwała Brorowi rękę i niemal krzyknęła:

– Nie myśl, że nie wiem, co to miłość! Stary. Ech, nie o to

chodzi. Tylko ja naprawdę kocham, a ty... a ty robisz z miłości coś odrażającego.

– Droga Klaro.

– Boże, dlaczego zmuszasz mnie, żebym o tym mówiła. Dlaczego jesteś taki natrętny, nie wystarcza, że się widzimy, rozmawiamy, gramy w brydża?

Dźwignął się niepewnie, oparł o krzesło i pochylając się nad nią szepnął:

– Kochasz mnie?

– Nie, nie, nie! – Zabrzmiało to staccato, było w tym przerażenie, zniecierpliwienie i o wiele więcej okrucieństwa, niż sądziła. Podniosła się tak gwałtownie, że niemal przewróciła go. Chwilę krążyła po pokoju. Uspokoiwszy się powiedziała łagodniej:

– Moja miłość jest wzbroniona. On jest żonaty, ma dzieci. Bogaty, nieosiągalny, należy do innego świata, ty także. Sam powiedziałeś, źle jest wdepnąć w coś, w co się wdepnąć nie powinno. Jak ona.

– Ona?

– Krystyna. Wiem, że ona tak postępowała, dlatego mogę ci powiedzieć, że to, co się stało, było dla mnie nie tylko szokiem i przykrością, jak dla ciebie, to było coś zupełnie innego, o wiele głębszego; nienawiść, strach, podejrzenie, rozpacz.

Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Bror Andersson długo patrzył na nią w milczeniu. Jej szyja znowu wydała mu się pomarszczona, odkrył, że w tym stworzeniu nie ma absolutnie nic z intelektualnych wartości, że ta twarz jest niemal kwadratowa i głupawa.

– Kogo miałaś na myśli, Klaro?

– Torgny'ego Pihla. Przepraszam.

Sięgnęła do kieszeni szlafroka po chusteczkę, wytarła nos i szepnęła:

– To moja tajemnica i, bądź tak dobry, Bror, niech nią pozostanie. Więcej nie będziemy o tym mówić.

– Nigdy – zapewnił i dodał poważnie: – Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło.

Wrócił na swoje miejsce przy stoliku, nalał sobie ponownie, bo wydało mu się, że zupełnie wytrzeźwiał i może wypić jeszcze trochę. Nie tknął jednak napełnionego kieliszka i tylko powiedział wolno:

– A więc Krystynę coś łączyło z dyrektorem Pihlem. Teraz lepiej rozumiem. Wczoraj w ogrodzie przyglądałem się różom pod ścianą, bo miały mszyce na listkach. Okno było otwarte i usłyszałem, że Krystyna dzwoni i chce mówić z dyrektorem Pihlem. Widocznie go nie zastała, bo odłożyła słuchawkę.

Klara wyprostowała się i powiedziała zduszonym głosem:

– Nie tylko ten jeden raz dzwoniła. Trzy razy dzwoniła. To musiało być coś ważnego i dlatego się boję. Krystyna Vannerman to był... dobry numer.

Drgnął i spojrzał uważniej. Szlafrok Klary rozchylił się i ujawnił obszytą koronką koszulę z przejrzyście zielonego nylonu. Efekt był natychmiastowy i irytująco nieprzyjemny: atak czkawki. Wycofał się ku drzwiom i znikł w korytarzu, nim Klara się opatrzyła. Wstrzymał oddech, by zahamować czkawkę, ale daremnie. Skradał się na palcach do swego pokoju, ale whisky i w inny sposób dała znać o sobie: zakręciło mu się w głowie. Przystanął, oparł się o drzwi Fritzego. Znowu usłyszał głosy, nawet trochę wyraźniejsze niż poprzednio. Jakiś nieodparty impuls sprawił, że zapukał. Wewnątrz zapanowała cisza. Potem kroki, zupełnie jak poprzednio, i twarz Fritzego w szparze uchylonych drzwi, czerwona z irytacji.

– Chyba ci już powiedziałem, że nie mam nic do picia. I dałem do zrozumienia, że jestem zajęty.

Bror Andersson chytrze zmrużył oczy.

– A jednak jest ktoś u ciebie, przecież słyszałem.

Fritze po kilku sekundach milczenia gwałtownie otworzył drzwi na roścież, żeby Bror mógł wejść.

– Jesteś pijany – powiedział ostro. – Masz halucynacje. Nikogo tu nie ma prócz mnie, a jeśli słyszysz głosy, powstają one w twym zamroczonym mózgu.

Odepchnął nauczyciela łaciny i zatrzasnął drzwi. Bror Andersson stał dalej, w głowie mu szumiało. Dyrektor nie mógł przyjmować kogoś o tej porze, to z pewnością tylko radio. Nagle wyprostował się. Czkawka przeszła, poruszył wargami. Teraz wie, choć to przecież niemożliwe. Boże, zatrzymaj czas, nie mieszaj przeszłości z teraźniejszością. Bror, wiesz przecież, że ona nie żyje. Ale wiedział też, był pewien, że słyszał w pokoju dyrektora głos Krystyny Vannerman. Po omacku dobrnął do swego pokoju, padł na łóżko i skulił się jak pies.

Rozdział dziewiąty

Niedziela, 14 września. Ranek.

Noc była jasna, wygwieżdżona, a jednak upał trwał pod cienką mgiełką, która nad ranem opadła na ziemię w postaci srebrzystej rosy. Słońce już zdążyło zawędrować dość wysoko. Wpadało przez szybę samochodu grzejąc świeżo ogolone policzki i granatowy, pasiasty garnitur Durella.

W Norlidzie Melander skręcił z wybrzeża Nissy na drogę w kierunku jeziora. Zorientował się w licznych rozgałęzieniach i wydostał na piaszczystą drogę leśną, która, wijąc się niepewnie to w lewo, to w prawo, biegła między płotkiem wzniesionym z kamieni a wąskim pasmem młodych świerków, by wreszcie zdecydowanie opaść w prześiekę, wystarczająco szeroką i równą, by można ją było wykorzystać jako parking i miejsce do zawracania. Melander zgasił silnik. Spomiędzy drzew i krzaków prześwity-

wało wysokie kamienne obmurowanie, uniemożliwiające wszelki wjazd. Tylko wąska ścieżka prowadziła w głąb przez otwór w murze. Wysiedli z samochodu i podążając tą ścieżką wyszli na zalany słońcem teren; stał tam domek, otoczony zdziczałym ogrodem. Domek był niski, poczerniały, z małymi, wieloszybowymi okienkami. Na spadzistym dachu wielkie kępy mchu puchły między rzędami dachówek. Za zielenią ogrodu połyskiwało jezioro.

Na tyłach domku, przed rozpadającą się szopką, Durell zatrzymał się, uniósł zardzewiały haczyk i pchnął drzwi. Według informacji pośrednika tam miał znaleźć klucz. Obmacał ścianę. Klucz miał być duży i wisieć na gwoździu. Gwóźdź odnalazł, ale klucza na nim nie było. Rozgniewany zawołał do Melandera:

– Żadnego klucza tu nie ma! Spróbujemy się jednak tam dostać.

Melander, czekający na schodkach ganku, odkrzyknął:
– Jest w drzwiach. Tylko wejść.

Klucz w drzwiach. Durell zmarszczył brwi. Cóż, przyjechali tu w nadziei, że coś uda się odkryć. Dlaczego nie klucz w drzwiach. I to może mieć znaczenie.

W tejże chwili rozległ się strzał. Echo przetoczyło się wzdłuż brzegów po tamtej stronie jeziora i rozpląnęło wśród porośniętych lasem wydm. Durell i Melander odwrócili się szybko. Strzelono gdzieś niedaleko stąd, bliżej brzegu, przypuszczalnie po tamtej stronie wrzynającego się w jezioro niewielkiego półwyspu, zwanego cyplem. Dobrze wyciągając nogi zbiegli pod sękatymi jabłoniemi, przez chwasty, nadbrzeżne łąki aż do jeziora. Tam w obie strony rozciągała się plaża – szeroki pas najbielszego piasku niby jedwabisty dywan o postrzępionych brzegach, rozłożony pod lasem. Pod wodą piasek wyglądał jak złocistobrunatna krajka, która wpadła w mulistą głębię. Wstęga nenufarówych liści poruszała się przy brzegu, wielkie zielone palety, między którymi tu i ówdzie tkwił spóźniony kwiat.

Przystanęli, wypatrując w kierunku półwyspu, potem ruszyli dalej, wydostali się z piasku na twardsze podłoże i znaleźli ścieżkę prowadzącą przez cypel. Durell objął przewodnictwo. Biegł lekko i płynnie, wyprzedzając szefa, który miał trudności z wyrównaniem kroku swych imponująco długich nóg. Wyszli na drugą stronę cypla. Tu brzeg był kamienisty i niegościnnie, ale trochę dalej płaskie kamienie zostały oczyszczone i ułożone w rodzaj mola, do którego zmierzała właśnie łódź. Na jej dziobie siedział pies. Bruzda zostająca za rufą zdradzała, że łódź wypłynęła spośród trzciny zarastających miejsce, gdzie Nissa wydostała się z jeziora.

Samotnie siedzący w łodzi mężczyzna nie zauważył ich. Wiosłował długimi, mocnymi ruchami, ale prawie nie słychać było plusku przy zagarnianiu wody, wiosła lekko chodziły w dobrze nasmarowanych dulkach, bez zgrzytu, zaznaczając tylko takt rytmicznym stukaniem. Tuż przed miejscem zakotwiczenia odwrócił się, by skontrolować kierunek, ale i teraz chyba nie zauważył policjantów. Kiedy dziób wśliznął się między głązy, mężczyzna podniósł się i cofnął o krok, tak że dziób uniósł się i łódź osiadła na lądzie. Pies wyskoczył. Mężczyzna pochylił się nad ławeczką. Gdy się ponownie wyprostował, miał już strzelbę na ramieniu i dziką kaczkę w ręce. Wyrzucił łańcuch na ląd, wyskoczył na płaski kamień i umocował łańcuch do palika z kółkiem. Durellowi zdawało się, że odejdzie, nie zwracając na nich uwagi. Tamten jednak ruszył prosto na nich, zatrzymał się i uklonił. Stary człowiek, siwy, o krzaczastych brwiach i pooranej twarzy, wysoki, barczysty, w szarawej koszuli.

– Szukacie kogoś? – powiedział.

– A więc to pan strzelał – Durell rozpromienił się, chcąc przełamać mrukliwe nastawienie starego. – Usłyszeliśmy strzał i chcieliśmy tylko sprawdzić, co to takiego. A więc w trzcinie są kaczki.

– Są. To mój teren i pora na polowanie dozwolona.
– Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że pan nazywa się Karlsson. Kurt Karlsson.

Tamten okiem nie mrugnął.

– Tak, to ja.

– I to pan czuwa tu nad letnim domkiem panny Vannerman?

Nie odpowiedział. Durell dostrzegł, że wyraz oczu mu się zmienił, odbił się w nich jakiś niepokój czy przykrość, a może tylko ciekawość. Ciągnął więc dalej:

– Wie pan, że panna Vannerman nie żyje.

Stary stał nieruchomo, ani jeden mięsień nie drgnął w jego grubo ciosanej tważy. Milczał, nie odwracając od Durella pozbawionych wyrazu oczu. Potem nagle powiedział:

– Tak, wiem. Słyszałem w radio. I mam córkę w Gislaved. Telefonowała, opowiedziała mi.

– Kiedy pan ostatnio zaglądał na działkę?

– Parę dni temu. Miałem pokazać, jakby jaki chętny przyjechał, ale nikt nie był.

– A może pan wyjaśnić, dlaczego klucz tkwi w zamku? Poinformowano mnie, że klucz ma wisieć w szopie na narzędzia.

– Tam powinien wisieć i tam zwykle wisi. A jeżeli jest w zamku, znaczy ktoś tam był i klucz włożył.

Durell uśmiechnął się wobec tej niezbitej logiki.

– A pan nie zostawił go w drzwiach przez zapomnienie?

– Ja tam nigdy nie zaglądam. Obchodzę tylko dokoła, sprawdzam, czy wszystko w porządku.

Umilkł, ale Durell poznał, że nie wypowiedział wszystkiego, dał mu więc wyrazem twarzy poznać, że oczekuje dalszego ciągu. I słusznie, bo stary zapytał:

– Jesteście z policji?

Gdy potwierdzili, przesunął spojrzeniem po obu i powiedział:

– To może chodźmy do mnie do domu. Myślę, że policja o wszystkim powinna wiedzieć, niech mi Bóg wybaczy... Ze mną jak z Judaszem. Nie zdradziłby jednego, zdradziłby drugiego. Trudno wybierać pomiędzy posłuszeństwem prawu a milczeniem.

Skreślił i dał im znak, by szli za nim. Idąc przez las trzymał się kilka metrów przed nimi. Jeszcze bardziej wyprzedzał ich pies. Szli zupełnie inną ścieżką, nie tą, którą policjanci przybyli na działkę.

Piasek trzeszczał na pobrażach. Od czasu do czasu trzeba było skręcać, by objechać przecinające drogę wystające korzenie drzew. Ingalill podążała za nim z koszem na bagażniku i torbą na kierownicy. Jeszcze nie dotarli do zakrętu, gdy zauważył samochód stojący koło ogrodzenia. Zeskoczył z roweru i powiedział do Ingalill:

– Poznaję ten samochód. Co znaczy, że i tu nie pozbedziemy się policji.

Oparł rower o drzewo i zdjął plecak z bagażnika. Przerzucił go przez ramię i wszedł za kamienne obmurowanie, mocno zawiedziony z powodu obecności tego samochodu. Chciał się uwolnić od wszystkiego, od rozmyślań, od policji, od ludzi sterczących pod willą od świtu do zmroku, od ustawicznych telefonów dziennikarzy i dalekich znajomych, którzy chcieli upewnić się, czym naprawdę pachnie to, co zwietrzyli nozdrzami czułymi jak u hieny. Podeszli do szopki. Tomasz obmacał ścianę w poszukiwaniu klucza. Jego brak nie zdziwił go nawet. Klucz był duży, stąd mógł dojrzeć, że sterczy w zamku.

– Oni tam są – powiedział. – Chodź, zostawimy tylko żywność i pójdziemy sobie. Miejmy nadzieję, że skończą tam niuchać, nim wrócimy.

Weszli. W sieni szmaciany chodnik na podłodze i makatki na ścianach. Na lewo duża izba, na prawo, w głębi za

kuchnią, sypialnia. Ściany były z poczerniałych bali, dach opadał nisko ku oknom. Tomasz otworzył drzwi kuchni i przepuścił przez sobą Ingalill. W kuchni rozpierał się ogromny bielony piec z rzędem miedzianych rondli na okapie. Tuż obok nierdzewny zlewozmywak i nowoczesna kuchnia elektryczna.

– Gdzież oni są, u licha – powiedział Tomasz. Postawił plecak na kuchennym stole, by Ingalill mogła zająć się wypakowaniem, a sam przeszedł do dużego pokoju. I tam było pusto. Stwierdziwszy w ten sposób, że w domu nie ma nikogo, dla pewności zajrzał i do sypialni, gdzie słońce wpadające przez okno szeroką strugą oświetlało nocny stolik. A na tym stoliku coś, co natychmiast poznał. Zawołał na Ingalill, a gdy stanęła przy nim, wskazał stolik ze słowami:

– Dlaczego ja zawsze wszystko muszę odkrywać. Widzisz tę bombonierkę? Wczoraj wieczorem była u nas w domu. Przed zniknięciem Krystyny. – Uśmiechnął się gorzko. – A policji tu jednak nie ma.

Spenetrował zawartość pudełka, rozejrzał się dokoła, zajrzał pod łóżko, otworzył szafę. – Ciekaw jestem, czy nie ma tu czasem tej jasnobrażowej teczki.

– Zostały tylko trzy pralinki – stwierdziła Ingalill. – Nic nie rusz. I nie szukaj teczki. Mam wrażenie, że jeżeli nawet ty dokonujesz odkryć, zajmować się nimi powinna policja. Daleko nie mogli pójść, z pewnością zaraz wrócą.

Przecieli ścieżkę wiodącą do Nissy i weszli na bitą drogę prowadzącą do starej chłopskiej zagrody. Jakaś kobieta rąbała drwa za węglem obory. Karlsson zatrzymał się w odległości kilku metrów.

– Anno – powiedział – ci panowie są z policji.

Wypuściła polano i oparła siekierę o pień. Durell zobaczył, że ma dłonie owinięte od napiętków aż po palce,

ale tak, że kciuk był wolny, więc mogła utrzymać siekiere. Obok pieńka leżał stos narąbanych szczap. Patrzyła pytająco na nich i na ojca. Była do niego podobna, podwinięte rękawy swetra uwidaczały nagie ramiona o twardych mięśniach.

– Pora, żeby się dowiedzieli – powiedział Karlsson.

Anna odłożyła siekiere, skrzyżowała ręce na piersi i przysiadła na pieńku. Przełknęła ślinę i unikając wzroku ojca powiedziała:

– Nie... nie...

– To konieczne. Opowiedz, Anno. Wiesz przecież, co się później stało w tym domu.

Czekał. Ona milczała. Po długiej chwili ciszy podjął:

– W takim razie ja sam to zrobię. Spytałem ją, jak można doprowadzić ręce do takiego wyglądu, a ona odpowiedziała: Jak się wiosłuje z Norlidy do Gislaved i z powrotem. – Stary umilkł.

Durell poczuł, że Melander dotknął jego ramienia, i zrozumiał ten znak napięcia. Tylko Anna nie zareagowała. Siedziała ze spojrzeniem wbitym w ziemię.

– Powiedziała mi, że popłynęła tam, żeby podpalić dom. Ale ugaszono. A ją zdradził jakiś pies i aż do rzeki gonił ją ktoś, kto wyskoczył z domu. Tak było, Anno?

Wreszcie zareagowała. Podniosła oczy i spojrzała na starego.

– Tak. Ale mnie nie złapali. Popłynęłam z powrotem. To mi zajęło trzy godziny. – Urwała, Durell zachęcił ją gestem, by mówiła dalej.

– Wiosłowałam – powiedziała – wiosłowałam i wiosłowałam, czułam, że ręce mam pościerane do krwi, ale co miałam robić, musiałam przecież wrócić. Księżyc świecił czasem chował się za chmurę, wtedy kręciłam się w kółko nie wiedziałam, gdzie jestem, czasem zawadzałam łodzią o brzeg, czasem nie byłam pewna, czy nie płynę w odwrotnym kierunku. Bałam się, bałam się ciemności, bałam się

tego, co zrobiłam, bałam się, że źle płynę. A ta okropna muzyka. Kiedy się wydostałam na rzekę i odpłynęłam ze dwieście metrów, ktoś tam w domu zaczął grać na pianinie. Straszne to było. Wydawało mi się, że to diabli tam grają, że dom się pali, że pójdę do piekła, bo podpaliłam. Wreszcie się skończyło to granie. Zrobiło się zupełnie cicho i to też było straszne. Wydawało mi się, że coś dokoła czyha na mnie, a potem zapaliły się reflektory jakiegoś samochodu na brzegu i świeciły w ciemność, prosto na mnie. A jak zgasły, ten samochód zaczął dawać sygnały, tak jakby trąbił, zupełnie inaczej niż samochody takie zwyczajne. Pomyślałam, że już mnie gonią, złapią i wsadzą, więc wiosłowałam coraz prędzej, wplątałam się w zwisające z brzegu gałęzie, wydostałam się jakoś i dobiłam wreszcie do domu.

Umilkła, Durell czuł, że opowieść będzie mieć dalszy ciąg. Anna mówiła patrząc tylko na ojca i chyba nie zdając sobie sprawy z obecności jego i Melandera. Jej ramiona unosiły się rytmicznie w takt krótkiego gwałtownego oddechu.

– I to jeszcze nie koniec – podjęła. – Wyszłam na ląd, przywiązałam łódkę i poszłam przez cypel do tej drogi, którą się jedzie do panny Vannerman. Stąd biegłam do domu, bo one znowu się za mną pokazały, te reflektory. Obejrzałam się. Wpatrywały się we mnie wrogo zza zakrętu i przesuwwały się, obmacywały drzewa, zupełnie jakby mnie szukały. W ostatniej chwili skoczyłam pod płot, akurat kiedy samochód dał ten przerażający sygnał, minął mnie i pojechał w kierunku Nissy. Długo stałam przytulona do płotu, czekałam. Serce mi waliło, nie miałam odwagi iść dalej. Ale przecież w końcu musiałam. Jak już byłam na drodze, on znowu. Raz tylko, z tyłu. Światło między drzewami i te oczy, zupełnie jak oczy, i ten ryk, ryczał jak zwierzę. Znowu skoczyłam w bok. Wiedziałam, że ten samochód chce mnie dopaść, cały czas był tuż za mną, to było

nieludzkie i niemożliwe, bo jak on mógł przejechać za mną przez rzekę? A teraz chciał mnie zabić na leśnej drodze. Wyminął mnie. Drugi raz. I znowu pojechał do Nissy. – Umilkła, otarła pot z czoła, wstrząśnięta wspomnieniami. – Nie wiem, jak potem trafiłam do domu, raptem byłam w domu i już, stałam w sieni i zdejmowałam kurtkę ojca, a on wyjrzał i spytał, gdzie byłam, a ja... Wszystko jakby mi się tylko śniło. Przecież nie mogłam mu powiedzieć. Powiedziałam, że łąziłam po lesie, trochę siedziałam i myślałam sobie. Ale wczoraj wydobył ze mnie, a teraz już nie wiem, czy to prawda, czy wszystko tak było? Może tylko miałam taki sen.

– Nie – krótko stwierdził Durell. – Zgadza się. Przynajmniej jeżeli chodzi o ogień podłożony koło schodów, zgadza się co do joty. Dlaczego pani podpaliła?

– Bo nie chciałam mieć tego domu. Ja nie chcę pensjonatu. Chcę tu mieszkać, z ojcem.

– A ponieważ nie chciała pani mieć pensjonatu, uważała pani, że najlepiej podpalić dom. Nie pomyślała pani, że tam są ludzie, że naraża pani życie wielu osób?

Wolno odwróciła głowę i spojrzała na niego obojętnie.

– A jak miałam się go pozbyć?

Durell zacisnął zęby. Nic nie mógł poradzić na to, że czuł dla niej współczucie. Postarzała, sterana, żyjąca we własnym świecie, w którym nie było miejsca na zmiany. Wiedział jednocześnie, że nie może jej pozostawić na wolności. Musi ją zatrzymać. Wiedział także, że wyniknie z tego badanie psychiatryczne i ani przez chwilę nie wątpił, jaki będzie wynik. W patetycznej opowieści o ucieczce przez rzekę i las ujawniła wiele szczegółów. Powiedział jak najuprzejmiej:

– A ten samochód, o której godzinie go pani widziała choć w przybliżeniu?

– Przy Röjan? Zaraz jak wyszłam z domu.

Durell uśmiechnął się. Nie o ten samochód mu chodziło

nie światła reflektorów z brzegu i trąbienie miał na myśli, ale gdy powiedziała Röjan, natychmiast chwycił zdobycz.

– Więc przy Röjan, bo nie było dla mnie zupełnie jasne z tym samochodem. Czy on przejeżdżał drogą, czy stał zaparkowany przy Röjan?

– Stał. Na campingu oczywiście.

– I dawał sygnały. Czy to nie dziwne, żeby z takiego miejsca dawać sygnały?

– Oni mnie dawali sygnały. Najpierw zapalili światła, żeby mnie widzieć. Potem trąbili. Jakby chcieli powiedzieć: wiemy, gdzie jesteś, zaraz cię złapiemy. Od razu wiedziałam, że za mną pojedą, że im nie ucieknę...

Durell zląkł się, że Anna zacznie wszystko powtarzać, i przerwał szybko:

– Rozumiem. A może pani podać, która była godzina?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie myślałam o godzinie. I przecież ciemno było. Nie trzeba dużo czasu, żeby tam dopłynąć. Nie więcej niż pięć, sześć minut, a wiosłowałam szybko, bo chciałam być jak najdalej od tego domu. – Oczy jej rozbłysły. – Ale wy pewnie wiecie, kiedy oni zauważyli, że się pali?

– Wiemy. No... a ten drugi samochód? Szła pani przez cypel do drogi prowadzącej na działkę Krystyny Vannerman. Mijała pani działkę?

– Nie. Skręciłam kawałek wcześniej.

– Więc nie widziała pani, czy tam stał jakiś samochód pod ogrodzeniem... albo czy ktoś był w chacie?

– Nie, chociaż...

Pytanie wywołało widać jakiś zapomniany obraz. Dobłą chwilę stała wyprostowana, z zupełnie nieobecny spojrzaniem, jakby jej mózg nie był w stanie zauważać tego, co ją otaczało, i jednocześnie pobudzać wspomnienia. Wreszcie powiedziała:

– Tam się świeciło. Teraz sobie przypomniałam. Widziałam z jeziora, zanim podpłynęłam i cypel zasłonił.

– A samochód... poznała go pani? Nie widziała go pani przedtem, a może to były samochody? Dwa.

– Nie. Był tylko jeden samochód, przejechał dwa razy.

– Niech mi pani powie, panno Karlsson, czy pani zna samochód Krystyny Vannerman?

– Tak.

– Może ten samochód pani widziała?

Nie odpowiedziała. Minę miała niepewną.

– No – napierał Durell – powiedziała pani, że przez cały czas był to ten sam samochód. Skąd pani wie, że ten sam? Czy on rzeczywiście mógł objechać dokoła i znowu znaleźć się za panią?

– Nie. I to jest takie dziwne. Zupełnie by nie mógł tak objechać. Ale wiem, że był jeden samochód i że to był ten sam, co przy Röjan. Chciał mnie dopaść... chciał mnie przejechać.

– I jest pani tego pewna. Za każdym razem rozpoznała go pani?

– Nie. Wcale nie rozpoznałam. Po ciemku wszystkie samochody są jednakowe.

– Skądże więc wie pani, że dwa razy przejechał ten sam samochód i że to był ten co przy Röjan?

– Wiem i już. Czuję.

Durell westchnął. Istniała oczywiście możliwość, że strach, jaki przeżyła podczas swej nocnej wyprawy, wywołał w jej umyśle, napiętym ponad wytrzymałość, uporczywie powracające obrazy, z pewnością jednak widziała samochód przy Röjan. Pewnie też widziała jakiś samochód na drodze. Jego drugi przejazd może być wytworem fantazji. Istnieją powody, by zlecić psychiatrze zajęcie stanowiska co do wartości podobnie egzaltowanych zeznań. Kątem oka dostrzegł, że ktoś wyszedł zza narożnika domu i przystanął. Lekko zaokrąglona dama w rozkwicie lat czterdziestu, ubrana w obcisły kostium ze spódnicą odro-

binę za krótką, ze względu na różne szczegóły, które raczej należałoby ukryć. Gazowy szalik owijał starannie ułożone blond włosy. Zirytowała go jej obecność, być może dość długo stała za węglem i podsłuchiwała, nie wiedział, w jakiej mierze może jej dać do zrozumienia, że nie jest pożądana. Odwrócił się i zlustrowawszy ją od stóp do głów, poznał, kto zasz. To trzecia z grupy pań przy bingo w Domu Ludowym.

– Co pani tu robi? – spytał.

– To moja starsza córka, Ethel – powiedział Karlsson. – Odwiedza nas zwykle w niedzielę. Opowiada, co się wydarzyło, co się w świecie dzieje.

Ethel udawała, że nie dostrzega niezadowolenia Durella.

– No – powiedziała ze śmiechem – przynajmniej gdzieś chodzi o to, co się dzieje w Gislaved i okolicy, jestem w wszystko wprowadzona. Dostatecznie, żeby wiedzieć, że panowie są z policji. A jeśli to pana interesuje, mogę powiedzieć, że dzięki mnie usłyszeliście to wszystko. Ja przekonałam ojca, że w sprawie jak ta poważnej nic nie może być zatajone przed policją, nawet gdyby to dla rodzonej córki czy siostry mogło źle się skończyć.

Wszystko to powiedziała jednym tchem, dopiero gdy go jej zabrakło, urwała i uśmiechnęła się kwaśno do Durella. Chyba został odpowiednio pouczony. Ciągnęła więc dalej:

– Nie jestem tu od początku, nie wszystko słyszałam. Nie wiem na przykład, czy Anna wspomniała, że do domu wróciła około trzeciej w nocy, co jest niezłym osiągnięciem, bo do Gislaved drogą prawie dziesięć kilometrów, a rzeką, która ma wiele zakrętów, znacznie dalej. – Zaczepnęła tchu. – Jeśli już jestem przy głosie, mogę zwiększyć zasób pana wiadomości nadmieniając, że do sąsiada Krystyny Vannerman, aptekarza nazwiskiem Sjöman, przedwczoraj późnym wieczorem ktoś zatelefonował i powie-

dział, że Krystyna nie żyje, zanim jeszcze ktokolwiek o tym się dowiedział, zaraz potem Sjöman wyszedł z apteki, która mieści się w centrum handlowym Gislaved. O której wrócił do domu, nie wiem. Jego żona mogłaby poinformować. Chociaż lepiej porozmawiać z nim samym.

Wreszcie skończyła. Durell przyglądał się jej cały czas w milczeniu, co nie przeszkodziło mu zauważyć, że stary Karlsson jest zażenowany, trudno rozstrzygnąć, czy spowodowała to bezpośrednio córka, czy jakaś inna przyczyna. Durell poczuł pewną wdzięczność wobec Ethel. Po części dlatego, że przez samą swą obecność i gadatliwość wniosła powiew zdrowia w chorobliwą atmosferę obłędu – jak świeży deszcz w upał, kiedy duchota staje się nie do zniesienia. Po części dlatego, że ujawniła mu całą prawdę kryjącą się za paru słowami, jakie pochwycił w Domu Ludowym: Krystyna nie żyje.

– Chyba możemy na tym poprzestać – powiedział cicho do Melandera. – Trzeba jeszcze rozejrzeć się w domku na działce, przy odrobinie szczęścia i to może coś nam dać.

– A poza tym – dodał, gdy już byli na drodze ku Nissie – jeżeli Anna płynęła własną łodzią, nie ona zabrała łódź Krystyny. Więc kto? Wydaje mi się, że jakiś kontur zaczyna się zarysowywać.

Rozdział dziesiąty

Niedziela, 14 września. Południe.

Wera wstała, otworzyła drzwi werandy jamniczce, która skomliła pod drzwiami, wzięła ją na ręce i usiadłszy w fotelu delikatnie drapała za uchem. Czuła, że znowu zbiera się jej na płacz. Tuląc psa, mocniej odczuwała samotność i współczucie dla samej siebie i różne pytania

zaczęły ją dręczyć. Dlaczego Torgny nie wraca? Dlaczego ani razu nie zatelefonował, choć nie ma go już ponad dobę? Co on właściwie robi w Göteborgu? Dlaczego się nie odzywa, przecież musi wiedzieć, że Krystyna została zamordowana, czytał chyba gazety albo słuchał radia, a jeżeli ma telewizor w pokoju hotelowym, mógł widzieć zdjęcia w wiadomościach dnia. Tylko może Torgny wcale nie jest w Göteborgu? Bilety do Zurychu pojawiły się jej przed oczyma, dwa, w jedną tylko stronę. Uderzyło ją nagle, że może i Krystyna wcale nie pasuje do tego obrazu. Są przecież inne kobiety. I interesy, czy przedstawiają się kiepsko, tylko ona nic nie wie? I policja. Bo w domu był, jak się okazuje, pistolet. Westchnęła. To dmuchnięcie powietrza sprawiło, że pies przechylił głowę i spojrzał na nią. Jednocześnie zadzwonił telefon, stojący na stoliku tuż pod ręką. Podniosła słuchawkę z głębokim przekonaniem, że ma go już prawie w domu, tu, w pokoju.

– To ty? – szepnęła. – Tak czekam, że zadzwonisz.

Nagle pojęła swą omyłkę, bo zupełnie obcy głos wwiercił się jej w ucho.

– Wszyscy się mylimy. Sądziła pani, że kto dzwoni?

– A kto dzwoni?

– Policja. Durell. Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem po bingo. Przypuszczała pani, że to mąż, prawda?

– Tak – mocno przycisnęła słuchawkę do ucha.

– A więc jeszcze nie wrócił.

– Nie.

– I nie wie pani, gdzie jest?

– Nie.

– Udał się do Göteborga, nieprawdaż?

– Tak, to znaczy, zakładałam, że jest w Göteborgu, mówił, że tam jedzie, ale nie miałam od niego wiadomości od chwili wyjazdu.

– A kiedy to było?

– Przedwczoraj wieczorem.

– Zakładałam, powiedziała pani, to znaczy, nie jest pani pewna, że rzeczywiście tam pojechał. Może udał się gdzie indziej?

– Nie wiem. Nic nie wiem.

Ścisnęła psa tak mocno, że Mitzi zaskowyczała, wyrwała się z jej objęć i zeskoczyła na podłogę. Ostatnia podpora się usunęła. Wera poczuła, że musi się komuś zwierzyć. Przypomniała sobie, że ten nieznajomy, który okazał się policjantem, ma miłe spojrzenie. Powiedział, że nie należy się bać policji. Może uporządkuje jakoś wątpliwości, pocieszy, znajdując wyjaśnienie wszystkiego? Dręczące ją obawa i lęki wyzwalały się i pochłaniała je czarna słuchawka. Powiedziała wszystko. Bez przeszkód. Skończywszy poczuła w sobie wielką próżnię, domagającą się utwierdzającego wypełnienia.

– I co mam teraz zrobić? – spytała ulegle.

Odpowiedź Durella nie była ani pocieszeniem, ani utwierdzeniem.

– Jeśli dyrektor wróci, zechce go pani powiadomić, to jest poprosić, by natychmiast skontaktował się ze mną. Niech zadzwoni na posterunek policji. Dziękuję i żegnam.

Usłyszawszy stuk odkładanej słuchawki i ona swoją odłożyła jak lunatyk i zamknęła oczy, by nie widzieć otaczającego ją świata, ale świat na to nie pozwolił.

– Z kim rozmawiałaś? Komu przedstawiłaś tak interesujące sprawozdanie z tego, co wiesz, co sądzisz i co myślisz o mnie? Bilety lotnicze. Inne kobiety. Kiepskie interesy. Tajemnicze spotkania.

– Torgny!

Zerwała się, odwróciła i zobaczyła go. Stał w drzwiach z teczką pod pachą i z twarzą wykrzywioną wściekłością. Przestraszyła się tego wyrazu twarzy, postawy, głosu, ale tylko na moment, w następnym podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nareszcie, nareszcie!

– Kto to był?

– Policja.

Poczuła, że zeszywniał. Odepchnął ją gwałtownym ruchem i zaczął biegać po pokoju. Wreszcie zatrzymał się, rzucił teczkę na stolik.

– I właśnie policji opowiedziałaś to wszystko. Czego chcieli?

– Żebyś się z nimi skontaktował... – zawahała się – ... jeżeli wrócisz.

Przyjrzał się jej bez słowa. Wytrzymała to wrogie spojrzenie.

Dziwne, wydał się jej teraz zupełnie obcy, w jego lodowatych oczach kryło się jakieś wyrachowanie, na które nigdy przedtem nie zwróciła uwagi, coś przerażającego.

– Znaleziono pistolet, który ma jakoby być twój – powiedziała cicho. – I że to właśnie z tego pistoletu zastrzelono Krystynę Vannerman. Torgny, ty przecież nigdy nie miałaś pistoletu?

– Owszem.

– Ale ty tego nie zrobiłaś, Torgny! – zachłysnęła się. – Przecież ty ją ledwie znałaś.

Przygarbił się, ramiona mu opadły, twarz zwiotczała. Błądził wzrokiem po pokoju, by wreszcie, patrząc w lampę pod sufitem, powiedzieć wolno i wyraźnie, jakby czytał z książki:

– Krystyna Vannerman od przeszło dwóch lat była moją kochanką. O tym także mogłabyś powiedzieć policji, gdybyś wiedziała.

Uśmiechnął się ironicznie, zabrał teczkę i wyszedł nie dając jej sposobności odpowiedzi słowem czy uczynkiem.

Durell z ręką na słuchawce doczekał szczęku świadczącego, że linia jest wolna, i nakręcił następny numer. Odezwała się pani Sjöman.

– Tu policja. Czy zastałem aptekarza Sjömana?

Wstrzymała oddech. Widział prawie, jak siada, skupia się, by nie stracić panowania nad językiem. Zawsze było podobnie po tym magicznym wstępie: policja. Ludzie wpełzali w skorupę, czy było to uzasadnione, czy nie. Nim myśli zmieniły się w słowa, kryli się pod gęstą sieć ostrożności i czujności.

– Nie ma go – powiedziała Marianna Sjöman. – Czego chcecie od niego?

– Tylko zadać kilka pytań. Wie pani pewnie, że w piątek wieczorem wyszedł z domu.

– Był w aptece. Pracował po zamknięciu.

– Jak się zdaje, dość późno wrócił do domu. Może mi pani powiedzieć, o której?

W słuchawce długo panowała cisza, co dla Durella znaczyło, że ona nie wie, kiedy wrócił, ale nawet, gdyby chciała skłamać, nie miała odwagi, bo przecież on mógł wiedzieć lepiej. Uznał, że jeśli nie nastąpiła spontaniczna reakcja z jej strony, może sam sobie odpowiedzieć.

– A więc bardzo późno – powiedział. – Po trzeciej w nocy, czy może jeszcze później?

– Nie, nie. Nie wiem, kiedy przyszedł, bo położyłam się bardzo wcześnie, na pewno przed jedenastą.

– Przecież pani córeczka też wymknęła się po kryjomu, a pani spała spokojnie, nie była pani zaniepokojona?

– Ona wkrótce wróciła, oczywiście, że byłam zaniepokojona. Powiedziałam, że położyłam się, ale nie twierdzę, że spałam. Nie zasnęłam, póki Ewa nie wróciła.

– A kiedy to było?

– W godzinę później, około dwunastej.

– Dowiedziała się pani, gdzie była?

– Nie.

Zbyt pospieszna była odpowiedź Marianny Sjöman, by Durell mógł ją zaakceptować.

– Chyba pytała ją pani o to – powiedział łagodnie. – Przecież kiedy mała dziewczynka przepada wieczorem, pierwszą rzeczą, jaką robi matka po jej powrocie, jest zapytać, gdzie się podziewała. Prawda?

Odnótował, że pani Sjöman prawdopodobnie się zmieszła i szuka jakiegoś wykrętu.

– Jasne, że zapytałam. Odpowiedziała, że poszła tylko tak połączyć sobie po ulicach. Dlaczego pan usiłuje coś ze mnie wydobyć?. Mówiłam, że nic nie wiem. Męża nie ma w domu, przecież z nim chciał pan mówić.

– Więc nie wie pani, o której wrócił w piątek?

– Powiedziałam, że nie wiem. Mamy zresztą oddzielne sypialnie, co mnie usprawiedliwia, jeśli nie słyszałam, kiedy wrócił.

– Mogło być bardzo późno?

– Oczywiście, mogło. A jeżeli było, zdarzyło się to nie pierwszy raz.

– No tak. A teraz gdzie mąż jest?

– W aptece. Przyjdzie na lunch. Proszę wtedy zadzwonić.

– Z pewnością to zrobię. Do widzenia. Przepraszam, że panią trudziłem.

Odłożył słuchawkę i wstał. Nie ma powodu, by czekać do lunchu. Lepiej odwiedzić aptekarza w jego norze. To zupełnie niedaleko. Grzebykiem wyłowionym z wewnętrznej kieszeni przyczesał przed lustrem marchwiane włosy, żadnego dostrzegalnego efektu to nie dało, ale poprawiło samopoczucie i było sposobnością do chwili namysłu. Pani Sjöman najwyraźniej niepokoi się o męża. Czy podejrzewa, że może mieć coś wspólnego z zamordowaniem Krystyny Vannerman? Wie, że telefonowano do niego w piątek

wieczorem, wie, co odpowiedział. Dowiedziała się tego od córki po grze w bingo, możliwe jednak, że mąż wcześniej jej o tym powiedział. Zdenerwowała się, gdy Ewa opowiedziała o podsłuchanej rozmowie. Coż, można tłumaczyć to tylko niechęcią, by inni się dowiedzieli. Ethel na przykład. A dlaczego mieliby inni o tym nie wiedzieć? Durell zmarszczył się przed własnym odbiciem. Dlaczego aptekarz nie powiedział o tym policji? Jeżeli żonie o tym też nie powiedział, a ona nie zapytała, choć już się dowiedziała, albo zapytała, tylko odpowiedzi nie było, albo była, tylko nie namawiała go wcale, żeby powiedzieć o tym policji, albo namawiała, tylko... Och, możliwości jest tak wiele, że wszystko mu się z tych rozważań popłącze.

Schował grzebień i wyszedł, na korytarzu spotkał Melandera.

– Idę do apteki – powiedział. – Chętnie bym się z tobą umówił na mały lunch w hotelu. Spotkamy się w foyer, powiedzmy, o wpół do pierwszej.

– Wpół do pierwszej – zgodził się Melander.

– Wiesz – powiedział Durell – rozmawiałem z panią Pihl. Jej mąż wykupił dwa bilety lotnicze do Zurychu tuż przed tym wydarzeniem. Dowiedz się, na czyje nazwisko je zarezerwowano.

Drzwi apteki były zamknięte. Durell zapukał, po chwili czekania ponownie zapukał, tym razem mocno i zdecydowanie. Zobaczył przez szybę, że Ewald Sjöman wychodzi z pokoiku za ladą, wyglądał na niezadowolonego, że mu przeszkadzają. Dostrzegłszy Durella przystanął i przyjrzał mu się przez szybę. Gdy otworzył, Durell powitał go uprzejmie:

– Dzień dobry panu, mogę wejść? Powinienem się przedstawić...

– Nie trzeba. Wiem, że pan jest z policji, widziałem pana wczoraj przy pracy nad tym ... tym przykrym wypadkiem. O co chodzi?

Durell wcisnął się w drzwi.

– Jak się domyślam, żona powiadomiła pana, że chcę porozmawiać.

Aptekarz nie odpowiedział, spojrzał tylko obojętnie znad okularów i skierował się do pokoiku, z którego wyszedł. Tam usiadł przy biurku zawalonym książkami i fachowymi czasopismami, a Durellowi wskazał miejsce naprzeciw. Narastało między nimi wyczekujące milczenie, widocznie aptekarz postanowił nie być tym, który je naruszy. Spoglądał na Durella, wciąż bez większego zainteresowania. Durell uśmiechając się złożył na kolanach splecione ręce – obraz życzliwej ufności – i gra się rozpoczęła.

– Pan znał bliżej pannę Vannerman?

– Trochę. Tylko po sąsiedzku. Ponad dwadzieścia lat byliśmy sąsiadami, od kiedy zacząłem tu pracować jako prowizor. Pochodzę z Gislaved.

– Tu nie ma zwyczaju utrzymywania bliższych sąsiedzkich stosunków?

– Dlaczego nie. Może przejdziemy do rzeczy. Pan chce wiedzieć, o której wróciłem do domu w piątek wieczorem.

– Między innymi. A więc żona powiadomiła pana, co mnie interesuje.

Aptekarz nie zareagował.

– Wróciłem około drugiej. Przez cały wieczór siedziałem tu, załatwiałem korespondencję, pisałem artykuł do czasopisma zawodowego. – Wyciągnął z szuflady plik arkuszy i położył na blacie z gestem wskazującym Durellowi, że może się bliżej przyjrzeć, jeżeli ma ochotę. – Kiedy skończyłem... to znaczy artykuł nie jest jeszcze gotowy, przeszedłem się trochę. Czuję potrzebę świeżego powietrza. Do domu wróciłem bardzo cicho, żeby nikogo nie budzić, i natychmiast się położyłem.

– Nie zauważył pan czego niezwykłego w sąsiedztwie? Nie natknął się pan na kogoś nieznanego w okolicy domu panny Vannerman? Albo nie słyszał czegoś, co teraz,

po wydarzeniu, można by uznać za mające związek z morderstwem?

– Nie, absolutnie nie.

– A wiadomo panu, że córka państwa też w piątek wieczorem wypuściła się na małą birbantkę? Wie pan, gdzie poszła?

– Nie. Żona coś wspominała rano. Tuż przed dokonaniem tego okropnego odkrycia. Biedna panna Vannerman. Nie, nie wiem, co Ewie wpadło do głowy, zresztą chyba dość prędko wrocila z tej wyprawy.

– Biedna Krystyna, chciał pan powiedzieć.

Aptekarz uniósł brwi.

– Jeśli to panu odpowiada, Krystyna.

– Przecież był pan z nią na ty.

– Tak. Byłem z nią na ty. Oboje z żoną byliśmy z nią na ty. Do czego pan zmierza?

– Do jakiegoś wniosku. Pan prowadzi samochód?

– Oczywiście.

– A w piątek wieczorem miał pan tu samochód?

– Nie. W miarę możliwości trzeba używać ruchu. Zwykle idę pieszo z pracy i do pracy.

Uśmiechnął się dobrodusznie, wszystkie fałdki i bruzdy wygładziło przekonanie o potrzebie ruchu. Durell przyglądał mu się uważnie. Uznał, że aptekarz jest bardzo spokojny, opanowany i rzeczowy. Może pora wzburzyć nieco tę spokojną wodę. Jedno jest pewne: aptekarz nie wie, że on, Durell, wie to, co wie. Jeżeli więc da mu do zrozumienia, że nie wszystko jest tajemnicą, aptekarz nie będzie wiedział, co już nie jest tajemnicą. Ta niepewność może dać takie wyniki, że warto wyłożyć tę kartę. Przyglądając się swym splecionym rękami powiedział:

– A kto do pana dzwonił w piątek wieczorem? Ktoś, z kim miał się pan spotkać.

Spojrzeniem wolno powędrował w górę, na twarz Sjömana, i z zadowoleniem stwierdził, że pytanie spowodowało

całkowity popłoch. Aptekarz drgnął tak, że krzesło zaskrzypiało, wsunął palec za kołnierzyk koszuli, jakby nagle zaczął go uciskać. Najwidoczniej został zupełnie wytracony z równowagi. Twarz ciemniała jak czuły termometr, ujawniając stopień zaskoczenia. Poruszył parę razy ustami, wydobywając z siebie tylko jakiś żałośnie zdyszany dźwięk. Potem zacisnął wargi i niemo spoglądał na Durella, który dodał:

– Wiem, że taka rozmowa była, że bardzo się pan przejął i sam do siebie powiedział: nie żyje. A więc dowiedział się pan o śmierci Krystyny. Zechce pan uprzejmie uchylić nieco zasłonę. A więc kto dzwonił?

Sjöman z wolna „opanowywał szok. Twarz odzyskała zwykłe zabarwienie, kołnierzyk przestał dusić. Patrząc Durellowi w oczy powiedział wyraźnie i bez pośpiechu:

– Zgadza się. Telefonowano do mnie, ale nie wiem, kto dzwonił.

– Nie zapytał pan?

– Straciłem głowę. Byłem tak zaskoczony...

– A potem poszedł pan na spotkanie z tym kimś. Dlaczego, skoro nie wiedział pan nawet, z kim pan mówił?

Sjöman uniósł rękę, by go powstrzymać, może by zapobiec wyciągnięciu fałszywych wniosków.

– Niech mi pan wreszcie pozwoli wyjaśnić, jak było. Ktoś powiedział: dowiedz się, że Krystyna Vannerman nie żyje. Spotkajmy się za kwadrans przed kościołem, dowiesz się więcej. Zadzwoniono około wpół do dwunastej.

– To był mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– I nie rozpoznał pan głosu, nie może pan dopasować?

– Nie, głos był niewyraźny, może czymś stłumiony.

– Aha. I pan poszedł. Nie wiedząc, kogo ma pan wypatrywać.

– Tak. Poszedłem. Ale nikogo tam nie było. Czekałem przed kościołem więcej niż pół godziny, a kiedy nikt się

nie zjawił, uznałem wszystko za kiepski żart i wróciłem do apteki. Muszę jednak przyznać, że trudno mi było zebrać myśli.

– Przypuszczał pan, że chodziło o morderstwo?

– Nie, wtedy nie.

– A później? Dlaczego nie zgłosił się pan na policję? Należało o tym zawiadomić, kiedy się pan dowiedział, że panna Vannerman rzeczywiście nie żyje. I że w dodatku została zamordowana.

Sjöman rozłożył wielkie, ciężkie dłonie.

– Boże drogi, przecież nikt nie przyszedł! Wziąłem tę rozmowę za makabryczny żart.

– A nie przyszło panu na myśl, że ten, kto dzwonił, mógł być mordercą?

Aptekarz westchnął.

– Nie pojmował pan, że policję może interesować, o której otrzymał pan tę makabryczną wiadomość, że akurat o wpół do dwunastej? Przy dochodzeniu w sprawie morderstwa ważne jest ustalenie terminów. Przecież musiał pan wiedzieć, że panna Vannerman tego wieczoru zniknęła w osobliwych i niejasnych okolicznościach.

Sjöman potakiwał.

– Żona mi mówiła przez telefon, że coś się stało, zanim tu przyszedłem, ale nie wiedziałem, co.

– O której pana żona dzwoniła?

– Chyba około dziewiątej, dokładnie nie wiem. – Usiłował się uśmiechnąć. – Zaczynam rozumieć, że dość nierozsądnie się zachowałem. Powinienem był oczywiście zameldować o tym. Jak pan się dowiedział?

Durell, patrząc na niego obojętnie, ale nie wrogo, zamiast odpowiedzieć stwierdził:

– Ten anonimowy telefon bardzo pana wzburzył, a ściślej mówiąc, wzburzyła pana wiadomość, że panna Vannerman nie żyje. Wziął pan nawet proszek uspokajający. I dlaczego, skoro tak mało ją pan znał?

– Jednak sąsiadka.

– Podejrzane – zauważył Durell ostrzejszym tonem. – Pan dobrze znał Krystynę, tylko nie chce się pan przyznać. Śmiem twierdzić, że zgadłem.

Aptekarz wahał się. Czerwień znowu sunęła od szyi w górę, był w pełni świadom tej zdradliwej reakcji.

– Jeśli to zostanie między nami – powiedział wolno – przedstawię dokładnie, jak jest, a raczej, jak było między nami. Krystyna i ja byliśmy przyjaciółmi w młodości, nim poznałem moją żonę. Nie tylko ja byłem w niej strasznie zakochany. Jednym z moich rywali o względy Krystyny był Torgny Pihl. Cóż za ironia losu, że obaj zostaliśmy jej sąsiadami, każdy z innej strony. – Uśmiechnął się niepewnie, patrząc w wodniste oczy Durella. – Mijałem się z prawdą, udając, że los Krystyny mnie nie obchodzi. Obchodzi mnie, oczywiście. Ale tak na serio znaczenie ma dla mnie tylko rodzina, dzieci, przede wszystkim dzieci, i żona. Kiedy ten telefon zadzwonił, nieznajomy głos, dziwna pora i taka wiadomość, czy więc takie dziwne, że to mną wstrząsnęło? Pewnie, że powinienem był wcześniej się z panem skontaktować. Tylko że to mogło spowodować pytania, dokładnie takie, na jakie teraz muszę odpowiadać.

– A dlaczego właśnie do pana zatelefonowano, jak może pan to tłumaczyć?

Aptekarz opuścił oczy.

– Nie wiem, czy pan to zrozumie.

– Może zrozumie – Durell zatarł rękę. – Krystyna Vannerman była kiedyś pana przyjaciółką. W intymniejszym tego słowa znaczeniu.

– Tak. Była. Proszę przyrzec – spojrzał błagalnie, prawie pokornie – że moja żona się nie dowie. Ona by mi nie wybaczyła. Wiele razy pytała o to, zawsze zaprzeczałem. Gdyby się teraz dowiedziała, porzuciłaby mnie.

Ku zdziwieniu Durella aptekarz pochylił się nad biur-

kiem i ukrył twarz w dłoniach, a jego wielkim ciałem wstrząsnął cichy, tłumiony szloch.

Melander czekał już w foyer hotelowym, gdy Durell zjawił się z kilkuminutowym opóźnieniem. Szef dźwignął się z fotela i popychając Durella we właściwym kierunku powiedział:

- Zamówiłem zakąski. Ja zapraszam na lunch.
- Co za gest.

Weszli na górę, do jadalni, kierownik sali usłużnie otworzył przed nimi drzwi. Wyraźnie wiedział, kim są ci dwaj panowie. Na sali było niemal pusto. Usiedli przy stoliku pod oknem z widokiem na rynek. W głębi siedział jakiś starszy pan, który, gdy wchodzili, odstawił angielkę i otarł usta. Durell go poznał. To ten profesor mieszkający w domu Vannermanów. W spokoju spożywa tu obiad z odpowiednim uzupełnieniem. Może potrzebuje, pomyślał, paru kieliszków dla odzyskania równowagi psychicznej. On sam nie miał nic przeciw smakołykom, jakimi zastawiono ich stół. Śledź, węgorz, łosoś, jajka z czarnym kawiolem. Znakomite na początek. Zatknął końce serwetki za kołnierz, przysunął sobie półmisek i przeniósł kilka połówek jaj na swój talerz. Zezując w bok dostrzegł, że Bror Andersson ich zauważył i nerwowo przywołał kelnerkę, wskazując na opróżniony kieliszek. Kelnerka zniknęła, a Durell nie miał wątpliwości, że wkrótce wróci, by odnowić środek wzmacniający. Melander przejął półmisek.

- No i co wyniknęło z tego spotkania z aptekarzem? – spytał.
- Zawsze coś. – Durell zdał sprawę z rozmowy ze Sjömanem. Gdy skończył, Melander orzekł:
- Trochę wina, trochę wody. Wierzysz w takie rzeczy? Zawsze odnoszę się sceptycznie do anonimowych rozmów telefonicznych.

– Ja także. Lecz nim zostanie udowodnione zupełnie co innego, trzeba się tym zadowolić. Aptekarz jest niewątpliwie człowiekiem wrażliwym, trudno mi jednak rozstrzygać, do jak gwałtownych uczuc i uczynków byłby zdolny. Jeśli ma coś do ukrycia, udało mu się to ukryć. Nie sądzę, by ukrywał coś istotnie ważnego. Przeciwnie, zupełnie szczerze wyznał, że miał kiedyś romans z Krystyną. Wstrząsający był jego lęk przed szerszym ujawnieniem tego.

Melander uśmiechnął się.

– Bywa, że ktoś chce ukryć najgorsze, kamuflując to wyznaniem prawie najgorszego, według własnej oceny. Albo oceny otoczenia. To zależy.

– Ja z nim ślubu nie brałem – prychnął Durell. – Pod tym względem jego przeszłość i wszystkich innych jest mi zupełnie obojętna, o ile nie ma związku z aktualnie rozpatrywaną sprawą.

– Właśnie – Melander przełknął jajko z kawiolem – to właśnie miałem na myśli. Najpierw przeczy wszystkiemu, a kiedy stwierdzasz jako rzecz pewną, że wiadomość o jej śmierci ogromnie go poruszyła, zrećnie podsuwa wyjaśnienie powołujące się na przeszłość. Dlaczego od razu o tej rozmowie nie powiedział? Dzisiaj, kiedy do niego przyszedł, zanim zdążyłeś zadać jakiegokolwiek pytanie.

– Może zrozumiał, że zbyt długo zwlekał z tym. Może dlatego, że wszystko jakoś rozplynęło się, wsiąkło, kiedy poszedł pod kościół i nikogo tam nie zastał. Telefon był anonimowy, nikt nie chce się ośmieszyć, a kiedy się jest aptekarzem w takim Gislaved, można się obawiać wplątania w podobną sprawę. Wiesz przecież, ludzie plotkują, snują domysły, wytykają, żona o tym nic nie wie, dowie się, będą przykrości.

– Pewnie. Pewnie. Zobaczymy. Mam dwa raporty. Nic nie wskazuje na to, że panna Vannerman została zastrzelona w samochodzie. Z drugiej strony wątpliwe, czy w ogóle

można oczekiwać znalezienia śladów w samochodzie, który całą dobę spoczywał na mulistym dnie rzeki.

– A drugi?

– Samochód był zaparkowany na campingu przy Rōjan już o siódmej. Zauważyły go różne osoby, które się tam o tej porze kąpały. Skontrolowano klakson. Sygnał ma bardzo osobliwy i wyjątkowy dźwięk.

Durell przyjął wiadomość z uznaniem.

– Dobrze – powiedział. – Spróbujmy zrobić wykres dziejów samochodu. O szesnastej został odebrany z warsztatu. O siedemnastej był na campingu. Załóżmy, że Krystyna sama go tam odstawiła. Zaraz, jak to było... czy nie mówiła bratankowi, że nie będzie mógł korzystać z samochodu następnego dnia, bo jest w naprawie?

– Zgadza się – przyznał Melander. – Ale mogła tak powiedzieć, a potem zdecydować się na zabranie go... Nie, tego zrobić nie mogła. Powiedziała to tuż przed zniknięciem. Wtedy samochód był już tam odstawiony.

– Czyli chciała upozorować, że samochód jest w naprawie. Dlaczego? Możliwe, że nie chciała, by po jej zniknięciu bratanek wyciągnął wniosek, że odjechała własnym samochodem. Chciała uniknąć poszukiwania samochodu. Czy może zaparkowała go na campingu, by móc później bez przeszkód zabrać go stamtąd i udać się tam, gdzie zamierzała.

– Wcale tam jednak nie dotarła – sucho stwierdził Melander. – Samochód znajdował się tam prawie do siódmej, a co najmniej do wpół do siódmej. O tej porze odszedł stamtąd ostatni z naszych świadków, znaczy z tych, którzy go zauważyli. Nikt nie widział, by panna Vannerman po zniknięciu z łazienki opuszczała dom. Przez drzwi frontowe nie, bo te obserwowała pani Sjöman, od tyłu nie, bo wtedy musiałaby przejść górą i tam natknąć się na trójkę świadków i nie...

– Eee – przerwał Durell – sam siebie przekonujesz. Daj

temu spokój. Skoncentrujmy się na samochodzie. O szesnastej odebrany z warsztatu. Potem luka. Siedemnasto-osiemnasta trzydzieści koło Rōjan. Znowu luka. Tuż przed połnocą koło Rōjan, jeżeli to ten samochód Anna Karlsson widziała ze swojej łodzi, a zgadza się, bo ma przeraźliwy sygnał. Potem luka. O trzeciej osiemnaście w rzece koło Rōjan. Być może tuż przed trzecią koło Norlidy. W dalszym ciągu, jeżeli to ten samochód Anna widziała i słyszała. W tych lukach musiała się zmieścić możliwość przejechania stu siedemdziesięciu kilometrów. Raczej nie w pierwszej z tych luk, w którejś z następnych.

– Niewiele to nam wyjaśnia – potrząsnął głową Melander.

Durell wbił na widelec kawałek węgorka.

– Posłuchaj. Chodzi nie tylko o to, kiedy samochód był w ruchu. Musimy także zadać sobie pytanie, kto go prowadził. Zastanówmy się. Krystyna zniknęła o dziewiętnastej trzydzieści. Załóżmy, że się jakoś wydostała z domu. O wpół do dwunastej nie żyła. Wynika to z rozmowy ze Sjömanem. Czyli całe cztery godziny. Mogła przejechać te sto siedemdziesiąt kilometrów i jeszcze zostaje spory margines... – Urwał. – Tylko jeżeli nie żyła o wpół do dwunastej, kto był w samochodzie tuż przed dwunastą, kiedy Anna Karlsson go widziała? Kto przed trzecią w nocy wyminął Annę na leśnej drodze?

Melander skończył przeżuwanie i popatrzył na niego trzeźwo.

– Jeżeli to był samochód Krystyny, bo jeżeli nie, mamy jeszcze jedną lukę, jak to określiłeś. W całej tej sprawie okropnie dużo luk, można nawet powiedzieć: pułapek.

Durell pominął tę żartobliwą uwagę.

– Coś dziś sfuszerowaliśmy – powiedział w zamyśleniu. – Nie zajęliśmy się kluczem w zamku tam na działce.

– Bratanek.

Durell, patrząc w dal, zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, bratanka tam wtedy nie było, bo rowerów nie było. Oni przyjechali, kiedy rozmawialiśmy u Karlssonów. Plecak, chlebak są z pewnością jego, ale teraz właśnie mnie uderzyło... jak z tą bombonierką. Może ona wcześniej się tam znalazła, może... – zamilkł.

– E. co tam – powiedział Melander. – Możemy go o to spytać. Nie uważasz, że konfrontacja z Anną sporo dała, lepsze to niż pudełko czekoladek.

– Pewnie – Durell wziął jeszcze kawałek węgorka i dodał: – Kiedy Anna podłożyła ogień i nie udało się, zauważono ją, uciekła. Ale jak?

– Łódką.

– Właśnie. Czyją?

– Swoją własną.

– Rozpatrzmy to. Tomasz opowiadając o wydarzeniu był przekonany, że wzięła łódź Krystyny. Bardzo się zmieształ następnego ranka, kiedy zobaczył, że łódka jest na swoim miejscu. Wtedy, kiedy poszliśmy tam przy oględzinach. Przypuszczał, że wzięła łódź Krystyny, bo tylko ta łódź była tam zwykle uwiązana. Więc pytam: jeżeli łódź, którą widział, należała do Anny, gdzie była łódź Krystyny? I udzielał mi sobie odpowiedzi: Kiedy Krystyna zniknęła, Bog raczy wiedzieć jak, wzięła po prostu swoją łódź i gdzieś nią popłynęła. Gotów byłbym założyć się, że do swego samochodu, już zaparkowanego przy Rōjan. A ponieważ o północy łódki nie było na zwykłym miejscu, a Krystyna prawdopodobnie już nie żyła, pytam znowu: Kto wrócił łodzią i dlaczego?

Umilkł i kilka sekund siedział w milczeniu, a mózg pracował jak raz puszczonego w ruch młyn. Potem włożył węgorka do ust, przeżuł z przyjemnością, popił łykiem piwa i sam sobie odpowiedział:

– Może ktoś wrócił łodzią po trzeciej w nocy, bo potrzebował jakiegoś środka transportu dla przewiezienia zwłok? A dlaczego nie zadowolili się utopieniem ich, jak

utopił samochód? W wannie dużo efektywniej, zwłaszcza że panną Vannerman zniknęła poprzednio bez śladu właśnie podczas kąpieli. Więc makabryczna ambicja. Albo żeby upozorować wiarygodne samobójstwo. A może dlatego, że łódź trzeba było odholować, łódź trudno zatopić. Albo – mówił coraz wolniej – żeby ukryć, że zmarła w ogóle opuszczała dom, ukryć, co się z nią działo tego wieczoru.

Odstawił szklanekę i zauważył, że Melander czemur się przygląda. Odwrócił głowę – stary nauczyciel zmierzał ku nim. Bror Andersson poruszał się dość niepewnie. Zatrzymawszy się obok ich stolika, zgiął ciało w chwiejnym ukłonie.

– Nie będą się narzucał – powiedział. – Tylko pewna informacja, myślę... – Oczywiście miał zmętne. Wyraźne usiłowanie swobodnego i poprawnego wypowiedzenia się, przesadną artykulację można było tłumaczyć chęcią oddalenia wszelkich podejrzeń, że jest pijany, co mogłoby ich skłonić do przepędzenia go. – ...myślę, że obserwacja, którą chcę przekazać, ma chyba znaczenie.

– Możliwe – Durell uśmiechnął się zachęcająco.

– Właśnie. Miałem powody, żeby wczoraj wieczorem nieco później pójść spać, proszę zwrócić uwagę, wczoraj wieczorem, a więc w sobotę, już po tym, jak pannę Vannerman odkryto w... właśnie, ...w stanie godnym pożałowania, w jakim... – odchrząknął, usiłując odnaleźć wątek. – Wypiłem kieliszek, to prawda, nawet dwa, ale zapewniam panów, że to na mnie wcale nie podziałało. W każdym razie to nie była halucynacja, zupełnie, najzupełniej pewna rzeczywistość... – utknął znowu, zagubił tok myśli.

– Niechże pan wreszcie powie, na litość boską, o co chodzi? – ponaglił go Durell.

– A więc było już z całą pewnością po jedenastej, czyli bardzo późno. Przechodziłem akurat koło drzwi pokoju dyrektora Fritzego i usłyszałem stamtąd głosy. Wcale nie

jestem ciekawy i wiem, że dyrektor interesuje się kobietami, a to był kobiecy głos. No cóż, trochę jednak podsłuchałem przez dziurkę od klucza. – Opuścił oczy i poczerwieniał. – U niego była kobieta.

Durell niecierpliwie zabębnił w stół, Bror Andersson spiesznie podjął:

– I wiecie, panowie, kto to był? Nie mam nawet pretensji, żeby mi panowie uwierzyli. Nikt jednak nie może zaprzeczyć, na własne uszy słyszałem, a kiedy zapukałem do Bengta, wyśmiał mnie i mówił właśnie o halucynacjach i pijackich złudzeniach, to znaczy o przesłyszeniu. A ja mogę przysiąc na to, co powiem. Słyszałem głos Krystyny Vannerman. Krystyna była u Fritzego. I z tych niewielu słów, jakie usłyszałem, kilka wryło się w moje serce. To są słowa: Teraz koniec, Bengt. Nigdy nie przypuszczałam, że ty, właśnie ty chciałeś mnie zabić...

Melander szeroko otworzył oczy, Durell przestał bębnić w stół. Bror Andersson błądził wzrokiem po sali, mrucząc raz po raz: – Wczoraj wieczorem, po znalezieniu jej trupa. Ja chyba zwariuję, zwariuję. – Odwrócił się nagle ku wyjściu i nim któryś z policjantów pomyślał o zatrzymaniu go, zniknął za drzwiami.

– To pewnie szok – powiedział Melander. – Przecież właśnie on ją znalazł. A poza tym wódka. On nieźle pociąga, to widać.

Durell nie odpowiedział. Oczy mu pojaśniały, zrobiły się przezrocyste jak letnie chmurki, niemal straciły kontury, rozplynęły się wśród piegów. Sam do siebie mruknął:

– Kto wie, kto wie. Jakby wiadomość od upiora. Przesądny nie jestem, ale tyle dziwnych rzeczy się zdarza między niebem a ziemią, człowiek nie potrafi wszystkiego wyjaśnić. Gdybyśmy żyli przed stu laty, pewnie by podejrzanego oskarżono o czarodziejskie praktyki. Ale mamy wiek dwudziesty. I faktem jest, że gdy po dokonaniu tego

odkrycia w wannie sprawdzaliśmy pokoje na piętrze, zauważyłem u dyrektora Fritzego magnetofon na półce z książkami.

Rozdział jedenasty

Niedziela, 14 września. Popołudnie.

Po lunchu rozstali się przed hotelem. Melander oczekiwał szefa okręgu, który chciał na miejscu wysłuchać raportu o przebiegu dochodzeń.

– Tak niewiele osiągnęliśmy – smętnie stwierdził Durell – że sam możesz z tego zdać sprawę. Mnie potrzebna chwila samotności, żeby się zastanowić.

– Gdzie pójdziesz?

– Do Röjan. Którędy się tam idzie?

– Prosto do Nissy. Będiesz tam za kwadrans. Camping na prawo, jest tablica, więc nie można nie trafić.

Durell wsunął ręce w kieszenie i rażnym krokiem ruszył przed siebie. Usta ułożyły mu się w ryjek i cicho zagwizdał: Niebawem znowu poniesiesz mój kil... „Latający Holender” mu się przypomniał, żałobna aria. Od niej zaczęła się ta historia, w której przecież nawet łodzi nie brakuje. Minął rynek i przychodnię lekarską, ukrytą za oazą zieleni, na środku której migotał stawek z fontanną. W wodzie odbijała się lśniąca rzeźba w brązie: chłopiec i dziewczyna zastygli w swawolnym rytmie ludowej piosenki. Durell przestał gwizdać, wydało mu się, że im przeszkadza. Przyspieszył kroku, minął kościół, stację benzynową i warsztat, gdzie rozpoznał pracownika, który odstawił samochód Krystyny do komendy policji. Pomachał ręką, tamten odwzajemnił jego gest.

Znalazł się wśród zabudowy willowej. Zaczął mu się

dawać we znaki duszny upał, zupełnie niezwykły o tej porze roku, więc zdjął marynarkę. Daleko na horyzoncie po północnej stronie ciemniały groźnie nieruchome chmury, prawie granatowe. Z całą pewnością można się spodziewać burzy przed wieczorem. Na myśl o tym znowu ściągnęły mu się wargi i znowu znalazł się pod łopocącymi żaglami statku-widma. Zauważył jednak tablicę przed campingiem i skręcił z drogi w kierunku rzeki. Pusto, ani żywej duszy w zasięgu wzroku, tylko rzędy samochodów o kilkadziesiąt metrów za nim. Idąc wolno wzdłuż brzegu uważnie wpatrywał się w ziemię, by, jeśli to możliwe, wysledzić jakiś ukryty ślad z tego czasu, gdy samochód Krystyny tu stał. Skarpa wznosiła się jakieś dwa metry nad poziom wody, spadek był stromy, tylko w jednym miejscu obniżał się łagodnie ku wąskiemu pasowi nadbrzeżnego piasku. Domyślił się, że urządzono tu rodzaj plaży dla tych, których nie odstręczała kąpiel w brunatnej, nieprzezroczystej, zamulonej wodzie. Dość szybko znalazł miejsce, gdzie woz stoczył się do rzeki. Odcisnięty wzór opon prowadził w dół, kant stoku popękał, piasek na przestrzeni metra osunął się. Żadnych innych tajemnic do ujawnienia nie było. Nagle nastawił uszu. W warkot silników dochodzący z drogi wmieszał się nieco inny dźwięk od strony rzeki. Instynktownie cofnął się za dwie bliźniacze sosenki i stamtąd obserwował zakręt. Ukazała się szeroka wygodna motorowka z silnikiem na burcie. Nie poruszała się szybko. Przesunęła się o kilka metrów od brzegu, niewidoczna dla kogoś, kto przypadkiem mógłby się tu znaleźć, jeśli by nie stał bardzo blisko. Łagodnym łukiem zawróciła i wśliznęła się na to właśnie miejsce, gdzie – jak Durell ustalił – samochód zjechał z brzegu. Na pokładzie siedział wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna, ubrany w zieloną koszulę z krótkimi rękawami i zielonkawo wystrzępione spodnie. Gdy łódź dobiła do brzegu, pochylił się i uważnie wypatrywał czegoś w wodzie. Durell uznał, że pora zdia-

zić swą obecność. Wszedł z ukrycia i zakrzyknął ku człowiekowi w łodzi, który drgnął, wyprostował się i przez chwilę wyglądał, jak gdyby zamierzał szybko odbić, ale zrezygnował. Ręce, już wyciągnięte do regulatora gazu, opadły.

– Zgubił pan coś? – powiedział Durell. – Wydaje się pan czegoś szukać na dnie. Widzę, że i zgłębiacz ma pan ze sobą.

– A cóż to pana, u licha, obchodzi?

– No, jednak trochę.

Durell zeskoczył na piasek i zjechał na piętach aż do dzioba łodzi. Zręcznym skokiem dostał się na pokład, łódź zachybotwała, ale mały policjant nie stracił równowagi, w następnej chwili wśliznął się w głąb, pod szybę przeciwwietrzną i zajął jedno z miejsc. Przedstawił się z przyjemnym uśmiechem.

– Jestem z policji kryminalnej, Durell. Interesuję się tym właśnie miejscem. A ponieważ, zdaje się, jest to zainteresowanie wspólne nam obu, chwila rozmowy może okazać się pożyteczna. – Przechylił głowę w bok i mrugnął. – Jeśli się nie mylę, mam do czynienia z dyrektorem Pihlem, sąsiadem panny Vannerman.

Wargi Pihla rozciągnęły się w niezdecydowanym uśmiechu, ale na sekundę tylko, potem wrócił wyraz zupełnej obojętności.

– Istotnie – powiedział. – Zgadza się. Wiem od żony, że policja mnie szukała. Pozwolę sobie natychmiast oświadczyć, że nic właściwie nie wiem w tej sprawie.

– W jakiej sprawie?

– Mam na myśli śmierć Krystyny Vannerman.

– Coś takiego. Wszyscy to samo. Nikt nic nie wie. Wie pan jednak, że nie żyje.

– Słyszałem wczoraj przez radio w pokoju hotelowym w Göteborgu. Nieco więcej dowiedziałem się z dzisiejszej gazety, którą czytałem rano przed wyjazdem do domu.

– A więc był pan w Göteborgu. Wolno spytać, kiedy pan tam przyjechał?

– W piątek wieczorem. Późnym wieczorem.

– O której? – w pytaniu zabrzmiał ton ostrzegawczy, potwierdzony następnym zdaniem: – Uprzedzam, że sprawdzimy to w hotelu, lepiej więc niech pan od razu postara się podać dokładny czas.

Pihl obdarzył przeciwnika nikłym uśmiechem maskującym szybki namysł. Durell przyjął to jako rozważanie szans na wykręcenie się kłamstwem.

– Do hotelu przybyłem o ósmej rano w sobotę. Czyli wczoraj rano – powiedział wreszcie

– Taaak – zdziwił się Durell – a w piątek o której wyjechał pan z Gislaved?

– Jak już powiedziałem, późnym wieczorem, po jedenastej chyba. Moja żona może to zweryfikować. Wiem zresztą, co ma w tej sprawie do powiedzenia, bo przypadkiem słyszałem jej telefoniczną rozmowę z panem.

– Aha. Stopniowo dojdziemy do tych szczegółów. Może wpierv pewne uzupełnienie. Wyjechał pan z Gislaved po jedenastej, do hotelu przybył pan o ósmej rano. Dlaczego podróż trwała tak długo? Przecież to tylko jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Może pan rzeczywiście opuścił mieszkanie o podanej przez pana porze, ale nie udał się pan wprost do Göteborga. Może pan jeździł przedtem trochę tu po okolicy. Czy nie?

Durell patrzył niewinnie błękitnymi oczami, Pihl nie odpowiedział.

– A może mi pan powie, dyrektorze, czy pan dobrze znał Krystynę Vannerman?

Tym razem Pihl umknął spojrzeniem. Do tej pory stał na rufie, teraz usiadł na jednym z tylnych miejsc. Ten dość gwałtowny ruch rozkołysał łódź i wypchnął ją na leniwie płynącą rzekę. Żaden z nich nie zareagował na to. Przeciwnie, obaj wydawali się zadowoleni z niczym nie zakłóconej

możliwości udzielenia sobie wyjaśnień w izolacji od otaczającego ich świata, na cicho toczącej się wodzie.

– Bardzo dobrze ją znałem – powiedział Pihl – lepiej niż sądzono. Przed dwudziestu mniej więcej laty mieliśmy z sobą romans. Zanim poznałem moją żonę. Przed kilku laty ponownie nawiązaliśmy stosunek. Chyba nikomu nie udało się tego odkryć, nawet mojej rodzinie. – Roześmiał się. – Spotykaliśmy się zwykle w Norlidzie. Krystyna ma... miała tam letni domek.

– I właśnie kupnem tej posiadłości pan się zainteresował?

– Ja nie. Moja żona na to wpadła. Było ogłoszenie o działce do sprzedania, ale nie wymieniało dokładnych danych. Sprawdziłem i dowiedziawszy się, że chodzi o posiadłość Krystyny, przestałem się całą sprawą interesować.

– Sprawdził pan. Odwiedził pan pośrednika i wypytał?

– Tak.

– Jeśli już o tych odwiedzinach mowa – rzekł Durell przyglądając mu się uważnie – pan wcale nie spytał, czyjej działki dotyczy ogłoszenie, pan spytał, czy chodzi o działkę Krystyny Vannerman. Czym to tłumaczyć?

– Tak zapytałem? – zawahał się Pihl.

– Właśnie tak.

– Nie przypominam sobie, ale możliwe. Kilka razy wspominała, że zastanawia się nad sprzedażą, choć nie było to pewne postanowienie. Czysty przypadek, jeśli zdarzyło mi się w ten sposób postawić pytanie.

Durell kiwnął głową ze zrozumieniem, wyciągnął z kieszeni notatnik, ale nie otworzył go i nie sięgnął po długopis. Powiedział natomiast:

– Pan coś pisał u pośrednika na jego maszynie. Co to było?

– Chyba nie muszę z tego zdawać sprawy. Zupełnie prywatna notatka dla pamięci.

– Nie zrobił pan odpisu danych o działce?

– Jeśli pan tak uważa.

– Choć mógł pan poprosić o kopię.

– Jeśli pan tak uważa, już to powiedziałem.

Durell, spoglądając na niego chłodno, otworzył notes, wyjął złożoną w kilkoro karteczkę i rozwiniawszy podsunął dyrektorowi. Pihl przeczytał obojętnie.

– A czy nie to pan napisał? – spytał Durell.

– Jakiś nonsens – mruknął Pihl – Z prochu powstałeś.

Durell zabrał kartkę, złożył i wsunął do notesu.

– I do kogo pan stamtąd dzwonił, czy też w sprawie prywatnej?

– Właściwie tak. Ale ponieważ chodzi o Krystynę, mogę powiedzieć, że do niej telefonowałem. Posrednik pewnie podsłuchiwał.

– Skądże! – Durell odzegnał się dobrodusznym rozłożeniem rąk, stwierdzając jednocześnie, że odpowiedź była ubezpieczająca, bo gdyby jednak podsłuchiwał... – Czego dotyczyła rozmowa?

– Uważałem, że nie powinna sprzedawać działki, a w każdym razie nie spieszyć się z tym.

– Cóż odpowiedziała?

– Że zamierza wyjechać. Wyprowadzić się stąd. Przenieść na stałe. Że stało się coś, co spowodowało całkowitą zmianę w jej życiu, i to jest przyczyną, kryjącą się za tym postanowieniem. Poprosiła... moja żona opowiedziała przecież panu o tym, o biletach lotniczych. Poprosiła, żebym to załatwił, ponieważ ona... – urwał

– Ponieważ ona...?

– Nie ma możliwości załatwienia.

– A wie pan, jaką zmianę miała na myśli?

– Nie.

– To nie miało nic wspólnego z panem?

– O ile mnie wiadomo, nie.

– I pan załatwił bilet.

– Tak. Prosiła o załatwienie przelotu do Kopenhagi o siódmej czterdzieści samolotem SAS, z przesiadką na samolot linii szwajcarskich do Zurychu, wylatujący z Kopenhagi o dziewiętej trzydzieści. Zatelefonowałem do biura podróży w Göteborgu, poprosiłem o przysłanie na mój adres, Krystyna miała zadzwonić, ustalić, jak przesyłkę odbierze. I zrobiła to. To znaczy otrzymałem od niej dalsze polecenia.

Durell przyjrzał mu się i spytał:

– Chyba pan też zamierzał lecieć do Zurychu, bo przecież zamówił pan dwa bilety. Pana żona, dyrektorze, zaglądając w piątek wieczorem do pana teczki uważnie sprawdziła zawartość koperty.

– Tak, były dwa bilety – krótko stwierdził Pihl – Tylko żaden nie był przeznaczony dla mnie.

– A na jakie nazwisko wstawiono bilety?

– Na nazwisko Krystyny Vannerman.

– Oba?

– Tak.

Znowu zapadło milczenie. Durell czuł, że Pihl nie kłamie, choć trzeba było z niego prawdę wyciągać i choć zdradzał z niej tylko to, czego dotyczyło pytanie, i tylko tyle, ile przypuszczalnie Durell i tak mógł wiedzieć. Pihl, jakby odgadując bieg jego myśli, powiedział:

– Dlaczego miałbym zatajać, gdyby jeden z biletów był przeznaczony dla mnie, to znaczy, gdybyśmy postanowili, Krystyna i ja, razem wyjechać. Już ujawniłem, co nas łączyło. Moja żona też już o tym wie od kilku godzin. Nie ma więc powodu, by kłamać, jeśli o ten szczegół chodzi, w ogóle zresztą nie ma powodu. Oto cała prawda, a czy pan w nią uwierzy, czy nie, to już pana sprawa. Proszę słuchać. Krystyna zatelefonowała do mnie w piątek po południu z zapytaniem, czy otrzymałem bilety. Już je miałem. Wtedy poprosiła o jeszcze jedną przysługę. Żebym ją odwiozł do Göteborga. Zastrzegła się, bym nie stawiał pytań, zrobił to,

czego sobie życzy. O jedenastej miałem zabrać ją i jeszcze jedną osobę z Röjan, zawieźć je na lotnisko i tam się pożegnać. Na zawsze, jak zrozumiałem. Taka jest prawda i to jest wszystko, co wiem. Taki był bieg wydarzeń, chociaż rozumiem, że podobne informacje wydają się policji bardzo podejrzane. Nie wspominając już o tym, że Krystyny nie było na umówionym miejscu i pojechałem sam do Göteborga. Miałem tam sprawy do załatwienia, i tak bym musiał jechać w piątek. Czy pan uwierzy, czy nie, jest mi zupełnie obojętne.

– O nie – z naciskiem zaprzeczył Durell. – Nawet jeżeli wierzę, pozostaje kilka znaków zapytania. Powiada pan, że Krystyny nie było na umówionym miejscu, gdy pan tam przyjechał. Ale jej samochód tam chyba stał?

– Nie wiem. Czekałem przy szosie. Tak było umówione.

– I co pan zrobił, kiedy się nie zjawiała? Pojechał pan wprost do Göteborga? Jeżeli tak, czas trwania tej podróży pozostaje do rozważenia.

– Czekałem pół godziny, potem pojechałem na jej działkę, żeby sprawdzić, czy tam jej nie ma.

– W willi pan jej nie szukał?

– Tam nie bywałem nigdy. Wiedziałem zresztą, że zniknęła stamtąd w niewyjaśnionych okolicznościach. Kłódłem to na karb jej planów, chociaż sposób zniknięcia wydał mi się dziwny.

– Na działce jej pan nie zastał?

– Nie. Czekałem tam dalsze pół godziny. Potem wróciłem do Röjan, a ponieważ nie zjawiała się, wyruszyłem do Göteborga. Przypuszczałem, że mogła machnąć ręką na moją pomoc i pojechać sama, własnym samochodem. W drodze silnik zaczął nawalać. Dowlokłem się jakoś do Borås i znalazłem warsztat, który usunął usterkę. Co można skontrolować – Pihl uśmiechnął się ironicznie – bo zapamiętałem sobie ten warsztat. Około siódmej byłem

u celu. Pojechałem na lotnisko, sprawdzić, czy Krystyna się zgłosiła. Nie zgłosiła się.

Durell poważnie skinął głową.

– Bo o tej porze leżała już zamordowana w wannie. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Może niezupełnie zgodne z cytatem, ale jednak dość wymowne. Proszę mi powiedzieć, dyrektorze, o której mniej więcej był pan na działce. O pierwszej w nocy?

– Mniej więcej.

– Wszedł pan do domu?

– Nie wchodziłem. Wszędzie panowała cisza i ciemność, oczywiste było, że jej tam nie ma.

Ręka Durella zsunęła się za burtę, i zanurzyła w wodzie, z cichym pluskiem uderzającej o łódź. Sam Durell poszukał spojrzeniem oczu Pihla. Spojrzeniem przyjaznym i ufny, jakby go chciał natchnąć wiarą w siebie i prawdomówność, co mogło wywołać subtelniejszą reakcję na następne pytanie. Dla Durella było to pytanie najistotniejsze w tej sprawie, a jednocześnie był niemal pewien, że dyrektor potrafi odparować je jako zupełnie pozbawione znaczenia.

– Pora i inne rzeczy wyjaśnić. Domyśla się pan: narzędzie zbrodni. Jak to się stało, że Krystynę Vannerman zastrzelono z pistoletu należącego do pana?

W twarzy Pihla nie drgnął ani jeden mięsień, gdy odpowiadał:

– Dostała go ode mnie kilka miesięcy temu.

– I na to ma pan od razu odpowiedź. Dobrze jest być na wszystko przygotowanym. A dlaczego zaszczycił ją pan tak niezwykłym prezentem? I czym tłumaczyć, że nie miał pan pozwolenia na broń? Jaką drogą wszedł pan w posiadanie pistoletu? Na co był potrzebny Krystynie?

Pihl uśmiechnął się w sposób wiarygodny i świadczący o zaufaniu do siebie samego.

– Pistolet kupiłem we Włoszech przed wielu laty, raczej

ze względu na jego wartość estetyczną. O pozwolenie na broń nigdy się nie starałem, pewnie bym zresztą nie dostał. Dałem go Krystynie, bo prosiła. Uważała, że nieprzyjemnie jest nocować samej na działce. A często się zdarzało, że tam nocowała. O ile wiem, tam też przechowywała broń. Mam nadzieję, że odpowiedź była dostatecznie wyczerpująca.

– Rzeczywiście – zgodził się Durell. – Tylko pewien drobiazg mnie zdumiewa. Jak panu wiadomo, Krystynę znaleziono martwą w wannie, z kulą w głowie. Poprzedniego wieczoru wydawało się współlokatorom, że strzeliła do siebie w innej łazience. Łazienka, w której ją znaleziono, była zamknięta od wewnątrz. Jak to możliwe? Cała inscenizacja wskazuje na to, że ktoś, powiedzmy, morderca, chciał stworzyć pozory, iż zmarła popełniła samobójstwo w wannie. Gdyby tak było, broń powinna znajdować się w zamkniętym wnętrzu, przy zwłokach. A znaleziono ją w walizce razem z garderobą, której morderca chciał się pewnie pozbyć, bo miał po temu powód. Tłumaczyć to można różnie. Morderca liczył na szczęśliwy traf. Jeśli uznano za możliwe, że ktoś znika bez śladu z zamkniętego wnętrza, może zostanie uznane za prawdopodobne, że ktoś strzela sobie w głowę bez broni. Byłoby to jednak zbyt optymistyczne stawianie na szczęśliwy traf. On stawiał raczej na gorącą wodę. To znaczy na to, że dziura w głowie nie zostanie zauważona, gdyż skóra w gorącej wodzie szybko się zmienia, że z ogólnego stanu zwłok zostanie wyciągnięty wniosek, iż denatka odebrała sobie życie topiąc się w wannie. Drzwi zamknięte od wewnątrz. Tylko nasuwa się pytanie, dlaczego warto było podejmować tak ryzykowną szansę. Jedną jest na to odpowiedź: morderca był świadom, iż szybko zostanie wykryte, skąd broń pochodzi, więc lepiej było się jej pozbyć. Przy okazji, czy mogę zapytać, dlaczego pan dziś wybrał się do Röjan, czego pan tu szuka?

Pihl stracił pewność siebie. Jakby się przestraszył. Twarz mu drgnęła, ręce szukały jakiegoś oparcia. Wstał gwałtownie, zdawało się, z zamiarem wyskoczenia z łodzi, poprzestał jednak na tym, że stojąc równoważył kołysanie łodzi, zginając to prawe, to lewe kolano. Wreszcie powiedział głośno i prawie dyszkantem:

– A więc oskarża mnie pan o morderstwo! Jak może mi pan zarzucać tak poważne przestępstwo, nie mając pewnej podstawy dla swych podejrzeń. Prawda, że broń była moją własnością, że może się to wydawać dziwne, ale powiedziałem przecież, jak się rzecz miała. Jeżeli pan podtrzymuje to zniesławiające oskarżenie, złożę na pana skargę.

– Ajajaj! – Durell zamachał obronnie rękami. – Niechże pan nie przesadza, dyrektorze. To nie było oskarżenie, tylko hipoteza. I mówiłem o mordercy w ogóle, a nie imiennie, zresztą mogą istnieć inne hipotezy.

– Jaki mogłbym mieć motyw? Proszę wymienić motyw.

– Ależ chętnie. Jeśli pan sobie życzy. Zamówił pan dwa bilety, a jeden z nich był przeznaczony nie dla pana, dla kogoś innego. Mógł pan być zazdrosny o tego kogoś. Myśl, że Krystyna zamierza z kimś innym osiąść w Szwajcarii, mogła doprowadzić pana uczucia do wrzenia, nieprawdaż? O tym, że nie po raz pierwszy wyjeżdża do Szwajcarii, też pan wiedział...

– Czy pan nie goni w piętke? – Pihl uspokoił się dość szybko. Usiadł. Odwrót Durella na nowo wzmógł w nim siłę oporu.

– Pytam tylko, czy panu o tym wiadomo?

– Nie.

– Nigdy przedtem nie prosiła pana o załatwienie biletów?

– Nie.

– Czy to pan dzwonił do aptekarza Sjömana w piątek przed północą z zawiadomieniem, że Krystyna nie żyje?

– Nie.

– Czy domyśla się pan, kto mógł pozbawić życia pana przyjaciółkę?

– Nie – odpowiedział Pihl z grymasem najwyższego zniecierpliwienia. A po krótkiej pauzie dodał: – Jestem panu winien odpowiedź na pytanie, co robię koło Rōjan. – Wskazał na pole campingowe odległe o kilkaset metrów.

– Będę wdzięczny – powiedział Durell.

– Mój syn tu nurkował, wiadomo panu, że to on odkrył samochód Krystyny?

– Tak jest.

– Zgubił przy tym zegarek, bardzo dobry zegarek. Uważałem, że warto jednak spróbować, może uda się go znaleźć.

Durell uśmiechnął się z uznaniem. Ten człowiek na wszystko miał wyjaśnienie. Jeżeli twierdzi, że chłopiec zgubił zegarek, z pewnością jest to prawda. Przeważnie stwierdza fakty, które można sprawdzić, część z nich może nie z całkowitą pewnością, ale te pewne użyczą wiarygodności tym niezupełnie pewnym.

– Jeśli pan zamierza włączyć silnik, może by pan podrzucił mnie do domu Vannermanów, mam tam sprawę, którą mógłbym zaraz załatwić, jeśli się nadarza tak wygodna możliwość.

Pihl przeszedł na miejsce sternika, zapalił, włączył bieg, dodał gazu i odwrócił łódź dziobem w kierunku biegu rzeki.

– Proszę bardzo – powiedział. – Mam nadzieję, że ta sprawa została już wyczerpana, jeżeli chodzi o mnie i moją rodzinę. – Po chwili dodał z namysłem: – Był z Zurychu.

– Kto? – zdziwił się Durell.

– Zegarek.

W kilka minut później Durell wyszedł na ląd przy wyłożonej kamieniami przystani. Szybko poszedł ścieżką

między ogrodami, a Pihl cumował łódź. Dyrektorski jamnik wysunął pyszczek z drzwi werandy. Zwietrywszy pana wypadł, by go powitać, Durella obdarzył w biegu odstraszającym warknięciem. Durell zauważył poruszającą się w oknie firankę. Pani Pihl czuwała, ciekawa biegu spotkania męża z przedstawicielem policji, mijającym właśnie ich willę między rododendronami, których kwiaty zwiślały jak zwiedłe wiechy.

Przycupnięty w ciszy i spokoju stał dom Vannermanów. Durell przystanął i spojrział w okna na piętrze. Wszystkie szczelnie pozamykane, mimo upału. Postanowił jednak spróbować, podszedł do frontowych drzwi i zadzwonił. Głuchy terkot. I nic. Zdał sobie sprawę, że lokatorzy z piętra nie mogliby otworzyć, nawet gdyby słyszeli, gdyż tak jak za życia właścicielki bywało, drzwi oddzielające piętro zostały zamknięte. Obszedł więc dom dokoła. Za narożnikiem wpadła mu niemal w objęcia nadbiegająca z przeciwnej strony jedna z mieszkańek, Klara Nordin. Miała na sobie bluzkę bez rękawów, w zderzeniu poczuł miękką, bezkształtną jedwabistość jej ciała, niezbyt przyjemną w dotyku, natychmiast odsunął się od niej.

– Hola! – powiedział. – Co za pośpiech!

– Potknęłam się. W coś mi się noga zaplątała. – Schyliła się i próbowała uwolnić nogę z nylonowej linki wędkarskiej. Balansując na jednej nodze, chwyciła się Durella za ramię, by nie upaść. Udało jej się wydostać z pułapki. Pokazując asystentowi policji kryminalnej pętlę, powiedziała:

– Przepraszam. To pewnie chłopcy. Nie pilnują swoich rzeczy. Przecież można nogę złamać!

Pociągnęła za linkę, która posłusznie wysuwała się z ogrodu aptekarza. Brakowało szałwika, ale ciężarek był. Durell stwierdził fachowo, że jest to masywny ołowiany ciężarek do zakotwiczenia o dno przy połowach w bystro płynącej wodzie.

– Coż – powiedział – trzeba to z powrotem położyć tam, gdzie leżeć powinno. Pomogę pani.

Wziął kłębek, przecisnął się przez żywopłot z bzów do ogrodzenia, wspiał się na palce i przerzucił płataninę nylonowej nici na przeciwną stronę.

– No więc to zmartwienie mamy z głowy. Nie wie pani, czy dyrektor Fritze jest w domu?

– Może. A może nie. Nie widziałam go od rana, kiedy znowu grał tę pogańską muzykę, aż ściany drżały, co nie przeszkadza mu oczywiście teraz siedzieć w pokoju. Myślę, że najlepiej sprawdzić. – Urwała wiercąc się i krygując

– Powiem panu, że długie pozostawanie w domu nie jest przyjemne. Ludzie się kręcą, przystają, gapią się w okna, jakby to było miejsce nawiedzone przez zarazę. I wcale nie uspokoiło się po odjeździe policji. Co do mnie, choć to niedziela, wolę iść do pracy, załatwić trochę zaległych spraw, niż zostać w domu. Pozwoli pan, że go przeproszę.

Okręciła się na pięcie. półprzytomnie zamachała na pożegnanie i puściła się w drogę. Durell ruszył w kierunku tylnego wejścia. Wszystko tam było tak, jak poprzednio, tylko resztki śladów pożaru zostały usunięte. Wchodził na schody, podświadomie zachowując ostrożność. Wydawało mu się, że dom jest całkowicie opustoszały. W górnym hallu przystanął nasłuchując, starając się złowić jakies oznaki życia, ale nic nie usłyszał. Spojrzał w kierunku łazienki, w której przed niespełną dobą dokonano wstrząsającego odkrycia. Przeciwległe drzwi pokoju zwanego kancelarią były szeroko otwarte. Wszedł tam i stanawszy na środku pokoju rozejrzał się. To mogło być domniemane miejsce morderstwa, tylko kilka kroków do łazienki, transport niekłopotliwy, kąć odizolowany od reszty domu. Stara drewniana willa tak solidnie zbudowana, że nawet strzał z pistoletu może w niej zabrzmieć jak zatrzasnięcie drzwi. Kto wie. Między tym pokojem a najbliższym z

mieszkań, pokojem Klary, znajduje się pusty pokój gościnny. Prócz tego tłumiąca odgłosy przestrzeń korytarza i wielkiego hallu z wyciszającymi dywanami i kotarami. Podszedł do okna. Podwójne szyby, na dole ogród, za ogrodem rzeka, po tamtej stronie rzeki nie ma zabudowań mieszkalnych, tylko wielkie olchy i teren fabryczny. Choć i przeciw podobnym przypuszczeniom wiele przemawiało. Pod tym pokojem mieszka Tomasz. Powinien był usłyszeć, o ile nie oznacza się wyjątkowo twardym snem. Zresztą późno poszedł spać. I Fritze też czuwał do późna, a nawet był w hallu, ćwiczył de Falle. O ile ten telefon do aptekarza ma jakąś wartość i Krystyna o wpół do dwunastej już nie żyła, ten pokój nie mógł być miejscem popełnienia zbrodni. A jeżeli aptekarz skłamał? Rozmowy nie było albo jej treść była inna? Durell westchnął. Nie, na tym świadectwie można polegać. Córka aptekarza zapewnia wiarygodność, bo dzieci jeżeli kłamią, to nie w ten sposób. Dziecko nie rozumie jakiegoś wydarzenia, przesadza albo zmyśla. Czasem mówi, że coś widziało i słyszało, bo ktoś o to prosił. Nie, tego świadectwa mógł być pewien. Jeżeli Krystyna spotkała się ze swym losem przed północą, to raczej nie w tej willi. Tomasz albo Fritze usłyszeliby strzał. Zwłaszcza Fritze. Durell pokiwał głową w zamyśleniu. Zwłaszcza Fritze. Wszedł z pokoju i skierował się do hallu, gdzie stał fortepian z podniesionym wiekiem. Naprzeciw mieszkał Bror Andersson, ale jeżeli był w domu, to chyba pogrążony w pijackim śnie. Durell postanowił zbadać sprawę. Zapukał delikatnie, potem mocniej, nic, profesor jeszcze nie wrócił z lunchu. Następne drzwi Fritzego. Znowu zapukał. Żadnej odpowiedzi. I tu dobijał się energiczniej, bez rezultatu. Zajrzał w dziurkę od klucza. Nie tkwił w niej klucz. Zdecydował się. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i przyjrząwszy się zamkowi, wybrał prosty wytrych i spróbował z pomyslnym wynikiem. Otworzył. Poczł ulgę, że w pokoju rzeczywiście nie ma nikogo. Zamknawszy drzwi za sobą,

przesunął wzrokiem dokoła i odkrył magnetofon w rogu na podłodze. O ile sobie przypomniał, w czasie poprzednich oględzin pokoju stał on na półce z książkami pod szczytową ścianą. Ustawił magnetofon na biurku, dokładnie przedtem ustaliwszy jego pozycję. Bo jeśli nic obciążającego się nie ujawni, po co zdradzać, że ktoś był w pokoju pod nieobecność właściciela. Wetknął kabel do gniazdka, ściszył głos do minimum, stwierdził, że taśma jest przewinięta i właśnie miał ją przesłuchać, kiedy Fritze wszedł do pokoju. Durell wyprostował się, przez kilka sekund spoglądali na siebie w milczeniu. Fritze z twarzą nieruchomą, bez wyrazu, jakby wcale nie zdziwiony obecnością policjanta. Wreszcie powiedział:

– Widzę, że interesują pana moje nagrania. Bardzo to miłe. Choć może uprzejmiej byłoby mnie uprzedzić. Dowiedziałem się od panny Nordin, że pan chce się ze mną zobaczyć. Wpadliśmy na siebie na ulicy.

Durell uśmiechnął się w duchu. Wpadanie na przechodniów należało widocznie do stałych przyzwyczajęń Klary Nordin. Nie okazał jednak swej wesołości. Stojąc plecami do okna przyglądał się dyrektorowi.

– Tak, chciałem trochę posłuchać, zechce mi pan pomóc włączyć.

Fritze bez słowa podszedł do biurka i nacisnął klawisz. Muzyka cichutko popłynęła z głośnika. – Tak, chciał pan być dyskretny – powiedział i wzmocnił głos do oporu. Akordy napęłniły pokój. Durell każdy takt wyprzedzał myślą, bo „Taniec ognia” znał właściwie na pamięć. Dobry pianista, ale jak na jego gust grający zbyt surowo, twardo, ponura gra. Gdy ostatni gwałtowny wybuch przebrzmiał, zapanowała zupełna cisza. Fritze wyłączył.

– Czy coś więcej? – spytał.

– Nie wiem – przy pochlebnie uśmiechnął się Durell. – Świetnie zagrane. Czy jest jeszcze coś interesującego na tej taśmie?

– Proszę bardzo. – Fritze odsunął się od biurka i wskazując magnetofon usiadł w fotelu. – Proszę przesłuchać. Wedle woli.

Durell skorzystał z zachęty. Włączył, po przewinięciu kilku metrow posłuchał, puścił taśmę dalej, znowu posłuchał i tak niezmordowanie przewinał całą taśmę. Skończywszy powiedział:

– Ma pan pewnie inną taśmę w jakimś schowku, mógłbym ją przesłuchać?

– Cóż, kiedy nie mam. – Fritze spojrzał na Durella ironicznie. – I skończmy może z tą komedią. Wiem, czego pan szuka. Prawdopodobnie otrzymał pan donos Brora Anderssona, że tu u mnie wczoraj wieczorem była Krystyna Vannerman. Czyli w kilka godzin po jej zgonie, którego porę ustalono. A ponieważ pan nie ma takiej skłonności do fantazjowania jak profesor Andersson, wyciągnął pan wniosek, że mam pewnie taśmę z nagraniem jej głosu. Czy tak się rzecz przedstawia?

– Być może. – Durellowi przypomniało się, od czego Klara uciekała, gdy się zetknęli przed domem.

– To nagranie de Falli zostało dziś zrobione?

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Czy dziś?

– Tak. Bawi mnie nagrywanie od czasu do czasu drobnych utworów. To bardzo pożyteczne dla kogoś, kto chce się doskonalić, zwłaszcza w sposobie wyrazu.

– I bardzo praktyczne, jeśli się chce zniszczyć to, co przedtem zostało nagrane.

– Zabieg czysto techniczny.

– Słusznie. Czysto techniczny. Co więc pan skasował? Pewnie rozmowę z Krystyną Vannerman. Dlaczego zrobił pan to właśnie dziś? Bo wczoraj pan Andersson usłyszał, że ma pan ten głos nagrany.

Fritze zwlekał trochę z odpowiedzią, ale wreszcie jej udzielił.

– Tak. Słyszał. Nagrałem jej głos przy jakiejś okazji i wczoraj, ponieważ chciałem przegrać coś z radia, często to robię, skontrolowałem najpierw taśmę i trafilem na ten odcinek. Ze względu na okoliczności wzbudził we mnie zainteresowanie, więc słuchałem. Rozumie pan, co mam na myśli: głos człowieka nieżyjącego, którego nigdy już nie usłyszę.

– Dlaczego usiłował pan wmówić profesorowi, że ma halucynacje?

– Bo mnie zirytował, przyszedł, żeby pożyczyć wódki.

– Kiedy zostało zrobione to nagranie głosu Krystyny?

– O, dawno.

– Taak. Pan zdaje się mowił o częstym przegrywaniu z radia, w takim razie już dawno powinno zostać skasowane.

Fritze zachmurzył się. Najwidoczniej Durell zaczynał go irytować, podobnie jak Bror Andersson.

– Bo to było na końcu taśmy. Zwykle kasuję to, co z brzegu, jeśli nie jest to coś specjalnie godnego zachowania.

– Dlaczego nie ma pan większej ilości taśm? Przy takich zainteresowaniach.

– Jakoś obywam się jedną, nie było potrzeby kupowania większej ilości.

– Jeśli jednak rozmowa była na końcu taśmy, powinna i teraz znajdować się na końcu. Jak pan to wyjaśni?

Fritze wciągnął oddech, wyraźnie już urażony zadawanymi zwięźle i wprost pytaniami, którymi Durell strzelał szybko jak otrzaskany w boju dziennikarz. Opanował się jednak.

– Po nagraniu de Falli zapomniałem po prostu wyłączyć magnetofon, reszta została starta. Przykro mi, jeżeli ta odpowiedź pana nie zadowala, niestety, musi ją pan przy-

jąć bez względu na wartość, jaką dla pana przedstawia.

– Oczywiście. A może się dowiem, co było w tej nagranej rozmowie.

– Nic specjalnego. Wie pan jak to jest, gawędzi się, a magnetofon nawija. Przeważnie banały. W tym wypadku rozmowa dotyczyła sprzedaży domu i... cóż jeszcze...

– Sprzedaży domu? – Durell patrzył bystro. – Jeśli to było dawno, nie mogła mówić o sprzedaży domu. Przecież to zupełnie świeża sprawa. Przecież jej rodzony bratanek o tym nie wiedział.

– A ja wiedziałem.

Fritze unikał wzroku Durella. Asystent opłótł rękami kolana i pochylił się do przodu.

– Co pana łączyło z Krystyną Vannerman? – spytał cicho.

– Była moją kochanką.

– Ach, tak.

Durell stwierdził, jak różne są sposoby określania istoty rzeczy. Aptekarz: była moją przyjaciółką w intymnym sensie. Dyrektor Pihl: mieliśmy z sobą romans. Dyrektor Fritze: była moją kochanką. Gdyby dosadnością słowa ważyć intensywność uczuc, Fritze byłby pierwszy. Dla Durella było to tylko potwierdzenie tego, o czym już wcześniej się dowiedział. Ale słyszane z ust samego zainteresowanego, nabierało pełnej wagi.

– A więc wiedział pan o sprzedaży domu – powiedział żywo – że zamierzała wynieść się z kraju, wiedział pan także?

– Oczywiście.

– Chyba nie postanowili państwo razem wyjechać?

– Owszem.

Durell gwałtownie się wyprostował.

– A więc dla pana był ten drugi bilet. Dlaczego pan w takim razie nie pojechał do Göteborga? Kiedy się pan dowiedział, że ona nie żyje? A jeśli pan nie wiedział,

dlaczego nie przyszedł pan na umówione miejsce? Umówione spotkanie?

– Jakie spotkanie?

– Z dyrektorem.

– Z jakim dyrektorem? – Twarz Fritzego wyrażała zdumienie.

– Przecież Krystyna musiała panu powiedzieć, gdzie się macie spotkać.

– Göteborg. Bilet lotniczy. Dyrektor. Nic nie rozumiem. Niech mi pan oszczędzi zagadek. Nigdzie nie miałem jechać. Nic nie wiem o jej śmierci. Nic nie wiem o lotniczym bilecie.

– Przecież pan powiedział...

– Owszem. Miałem przyjechać później. Wpierw ona, potem ja. Za jakieś pół roku. Mielśmy być w kontakcie. – Odchylił się w fotelu i zacisnął powieki.

Durell dostrzegł, że ten człowiek toczy z sobą walkę. I jakkolwiek sam był zbity z tropu, jakkolwiek miał wielką ochotę ostrzelać delikwenta następnymi pytaniami, co może pozwoliłoby rozsupłać węzły przez cierpliwe ich wymacywanie, podobnie jak w splątanej sieci rybackiej, zmusił się do powściągliwości, by zobaczyć, jak się ta walka skończy. Skończyła się szybko. Fritze otworzył oczy, spojrzął na Durella i powiedział opanowanym głosem:

– Pytał pan, kiedy się dowiedziałem, że Krystyna nie żyje. Czy to znaczy, że ktoś wiedział o tym wcześniej niż inni?

– Może. Przypuszczamy, że o wpół do dwunastej w nocy w piątek już nie żyła.

Fritzemu ulżyło. Wyraźnie ulżyło. Wstał, podszedł do Durella i położył mu rękę na ramieniu, jakby miał do czynienia z którymś z gimnazjalistów. Powiedział uprzejmie, choć nieco wyniośle:

– Dzięki Bogu, bo to znaczy, że te pokrętne pytania

o magnetofon nie mają znaczenia. A już przez chwilę myślałem, że pan mnie podejrzewa o jakiś współudział. Może nawet, że to ja jestem poszukiwanym sprawcą. – Zniżył głos. – Mimo że ją kochałem. Mimo że moje alibi na tę porę nie ulega żadnej wątpliwości. A może i mimo tego, że wiedziałem o jej trwającym do niedawna stosunku z Pihlem.

– No tak. – Durell przymknął oczy. – To daje podstawę do dalszej rozmowy, jeśli pan nic nie ma przeciw temu. Teraz możemy mówić szczerze i bez roznamiętnienia. Powiedział pan: mimo że ją kochałem. Trzeba panu wiedzieć, że często bywa to najistotniejszym powodem morderstwa.

– Ależ tak. Oczywiście że w zasadzie może to być motyw morderstwa. Tylko ja nie jestem zazdrosny, moje uczucia nie są z gatunku burzliwych, ani w tej dziedzinie, ani w innych. I w stosunku do Krystyny były podobne.

– Jednak wystarczająco głębokie, by chciał ją pan poślubić.

– Tak.

– W dodatku miała pieniądze. Dużo pieniędzy. I można wnosić, że zamierzała zabrać je z sobą do Szwajcarii. W teczce. Która zniknęła. To może być motyw zbrodni. Chce się mieć czyjeś pieniądze bez obowiązku żenienia się z ich właścicielką.

– Insynuacje. Proszę bardzo – uśmiechnął się Fritze. – My zamierzaliśmy pobrać się.

– Oczywiście. Kochał ją pan. Wielkiej rozpacz po jej zgonie pan jednak nie okazuje.

– Jak powiedziałem, moje uczucia nie uzewnętrzniają się.

– Nie. Pan wiedział o jej trwającym do niedawna stosunku z dyrektorem Pihlem. Może miał pan powody podejrzewać, że ten stosunek trwa nadal. I to mogło stać się motywem. Pieniądze mogły być jednym, zazdrość drugim.

Mimo oświadczenia, że burzliwość nie cechuje pańskich uczuć. Jeśli już o tym mowa, wspomnę, że Krystyna najprawdopodobniej zamierzała zabrac z sobą do Szwajcarii jakiegoś towarzysza. Mógł to być dyrektor Pihl, mógł też być kto inny. Zrozumiałe, że to poważnie zagrażało pana aspiracjom, czy o pieniądze, czy o miłość chodzi. Może w życiu Krystyny byli prócz was jacyś inni mężczyźni. Na koniec jeszcze coś. Ja nie powiedziałem, że została niewątpliwie ustalona pora zgonu Krystyny, że zamordowano ją przed wpół do dwunastej. Powiedziałem: przypuszczamy. Alibi nie może opierać się na przypuszczeniach, nawet jeżeli to są przypuszczenia policji.

Fritze patrzył na niego z twarzą równie zastygłą i pozbawioną wyrazu, jak w chwili kiedy wszedł do pokoju i przyłapał Durella.

– Był to długi monolog i pełen fantazji – powiedział. Nie sądzi pan, że pora skończyć tę rozmowę. Zanim pan sam siebie pasuje na bajarza.

– Być może – powiedział Durell. – Przedtem jednak powinienem wspomnieć, że Bror Andersson, podsłuchując wczoraj pod pana drzwiami, dosłyszał niektóre słowa. Niewiele, ale zdecydowanie nie była to rozmowa o sprzedaży domu. Słyszał Krystynę mówiącą, że nosił się pan z planem zamordowania jej. Dosłyszał, że mówiła: Nie przypuszczałam, że ty, właśnie ty, chciałeś mnie zamordować. Ty znaczy pan. I nawet jeśli nie pan ją zamordował, trzeba stwierdzić, że istnieje pewne prawdopodobieństwo. Rozmowa z panem, według mego osądu, prawdopodobieństwa tego nie zmniejszyła. Do niczego w tej rozmowie z panem nie doszedłem. Ale może być pan pewien, że wykorzystam pierwszą okazję, by coś z pana wydobyć. Jeśli chodzi o taśmę, kłamie pan. Prawdopodobnie kłamie pan, mówiąc o swych uczuciach do Krystyny Vannerman. Dostarczył mi pan jednak bardzo wartościowej informacji, choć pewnie nie zdaje pan sobie z tego sprawy. Ulga, gdy

ujawniłem przypuszczenie, iż morderstwo popełniono przed wpół do dwunastej, była widoczna, uderzająca. I niezaprzeczalnie szczerą.

Podszedł do drzwi, ale odwrócił się, by dodać:

– Tak szczerą, że musi pan wiedzieć więcej. Pan przypuszczałnie wie, że zamordowano ją później. W porze, na którą pan nie ma alibi. Kiedy ustalimy tę porę, wrócę tu.

Zrobił efektowną pauzę. Nie czuł się zupełnie niezadowolony z reakcji, jaką jego słowa wywołały. Fritze siedział z pobladłą twarzą. Dodał więc jeszcze:

– A możliwe, że wtedy przyjdę po mordercę. – Odwrócił się na dobre i szybko zszedł na doł.

Klara prawą ręką stukała w klawisze maszyny do liczenia, a oczyma i palcem lewej ręki przesuwiała po rzędzie cyfr na cedule. Koniec końców niezła sunka zebrała się na rachunkach zagranicznych, z czego była zadowolona, bo wiedziała, że dyrekcja jest zainteresowana zwłaszcza rozwojem eksportu. Niezadowolona była natomiast z pewnych różnic w ustalaniu cen. Jej zmysł porządku raziło uprzywilejowanie kilku francuskich klientów, którzy mieli lepsze ceny niż inni, a wpłat dokonywali zawsze przez Szwajcarię. Cóż, nie jej sprawa decydować o warunkach. Póki Torgny uważa, że to słuszne, i dla niej musi być słuszne, wszystko okay. Wyciągnęła sumę końcową. Taśma w maszynie zaszeleściła obiecująco. Po odczytaniu stwierdziła, że w stosunku do takiego samego okresu w ubiegłym roku wzrost wyniósł dwadzieścia pięć procent. Urwała pasek i przymocowała do ceduły, zebrała rachunki stanowiące podkładkę i razem z cedułą włożyła do kartonowej teczki, na etykietce starannie wypisała zawartość, wstała i z teczką pod pachą poszła w stronę księgowości, spoglądając po drodze na długi rząd okien, wychodzących na dziedziniec za budynkiem fabrycznym. Nagle przysta-

nęła. Czarny mercedes wjechał tam i zatrzymał się. Wy-
siadł kierowca z teczką w ręce, spojrzął na fasadę budyn-
ku, jej nie dostrzegł i pospieszył do wejścia. To był Torgny.
Klara intuicyjnie wyczuła, że nie byłby zadowolony z jej
obecności. Zauważyła coś, czego umysł jeszcze w pełni nie
pojął, coś, co nie było dobre dla Torgny'ego, z czym nie
powinien mieć nic wspólnego, co wywołało w niej silny,
choć nie w pełni uświadomiony niepokój.

Już słyszała kroki na schodach. Szybko przemknęła do
pokoju księgowości, wśliznęła się do wnętrza, drzwi po-
zostawiając uchylone. Przywarła do futryny i słuchała
kroków, zbliżających się korytarzem, mijających jej poste-
runek. Torgny zatrzymał się przed gabinetem dyrektora.
Słyszała, że coś mruknął, wchodząc do swego pokoju,
słyszała odgłos teczki rzuconej na stół, widocznie nie
zamknął drzwi. Klara poczuła zawstydzenie. Czy nie tak
właśnie jak ona zachowuje się szpieg? Tak, szpiegowała
i postanowiła robić to dalej. Cichutko wysunęła się na
korytarz i podeszła do drzwi Torgny'ego, rzeczywiście
uchylonych. Sunąc tuż pod ścianą, żeby jej nie zauważył,
zbliżyła się tak, że ostrożnie pochylona mogła zajrzeć do
wnętrza. Torgny stał przy kasie, plecami do drzwi. Zajęty
był otwieraniem cyfrowego zamka, nacisnął ostatnią cy-
frę, ciężkie drzwi rozsunęły się. Na stole leżała teczka
i duża brązowa koperta. Sięgnął po wypchaną kopertę,
umieścił ją w jednej z przegródek kasy pancерnej. Zasunął
drzwi, przekręcił kółko i dla pewności poruszył rączką,
sprawdzając, czy zamknięte.

Wtedy Klara weszła do pokoju. Pihl odwrócił się zasko-
czony, świadom, że został przyłapano na gorącym uczyn-
ku. Chwilę patrzył ze stężoną twarzą, potem napięcie
mięśni zelzało, roześmiał się.

– Co tu robisz? Pracujesz?

Potwierdziła.

– Nic tak strasznie pilnego chyba nie ma.

Klara przetłknęła ślinę. Czuła, jak pulsuje jej w skro-
niach, patrzyła na Torgny'ego tak długo, że odwrócił
wzrok, podszedł do stołu i wsunął teczkę pod pachę.

– Co jest w tej kopercie? – spytała Klara, wskazując
palcem kasę.

– Różne dokumenty. – Spojrzał ostro. – Co ci zresztą do
tego?

– Akcje.

Zapadła cisza. Mocowali się z sobą chwilę, wypróbowu-
jąc swe siły. Wreszcie Klara powiedziała:

– Nie bój się, Torgny. Ja rozumiem. Dlaczego mi wcześ-
niej nie powiedziałeś. Ja bym to zrobiła. Dużo rozumiem.
Tylko tego, że mi nie ufasz, nie mogę pojąć.

– Rozumiesz! Cóż tu jest do rozumienia?

– Że odkładasz pieniądze w Szwajcarii, że nie zadowa-
lasz się różnicą między zaksięgowaną a rzeczywistą war-
tością rachunków, tylko... tylko różnymi innymi sposoba-
mi... Dlaczego mnie nie poprosiłeś? Trzeba było mi powie-
dzieć.

– Chodzi o to, że ty byłabyś kurierem? A dlaczego?

Nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w niego z rękami
skrzyżowanymi na piersiach, wciąż pocierając ramiona
machinalnym ruchem. Nie miała odwagi wyznać, miała
natomiast nadzieję, że on zrozumie, co ona czuje, czego
pragnie, czego teraz oczekuje. Ale jego oczy pozostały
zimne.

– A jakiej byś chciała za to zapłaty? Czego byś żądała?

– Niczego. Byle tylko moc to robić.

– Byle być współnikiem przestępstwa?

– Mnie mógłbyś zaufać, mnie nie musiałbyś...

Urwała. Spojrzenie, jakie jej rzucił, świadczyło, że zro-
zumiał, co miała na myśli, jednak chciał to z niej wydobyć.
Dlatego powiedział:

– Sądzisz, że to ja zabiłem Krystynę?

– Tak. Tak sądzę. Ale ja nic nie powiem. Chcę zająć jej

miejsce we wszystkim. Tyle tylko. I pozbądź się tego Musisz się od tego uwolnić – wskazała brązową teczkę.

Śmiechnął się obojętnym, pozbawionym wyrazu, nie zdradzającym żadnych uczuć uśmiechem.

– Zrobię to. Nie dlatego, że mi tak radzisz, ale dlatego, że to jest niebezpieczne. A poza tym wiedz sobie, co wiesz. Polegam na twojej dyskrekcji.

Wierz mi...

Dygotała wewnątrz. Odprowadziła go spojrzeniem, gdy wychodził unosząc teczkę. Wypchana, choć opróżnił ją z części zawartości. Była pewna, że nigdy nikomu o tym nie powie, i szczęśliwa z wiążącej ich tajemnicy. To jej wystarczyło. Torgny ma teczkę Krystyny. Zabrał ją Krystynie. Pewnie groziła, że go zadenuncjuje. A Torgny miał dobrą opinię, stanowisko, musiał się bronić.

Czy teczka mogłaby się znaleźć w jego rękach, gdyby nie zamordował Krystyny?

Rozdział dwunasty

Niedziela, 14 września. Popołudnie. Wieczór

– Kto miał powód, by ją zamordować? I dlaczego to zrobił? Bała się. Widziałem. Chciała wyjechać, uciec. Poniesie konsekwencje, powiedziała. Konsekwencje czego? Gdyby można było zatrzymać tę karuzelę wirującą w głowie. Pytania, pytania, pytania, żadnej odpowiedzi.

Tomasz patrzył w trawę. Siedzieli w przesiece, niedaleko od działki. Właściwie mogliby tam w domu zjeść kanapki i wypić kawę, ale tak już jest, że zawartość chlebaka lepiej smakuje na zielonej trawce niż przy białym nakrytym stole. Przez parę godzin włoczyli się wzdłuż brzegów po lesie i łąkach, ale za sucha było dla grzybów, więc niewiele

mieli w koszykach. Ingalill dała kromkę psu, który przyplątał się akurat w porze kawy. Był to pies Karlssona.

– Uciekać – powiedziała Ingalill – kto się tak nagle na to decyduje, ten chyba musi.

Tomasz pociągnął łyk kawy.

– To niepodobne do niej: nie zwierzyć się. Na zawsze, powiedziała. Zastanawiam się, czy przeczuwała, jak dalece się to sprawdzi. I znowu jesteśmy w punkcie wyjścia, pytamy, przed czym chciała uciec albo przed kim. I nie w zbytnej panice to zamierzała zrobić, zostawiając sobie czas na zabranie wszystkiego, czego potrzebowała, żeby dalej prowadzić dość przyjemne życie, tylko gdzie indziej.

Spojrzał w górę i wstał.

– Coś mi się zdaje, że trzeba pakować manatki.

Po przeciwnej stronie jeziora czarne chmury, które przez całe popołudnie zalegały północną stronę horyzontu, teraz zaczęły gromadzić się. Wkrótce słońce zniknie. Ostatnie jego promienie były wyjątkowo ciepłe, powietrze znieruchomiało, duszne, parne. Ingalill przyjrzała się łąwicy chmur. Granatowa czerń zniknęła, jakby przyduszona ciężkimi szarymi worami, wyładowanymi deszczem i zawieruchą. Zimny wiatr już słychać było po tamtej stronie jeziora, woda marszczyła się w białe bruzdy, lada chwila wory mogły rozpruć się nad nimi. Zerwali się szybko, zebrali naczynia, papiery, termos, wpakowali resztki pikniku do chlebaka. Pies skomlił, podnosił pysk w górę i podbiegał do nich, jakby ich chciał ponaglić. Chmury wydały groźny pomruk. Szare wory eksplodowały oślepiającą błyskawicą, grzmot przetoczył się wzdłuż zboczy, spadły pierwsze ciężkie krople, tak szybko to nastąpiło, że jednak zdążyło ich zaskoczyć. Tomasz otoczył Ingalill ramieniem, by pomóc jej w biegu po ścieżce wiodącej na działkę. Pies biegł przodem. Nagle jednak rzucił się w bok i wpadł w las. Migał im w ciemności, między świerkami.

Zauważyli, że zobojętniał na lejący deszcz, na rozdzierające ciemność błyskawice i przewalające się nad ich głowami grzmoty. Sierść mu pociemniała od wody, ale ogon poruszał się jak śmigło, drapał ziemię, chciał się widocznie wkopać pod jakiś gęsty świerk. Usiadł tam, podniósł łeb w górę i zawył.

– Oszalało to psisko – powiedział Tomasz zatrzymując się. – Chodź tu! – krzyknął. – Chodź! Damy ci dach nad głową i dobry kąsek do ogryzienia.

Pies odwrócił się, zrobił kilka susów w ich stronę, ale natychmiast wrócił pod świerk.

– Biedak, chce się schować – krzyknął Tomasz, bo akurat huknął grzmot. – Pewnie że drzewo daje osłonę, ale co będzie, jak piorun uderzy?

Przecisnął się między ociekającymi deszczem zaroślami, woda spływała mu na kark, wszystko, co miał na sobie, przemokło i przykleiło się do ramion, pleców, nóg. Dotarł do psa i złapał go za obrozę.

– No, chodź! – zawołał. – Nie zostawimy cię w taką pogodę, cholernie wpadliśmy...

Wtedy zobaczył. Rękę. Wystawała spod drzewa. Dłoń zwrócona wnętrzem do góry, z lekko zgiętymi palcami. Cienki przegub lśnił biało w półmroku. Skamieniał. Stał jak sparaliżowany. Rozum starał się uświadomić mu, co widzi, nieszczęsne psisko skomliło, obroza zaciskała się coraz bardziej. Tomasz zamknął oczy, by odegnać ten widok, ale, gdy je otworzył i spojrzał, ręka wciąż była. Polakierowane na czerwono paznokcie wyglądały na tle mchu jak borówki. Tomasz poczuł, że obezwładnienie ustępuje, mózg pogodził się z przekazem wzroku, posunął się o kilka kroków i rozgarnął najniższe gęste gałęzie. Pies skowyczał i tulił się do jego nogi. Jak przez mgłę zobaczył ciało. Pod świerkiem leżała na wznak kobieta. Czarne włosy otaczały twarz, która rysowała się coraz wyraźniej, w miarę jak oczy przyzwyczajały się do ciemności. Ubrana

była w lekki brązowy płaszczyk z rękawami trzy czwarte. Obok niej leżały pantofle i torebka. Oczy miała zamknięte, twarz nie zmieniona, z wyrazem spokoju i zadowolenia. Żadnych śladów przemocy, tylko martwa bladość namionowała śmierć. Przyglądał się, zmysły rejestrowały, lecz wzbraniały się uwierzyć. Puścił gałęzie, wróciły na swoje miejsce, tylko szczupła ręka wystawała spod nich i przyciągała jego oczy jak magnes.

Wielki Boże, myślał, dlaczego to się stało?

Wróciła mu świadomość deszczu, grzmotów, poczuł, że jest na wylot przemoknięty, usłyszał, że Ingalill go woła. Puścił psa, kiedy stwierdził, że w zaroślach leży trup. Teraz chwycił go znowu za obrozę i wlokąc za sobą skowyczące i merdające ogonem zwierzę wy dostał się na ścieżkę. Ingalill trzęsąc się stała przytulona do drzewa, z włosów jej kapało, bluzka przykleiła się do ciała.

– Puść go, niech sobie idzie! Prędko pod dach! Jeśli się nie rozgrzeję i nie osuszę, będziesz musiał mnie tu pochować.

Spojrzała na niego i krzyknęła:

– Tomasz! Co ci!

– Po świerkiem ktoś leży, nieżywy.

– O Boże...

Zobaczył na jej twarzy ten sam okropny strach, jaki czuł w sobie.

– Nieżywa kobieta – dodał. – Młoda, leży z rozpuszczonymi włosami, a buty i torebka obok. Trzeba sprowadzić policję. Natychmiast. Chodź!

Pobiegł ścieżką, a za nim Ingalill i pies. Deszcz zacinał, ale teraz nie miało to znaczenia. Najważniejsze, aby zawiadomić o tym, aby coś zrobić. Może jest jakiś związek między tym odkryciem a tamtą sprawą. W jego głowie ten związek formował się w słowo, nad którego znaczeniem wiele się w ostatnich dniach zastanawiał: konsekwencje. Brnąc przez ścieżki, ślizgając się na wystających z ziemi

korzeniach, potykając o kamienie ukryte w kałużach wody, odwrócił głowę i zawołał do Ingalill:

– A najokropniejsze, że wiem, kto to jest.

Nie był pewien, czy dosłyszała, bo znowu błyskawica przecięła ciemność, gruchnęło i lunęło, jakby się rozpruł nowy wór z deszczem.

– To jest Gitt – krzyknął. – Teraz wiadomo, dlaczego nie przyjechała.

Ścieżka rozszerzyła się lejkowato i dom zamajaczył przez zasłone deszczu. Tomasz zobaczył, że z miejsca do parkowania, po drugiej stronie murku, wytoczył się mercedes i zniknął między drzewami, deszcz bębnił o lśniący czarny dach. Zaczekał, aż Ingalill go dogoni, i powiedział:

– Widziałaś ten samochód? Pihla. Ciekawe, czy on nas tu szukał? A może jej, Gitt.

Burza minęła. Powietrze się odświeżyło. Półmrok stał się przejrzysty. Na zakręcie przed działką stał prywatny volkswagen i kilka służbowych czarno-białych wozów z napisem POLICJA na karoserii. Durell ledwie je mógł dojrzeć w zapadającej ciemności. Stał w większej izbie i wędrował wzrokiem po otaczającym domek terenie. Lampy się paliły. Ingalill ugotowała mocną kawę i nakryła duży stół. Na mniejszym stole pod oknem leżała torebka Gitt i cała jej zawartość ułożona rzędem. Wiele tam było rzeczy, które w stojącym przy stoliku Durellu budziły skojarzenia, wiązały los Krystyny z losem tej nieznajomej. Ale były i takie, które dezorientowały, uchylały drzwi, ukazując nowe powiązania wraz z koniecznością uporządkowania ich i wyjaśnienia. O tym odkryciu dowiedział się w pokoju hotelowym. Zaalarmował go telefon Melandera, wstrząśniętego i podnieconego tą nową wiadomością od bratanka Krystyny Vannerman. W kwadrans później już byli w drodze, a ulewa i zygzaki błyskawic stanowiły

kulisy niezwykle dopasowane do tego aktu dramatu. Przeprowadzili na miejscu badania. Wystająca spod świerku biała ręka została sfotografowana. Potem fotograf rozsunął gałęzie i utworzył z nich tło dla zdjęcia całej postaci. Zwłoki były suche pod gęstą osłoną gałęzi. Po dokonaniu tych wstępnych czynności dźwignięto trupa. Wtedy dopiero dał się poczuć lekki słodkawy zapach, drobne stworzenia, czarne żuki o pomarańczowo zabarwionych pancerzykach rozbiegły się, zakopały w podłożu, na którym ciemną plamą znaczył się kontur leżącego ciała. Lekarz policyjny ustalił, że od śmierci upłynęły co najmniej dwie doby. Ciało pokrywały małe, ledwie widoczne pęcherzyki, zdradzające, że zaczął się proces rozkładu. Śladów gwałtu nie było. Żadnych śladów prowadzących do lub od miejsca zwłok też nie, zresztą gdyby były, zmyłby je deszcz. Gdy zabierano ciało, Durell powiedział do Melandera:

– Nowe miejsce zbrodni, zdaje się jednak, że morderca ten sam: nieznany. – Urwał. – Bo to przecież morderstwo.

– Oczywiście.

– Bo chyba nie położyła się sama z własnej woli pod drzewem.

– Wątpliwe.

– Zdjęła buty, położyła obok siebie, a potem odebrała sobie życie przy pomocy trucizny albo silnej woli.

– Nie do przyjęcia.

– A może postąpiła jak stare psy, które, gdy czują zbliżający się koniec, wpełzają w jakiś zakamarek i spokojnie zasypiają na zawsze. A może umarła gdzie indziej, tylko poprosiła jakąś poczciwą duszę, by się zajęła jej ciałem, żeby nie zawadzało.

– Nie.

– Koniec końców jednak ta ostatnia możliwość nie jest zupełnie nierealna.

– Może i nie.

– Ale to też byłoby przestępstwem, więc toku śledztwa to nie zmienia. Jak i naszych rutynowych czynności.

– Nie, to jest: tak.

– Póki nie ustalimy związku między panną Vannerman a tą czarnowłosą pięknoscia, należy to traktować jak dwa oddzielne wypadki. Prawda? Ale obejrzyjmy zawartość jej torebki, może wykryjemy jakiś związek, a to nam oszczędzi trudu doszukiwania się czegoś innego. To jest ta sama sprawa, tylko nowy wariant.

– Właśnie.

– Dobrze.

Odwrócił się od okna w chwili, gdy jeden z samochodów odjeżdżał, a zapalone reflektory ożywiały drzewa, wywołując je z ciemności w światło. Przy podłużnym, zbitym z surowych desek stole siedział Melander, mając przed sobą notes, a w ręce pióro. Przy drugim końcu stołu siedział Tomasz siorbiąc kawę. Durell zwrócił się do niego:

– A więc biegł pan tu, żeby zaalarmować policję, i zobaczył pan odjeżdżającego stąd dyrektora Pihla?

– Jego samego nie widziałem, tylko samochód poznałem.

– A potem, kiedy pan wszedł?

– Najpierw zadzwoniłem do policji. Dopiero później zaczęliśmy się rozglądać. Od razu poznaliśmy, że ktoś był i przewracał. Pudełko z czekoladkami stało przedtem w kuchni na stole, a teraz przy kredensie.

Durell podszedł do leżącej obok Melandera jasnobrązowej teczki, otwartej, tak że paczki banknotów były widoczne. Zawierała tylko banknoty, nic więcej.

– Pudełkiem z czekoladkami zajmiemy się – powiedział Durell. – Zastanawialiśmy się nad nim przed południem, myśleliśmy, że to może wasze.

– Nie. Krystyna w piątek wieczorem dostała je od Fritzego. Było prawie pełne, tylko kilku pralinek brakowało. Zamierzałem panu o tym powiedzieć.

– I teraz pan to zrobił – stwierdził Durell przyglądając mu się badawczo. – Posłuchajmy teraz czegoś o Gitt. Powiada pan, że ją pan znał. Spotkał ją pan podczas urlopu we Włoszech. Dzwoniła do pana do szkoły, zapowiedziała, że przyjedzie. Nie wzbudziło to w panu entuzjazmu, jak pan zaznaczył. Dlaczego chciała przyjechać? Czy wciąż była w panu zakochana?

Tomasz odstawił filiżankę.

– Nie wiem. Nie sędzę jednak, by to było powodem. Przypuszczam, że chciała wydusić ze mnie pieniądze, ze mnie albo z Krystyny.

– Jeżeli chodziło o szantaż, musiała coś wiedzieć, mieć coś, czym mogła się posłużyć w tym celu. Cóż to było? Jeżeli pan podejrzewa wymuszenie, jest chyba jakaś podstawa do tych podejrzeń.

– Może była w ciąży.

– Ach, tak. Obdukcja to wyjaśni. Skąd jednak Krystyna w tym układzie?

– Nie wiem.

– Nie wie pan.

Durell długo kartkował granatową podłużną książeczkę biletową. W końcu zapytał:

– Powiedziała, kiedy zamierza przyjechać?

– Nie pamiętam. Wydawało mi się, że to powinno być wczoraj. Dzwoniła w piątek już dobrze po południu. Nie mogła więc przyjechać wcześniej niż następnego dnia. Wiem, że powiedziała, wkrótce będę.

– Myślał pan, że przyjedzie pociągiem?

Tomasz kiwnął głową. Durell podniósł w górę bilet i wymachując nim powiedział:

– Ale widzi pan, co to jest?

– Oczywiście, bilet lotniczy.

– Słusznie. A na płaszczu plakietka, że odleciała przedwczoraj samolotem o dziewiętnastej dziewięć, w Jönköpingu była w godzinę później, właśnie sprawdzają teraz,

czy rzeczywiście zeszła z tego samolotu. To miała na myśli, mówiąc: wkrótce będę. Czy Krystyna wiedziała, że ma przyjechać?

– Tak. Powiedziałem jej o tym.

– Jak zareagowała?

– Właściwie wcale nie zareagowała. Powiedziała coś, że w życiu musimy ponosić konsekwencje, dokładnie nie pamiętam.

– No tak.

Durell położył na stoliku pod oknem okładkę biletu i sięgnął po inny dokument, w czarnej oprawie, z godłem królestwa, dość zniszczony, z pozawijanymi rogami.

– A co to jest, widzi pan?

– Wygląda na paszport.

– Rzeczywiście paszport. Uważa pan to za godne uwagi?

– Nie wiem. Nic w tym osobliwego, że ktoś ma przy sobie paszport, wiele osób miewa paszporty. Może pan teraz sprawdzić, że moja informacja o spotkaniu we Włoszech jest zgodna z prawdą. Może pan też ustalić jej personalia.

– Słusznie. Ale jest to także powód do pewnych domysłów. Może zamierzała wyjechać za granicę?

– A jeżeli, to co?

– Przeciw temu przemawia fakt, że prawie nie miała przy sobie pieniędzy. Kilka dziesiątek i trochę drobnych, to wszystko, co znaleziono w torebce. Jeżeli zamierzała wyjechać za granicę, może spodziewała się, że pan ją zaopatrzy w środki na podróż. Czyli wymuszenie. Nie sądzi pan?

Tomasz poczuł jakiś niepokój. Sięgnął po papierosa, zapalił.

– Nie wiem, do czego pan zmierza – powiedział. – Wyjazd za granicę. Środki na podróż. – Zaczęło mu się

w głowie przejaśniać, zrozumiał, co kryje się za tymi sondującymi pytaniami. Uniósł się gwałtownie.

– Pan przypuszcza... sądzi pan, że ona miała towarzyszyć Krystynie. Dlatego ten paszport. Że Krystyna miała pokryć wszystko.

– Właśnie – potwierdził Durell. – Tylko – ciągnął dalej – wtedy trzeba przyjąć założenie, że to było między nimi uzgodnione. Jest przecież możliwe, że Gitt i z nią nawiązała kontakt i opowiedziała, jakie ma wobec pana plany.

– Zupełnie nie do wiary.

– Trzeba przyznać, że tak. Nie, młody człowieku, ja bym przypuszczał, że sprawa całkiem inaczej wygląda. W rzeczywistości pan odgrywa w tym związku poślednią rolę. Wie pan, co myślę? Że Gitt i Krystyna uzgodniły to między sobą. Wiemy, że samochód Krystyny tego wieczoru, gdy ją zamordowano, przejechał sto siedemdziesiąt kilometrów. A wie pan, ile jest z Jönköpingu do Gislaved? – Nie czekał na odpowiedź. – Zdaje się, do lotniska i z powrotem jakieś sto pięćdziesiąt. Ilość akurat pasująca do tej łamigłówki. Krystyna po zniknięciu pojechała na lotnisko po Gitt. Powinna tam była być około wpół do dziewiątej. Przywiozła Gitt tu, na działkę. Wokół tego, co się stało potem, jest wiele znaków zapytania: kiedy to się stało, dlaczego, jak? Ale jaki był zamysł działania, zaczyna się wyjaśniać, jak się zdaje. Krystyna kupiła dwa bilety lotnicze. Przypuszczałem, że były przeznaczone dla niej i jakiegoś mężczyzny, z którym zamierzała uciec. Ale z pewnością ten drugi bilet był dla Gitt. Nasuwa się pytanie, dlaczego. Co pan na to?

Odłożył paszport i sięgnął po fotografię. Podszedł do Tomasza i dał mu ją.

– Może pan powiedzieć, kto to jest?

Tomasz długo patrzył na zniszczoną odbitkę. Myśli wirowały mu w głowie. Nie w pełni świadom tego, co robi,

wsunął rękę do kieszeni, wyjął portfel i odszukał stare zdjęcie amatorskie, ukazujące młodą dziewczynę z gołą głową, ubraną w kraciany kostiumik, i chłopaczka z lniąną czupryną, w koszulce z krótkimi rękawami. Podał zdjęcie Durellowi, który pokiwał głową zachęcająco.

– Rzeczywiście, to samo zdjęcie. I ona tak podobna mimo upływu lat, że nawet ja nie mógłbym nie poznać. Czy to nie dziwne, że tę samą fotografię ma pan i Gitt? Czy zdarzyło się panu pokazywać jej tę fotografię we Włoszech?

Tomasz potwierdził, a Durell ciągnął dalej:

– W ten sposób naprowadził ją pan na ślad, w ten sposób dał jej pan szansę dowiedzenia się prawdy, świadoma tej prawdy nawiązała kontakt z Krystyną i przyjechała, by doprowadzić do rozstrzygnięcia, jak pan powiedział, Krystyna postanowiła wziąć na siebie konsekwencje. Wyjechać. Zniknąć z kraju. Zachować swą tajemnicę i zacząć nowe życie z tą, której się wyrzekła przed wielu laty. Zadośćuczynić. Może przede wszystkim to: zadośćuczynić.

Durell umilkł i spojrzał na Tomasza. Nie doczekawszy się odpowiedzi, spytał:

– Pan się nie domyślał, że Krystyna miała córkę?

– Nie. Pojęcia nie miałem – szepnął Tomasz. – Najlepsze podejrzenie nigdy we mnie nie powstało.

Podniósł oczy na Durella.

– Powiedział pan: „zadośćuczynienie”. Więc pan nie przypuszcza, że ona to zrobiła? Że Krystyna pozbawiła ją życia?

– Może – Durell patrzył na niego z głębokim namysłem.

– Choć nie sądzę. Załatwiła dwa bilety. Najprawdopodobniej przywiozła ją z Jönköpingu, wróciła do Gislaved, by załatwić dalszy transport do Göteborga. Ktoś obiecał jej tam zawieźć. Ten ktoś twierdzi, że nie zjawily się o umówionej porze. Jeśli to kłamstwo, ten ktoś znajduje się teraz w bardzo trudnej sytuacji. A jeśli to prawda, musiało

zdarzyć się coś, co nagle odebrało znaczenie umówionemu spotkaniu. Na przykład śmierć Gitt. Kto albo co ją spowodowało?

To ostatnie pytanie Durell skierował do siebie samego i pograżył się w dalsze rozważanie wiarygodności różnych hipotez. Fragmenty wypadków tu i ówdzie można było połączyć, odtworzyć przypuszczalny przebieg zdarzeń, i tak zaczął się zarysowywać kontur całości. Zamknął oczy i rozważał. Około wpół do dziewiątej opuściły lotnisko. Z Pihlem miały się spotkać o północy. Nic dziwnego, że mając przeszło godzinę do spotkania, spędziła ją razem z Gitt na działce. Może rozmowa wypadła inaczej, niż Krystyna przewidywała. Może to ona ją zamordowała? A w takim razie dlaczego ją samą zamordowano? Coś się nie zgadzało. Istniały natomiast inne możliwości, bardziej pasujące. Powiedzmy, że morderca wstąpił tu, by spotkać się z Krystyną albo z nimi obiema, powiedzmy, że obie pozbawił życia... Nie, nie, Gitt ukrył pod świerkiem, a Krystynę zabrał do jej domu i umieścił w wannie. Nie, skądże. Powiedzmy, że zabił Gitt, nakłonił Krystynę do uległości, może nawet do tego, że oboje ukryli ciało pod drzewem i uciekli do Gislaved, by omówić sytuację. W tym łańcuchu domysłów Durell jako pewne ogniwo dojrzał Fritzego, aroganckiego i wyniosłego, z magnetofonem pod ręką, człowieka, który miał przyjechać później i nie chciał żadnego konkurenta do pieniędzy. A jednak i to mocno chromało. Durell zobaczył przed sobą dziewczynkę z kokardami... Zapewniała, że ciocia Krystyna nie żyje, tatuś miał taką dziwną rozmowę przez telefon i tak powiedział, a aptekarz to potwierdził. Jeśli dzwonił morderca, a tak należy przypuszczać, jako cel mógł mieć tylko wywabienie aptekarza w noc. Choć mógł być i inny ku temu powód: stworzenie mordercy alibi. Gdy dzwonił, ona nie była jeszcze martwa, tylko Gitt nie żyła. Los Krystyny był już zasądzony, ale jeszcze nie dopełniony. Jeszcze nie wiedzia-

ła o planach swego mordercy. Cóż to stary profesor dosłyszał z pokoju Fritzego: że to właśnie ty chciałeś mnie zabić... W takim razie te słowa padły, gdy się dowiedziała o jego okrutnych zamiarach, gdy zrozumiała, co się stanie. W takim razie ostatni akt mógł się rozegrać o każdej porze przed godziną trzecią w nocy. Był przecież aptekarz, gotowy przysiąc, że dowiedział się o jej śmierci przed północą. Tu Durell zamknął rozmyślenia na tę okoliczność. Jeśli o Krystynę chodzi, wystarczy. Fritze nie ma pewnego alibi, a już on go przyciśnie. Nad Gitt znowu zapadała ciemność. Jeżeli i jej zgon zechce przypisać Fritzemu, to tu on ma alibi, murowane. Durell otworzył oczy. Nie wiedział, czy te rozważania zajęły mu parę sekund, czy kilka minut. Nikt mu nie przerwał, nikt się przez cały czas nie poruszył. Dostrzegł, że wciąż stoi ze starym zdjęciem w ręce. Położył je obok biletu i paszportu, sięgnął natomiast po żółty notesik i zwrócił się do Melandera:

– Jest tu kilka adresów, bądź tak dobry skontaktować się z tymi osobami. Może mają coś do powiedzenia. Przez ten czas ja popytam gdzie indziej. Jest pewna okoliczność, która może okazać się znacząca. – Spojrzeli na niego z ciekawością, więc wyjaśnił:

– Jeżeli przyjmujemy, że Krystyna Vannerman była matką tej dziewczyny, kto był ojcem?

Rozdział trzynasty

Poniedziałek, 15 września. Ranek. Przedpołudnie.

W poniedziałkowy ranek natychmiast po przebudzeniu Durell sięgnął po telefon i gdy centrala hotelowa zgłosiła się, poprosił o połączenie z szefem miejscowej policji.

Czekając opadł na poduszkę i przyglądał się wiszącej na ścianie reprodukcji. Przedstawiała wspaniały kwiat maku. To nasunęło mu myśl o opium i heroinie, o grzechu i ponurych występkach. W napięciu oczekiwał wiadomości, czego dowiedziano się o Gitt. Kwiat maku z pewnością znakomicie by wyglądał w jej czarnych włosach. W słuchawce zatrzeszczało, Melander się zgłosił i Durell od razu zapytał:

– Dowiedziałeś się czego o dziewczynie?

– I tak, i nie. Skontaktowaliśmy się z jej przyjaciółką, adres był w notesie, zajmowały wspólny pokój. To i owo wiedziała. Inni znajomi na ogół nic nie wiedzieli.

– A cóż ta przyjaciółka, daje coś do myślenia?

– Możliwe. Sam się nią zajmiesz, kiedy przyjedzie.

– A przyjedzie tu?

– Już jest w drodze. Potrzebna nam jest do formalnej, niepodważalnej identyfikacji. Przecież może się okazać, że młody Vannerman jest w to zamieszany, lepiej ktoś postronny, tak pomyślałem. To po pierwsze.

Durell uśmiechnął się i potarł brodę, chrząst nie golenego zarostu słychać było chyba po drugiej stronie przewodu.

– Oczywiście – powiedział. – Świetnie. A co po drugie?

– Po drugie one przeszło pięć lat razem mieszkały. Więc dobrze, żeby w najbliższym czasie pozostawała do naszej dyspozycji. Przecież nie wiemy, o co trzeba będzie zapytać.

– Kiedy przyjedzie?

– Wysłaliśmy właśnie samochód, przywiezie ją z lotniska. Przyjedzie pierwszym rannym samolotem. Nazywa się Ulla Nilsson. Dwadzieścia lat. Rówieśnica Gitt. Ogromnie się przejęła tym, co się stało.

Durell przyznał, że to zrozumiałe, potem powiedział:

– A od władz wydobyłeś coś? Księgi meldunkowe, księgi kościelne, rejestry policyjne?

– Rozmawiałem ze sztokholmską kryminalną, zaczął

zbierać materiały. Chwilowo mogą tylko powiedzieć, że do ksiąg ludności jest wpisana w Vasastan, mieszkała na Tégnergatan w na pół zmodernizowanym dwupokojowym mieszkaniu, razem z Ullą Nilsson. Rodzice nieznani, do trzynastego roku życia wychowywała się w domu dziecka, prywatny zakład pod Sztokholmem. Uciekła stamtąd i nie wysilano się zbytnio, by ją odnaleźć, bo zostawiła list, że chce być wolna i zarabiać na siebie. W związku z tym policja trochę szukała, opieka społeczna też czuwała, ale jakoś na nią nie trafiono. Nie ma jej w spisach karnych ani w innych urzędowych źródłach, więc jednak nie najgorzej się prowadziła.

– Spróbuj dotrzeć do tego domu dziecka. Być może wzbogaci to naszą wiedzę. Miejsce urodzenia nieznane, rodzice nieznani. Tak, tak, to wzmacnia nasze podejrzenia. Poproś sztokholmską policję, by skontaktowała się z nimi i przygotowała, mówiąc, o co chodzi. Przyjdę do ciebie, bądź gotów do rozmowy około jedenastej.

Odłożył słuchawkę i wrócił do obserwacji maku. Samotny kwiat, jakże piękny.

Wstał, przeciągnął się, poszedł do łazienki, puścił wodę na orzeźwiająca kąpiel. Zdjął górę piżamy i starannie powiesił. Piżama była jasnoniebieska w większe i mniejsze białe grochy i tylko on jeden wiedział, że została zakupiona przez zamówienie pocztowe po przestudiowaniu czterobarcznego katalogu. Uwolnił się i od dolnej części i jedną nogą był już w wannie, gdy odkrył, że nie ma mydła. Rozejrzał się. Na mydelniczce nad umywalnią też nie było. Rozgniewany wylazł z wanny. Rozkładanie mydła powinno należeć do podstawowych obowiązków sprzątającego i ktoś powinien pilnować, żeby tak potrzebnego drobiazgu nie brakowało w żadnym numerze. Wytarł się niedbale i owinawszy biodra ręcznikiem podszedł do telefonu. Gdy odezwała się recepcja, nie ukrywał irytacji.

– Zechce pan dopilnować, żeby mi natychmiast przy-

niesiono mydło. Do kąpieli potrzebne jest mydło i można chyba żądać, byście w nie zaopatrywali swych gości.

Usiadł w fotelu i czekał, odziany tylko w ręcznik, mały, okrągły, rudy, o różowej skórze. Nagle zerwał się i długo stał nieruchomo wpatrując się w przestrzeń. Myśl pracowała jak piła mechaniczna. Gdy drzwi się otworzyły i weszła otyła kobieta w białym fartuchu, w wieku około pięćdziesięciu lat, skierował na nią rozjaśnione spojrzenie i powiedział jak najserdeczniej:

– Połóżmy je w łazience, gdzie leżeć powinno. I niech panią Bóg błogosławi za to zapomnienie.

Zostawiając ślady bosych stóp, wyprzedził ją, chwycił po drodze mydło i zamknął za sobą drzwi łazienki o tyle za późno, że otyła kobieta z pewną konsternacją zdążyła zaobserwować akt zdejmowania ręcznika z bioder.

W godzinę później Durell wszedł do siedziby miejscowej policji. W drzwiach spotkał młodego policjanta.

– Dobrze, że pan przyszedł – akurat mamy połączenie z domem dziecka, kierowniczką przy telefonie.

Durell przyspieszył kroku i wszedł do pokoju Melandera, który czekał ze słuchawką w ręce; natychmiast podał ją Durellowi, a ten zdążył rzucić mu szybko:

– Przygotuj mydło. Po tej rozmowie zabawimy się w mały eksperyment.

Przyłożył słuchawkę do ucha. Wysoki zdecydowany głos kobiety raz po raz wołał: halo, halo, póki właścicielka nie uświadomiła sobie, że już jej ktoś słucha, wtedy powiedziała:

– Tu Melin. Halo!

– Dobrze – powiedział Durell. – Czy pani wie, o co chodzi?

– Tak, słyszałam, okropne. Biedna dziewczyna. Doskonale ją pamiętam.

– To świetnie – powiedział Durell i odsunął trochę słuchawkę od ucha. – Może mi pani powiedzieć, kto był jej matką? A jeśli to możliwe, także i ojcem.

– Nie, drogi panie, nie mogę. Gdyby pan wiedział, ile razy sama się nad tym zastanawiałam.

– Skąd się wzięła w domu dziecka?

– Matka ją umieściła, oczywiście. Dobrze sobie ten dzień przypominam. Szykowna dziewczyna, o matce mówię, miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Dziecka z sobą nie przyniosła. Chciała najpierw zorientować się, jakie są warunki, i nie znalazła nic, co mogłoby budzić jej zastrzeżenia.

– Chyba się przedstawiła? – przerwał Durell.

– Oczywiście. Nazywała się Nerman. Później domyśliłam się, że podała fałszywe nazwisko. Powiedziała, że urodziła córkę za granicą, to znaczy poród odbyła w zagranicznej klinice, nie wiem gdzie. Wszystkie potrzebne dokumenty, jakich zażądamy, przyśle później. Nigdy tego nie zrobiła. Zorientowałam się, że musi być dobrze sytuowana.

– Skąd pani to wywnioskowała?

– No, nie każdy może sobie pozwolić na odbywanie porodów za granicą. Prócz tego była bardzo elegancka. A kiedy przyniosła dziecko, zostawiła pięć tysięcy koron. Za pierwszy rok, powiedziała. Potem regularnie przysyłała pieniądze czekiem pocztowym, zobowiązała się przysyłać, póki dziewczynka nie skończy osiemnastu lat, ale ona zniknęła mając trzynaście. Przez ostatnie pięć lat odkładałam pieniądze do depozytu, myślałam, że może da kiedyś znak życia.

– Matka?

– Nie, córka. Znaczą Gitt.

– A na tych czekach nie było adresu zwrotnego?

– Nie. Było tylko wypisane: „Za Gitt, 1953” czy „1956”.

I przychodziły z różnych miejscowości. Sama byłam cieka-

wa, chciałam mieć jakiś punkt zaczepienia, więc uważnie oglądałam za każdym razem. Ale nie udało się nic ustalić. Kiedy przyniosła Gitt, zostawiła tylko fotografię, prosiła, by dać ją dziewczynie, gdy będzie tak duża, że zacznie pytać o matkę. Te biedactwa zawsze to robią prędzej czy później. No więc dostała tę fotografię. I to była dla niej najdroższa rzecz. Wymyślała sobie różne historie o matce i o tym, jak się kiedyś z nią spotka.

Durell doczekał się wreszcie przerwy, by coś wtrącić. Powiedział wolno i z naciskiem:

– Czy mówi pani coś nazwisko Vannerman, Krystyna Vannerman?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, potem panna Melin powiedziała:

– Niece... Krystyna Vannerman... nie... chociaż może... czy to nie ta osoba, którą zamordowano w Småland, ta historia z trupem w wannie?

– Ta właśnie. Przypuśćmy, że to była matka Gitt. A między nazwiskiem Nerman a Vannerman różnica nie taka duża, jak się dobrze przyjrzeć. Ale pani nie może tego przypuszczenia potwierdzić.

– Niece. Chociaż... – zawahała się – te przekazy pieniężne były sygnowane literami K.V. To może znaczyć Krystyna Vannerman.

– Dobrze. Zawsze coś.

Durell uznał, że otrzymał wiadomości, na jakie mógł liczyć. Podziękował za trud, otrzymał długie zapewnienie, że wystarczy znowu zadzwonić, jeśli będzie chciał jeszcze o coś zapytać, podziękował raz jeszcze i odłożył słuchawkę. Siedzący naprzeciw Melander roześmiał się i powiedział:

– Nie musisz streszczać rozmowy. Słyszałem każde słowo. A gdyby coś było niezbyt jasne, mogę zdradzić, że w centralce nagrano tę rozmowę.

Durell wyraził wdzięczność.

Wychodzili z pokoju, gdy znowu ukazał się młody policjant i zatrzymał ich.

– Panna Ulla Nilsson czeka. Właśnie przyszła i mówi, że byłaby zobowiązana, gdyby można było wszystko załatwić jak najszybciej. Czy mogę ją poprosić?

– Oczywiście. – Durell zawrócił, Melander za nim. Tym razem Durell usiadł nie przy biurku, tylko w jednym z foteli. W chwilę później panna Nilsson weszła.

Zatrzymała się tuż za progiem. Wyglądała na bardzo zażenowaną, Durell natychmiast zauważył, że jest zapłakana. Była w wieku Gitt, miała utlenione włosy i jaskrawy makijaż z czarnymi brwiami i rzęsami. Sukienka kończyła się mniej więcej tam, gdzie nogi się zaczynały. Durell uważał, że w tym wypadku wygaśnięcie mody na minispódniczki byłoby prawdziwą stratą. Przychylnie na nią patrząc powiedział:

– Zechce pani usiąść tu, naprzeciw mnie. Ogromnie przykre jest to, co stało się z pani przyjaciółką. Bo rozumiem, że byliście zaprzyjaźnione i pewnie nie miałyście przed sobą tajemnic.

Szybko kiwnęła głową i zagryzła wargi, wyglądało na to, że znowu zacznie płakać. Młody policjant zwlekał z wyjściem. Za plecami dziewczyny dawał Durellowi jakieś dziwne znaki przytykając palec do oczu. Wobec niepojętności Durella dał za wygraną i powiedział współczująco:

-- Panna Nilsson wraca właśnie z kostnicy, zaczęliśmy od tego.

– Ach, tak – powiedział Durell. – Niestety, jest to konieczne, choć ogromnie rozstrajające. Właśnie miałem o to spytać. Jeśli rozumiem, nie ma żadnej wątpliwości, że to ona?

– Nie. To jest Gitt. Okropne! Uważała, że wszystko układa się wspaniale. Przyjedzie tu, a potem w ogóle się wyrwie. No i rzeczywiście, wyrwała się.

Pociągnęła nosem i wytarła oczy. Zastosowała się też do życzenia Durella i usiadła w fotelu.

– Cieszyła się, że zobaczy swoją matkę – cicho powiedział Durell.

– Tak. Wszystko spadło tak nagle. Od tej wycieczki do Włoch, kiedy spotkała chłopaka, który miał taką samą fotografię jak ona. Mówiła, że to zupełnie jak w powieści, kto by pomyślał, że takie rzeczy się naprawdę zdarzają. Po powrocie przez miesiąc tylko o tym gadała i gadała. Potem dowiedziała się, jaki jest numer telefonu, i zadzwoniła.

Durell uniósł brwi.

– Do matki?

Ulla Nilsson kiwnęła głową.

– Tak. Trochę tego wieczoru była podniecona, pociągała znaczy, i wmówiła sobie, że zadzwoni. To było ze trzy tygodnie temu, jakoś w połowie sierpnia chyba. Do cholery, powiedziała, zadzwonię do mamy, wycisnę z niej trochę forsy na prochy.

– Jakie narkotyki brała?

– Amfetaminę, tabletki.

– Pani też się narkotyzuje?

Odpowiedziała nie od razu i nie patrząc mu w oczy.

– Zdarza się. Ale teraz już z tydzień nie. Niech pan nie myśli, że ja tu trzeszczę byle co, mówię, jak było naprawdę. Zresztą ja nie jadę na amfetaminie.

– No dobrze. Więc Gitt zadzwoniła. Wie pani, jaki był przebieg tej rozmowy?

– Pewnie. Przyłożyłam ucho do słuchawki tak samo jako ona. Bezcelnie zaczęła. Cześć, mamo, tu twoja mała Gitt, powiedziała. Trochę potrwało, nim ciotkę odetkało. Z początku próbowała się wykręcać, pytała, z kim ona chce mówić, że to chyba pomyłka i takie tam, ale w końcu dała za wygraną. To przecież było okay, znaczy, że Gitt poderwała matkę. Długo potem z sobą rozmawiały. I Gitt powiedziała, że mogłaby przysłać trochę forsy, a ona, że owszem,

ale żeby nikomu tego nie wygadała, znaczy Gitt. Następnego dnia Gitt znowu zadzwoniła i powiedziała że przykro jej z powodu tych forsiaków, że prosiła, ale to tylko dlatego, że była... no tego i w ogóle, a tak naprawdę, to chciałyby się z mamą zobaczyć. Potem często sobie rozmawiały. Matka dostała nasz numer telefonu i później to przeważnie ona dzwoniła. I właściwie to tylko tyle.

Umlkła i siedziała z rękami splecionymi na kolanach, młoda, miła, robiła zupełnie inne wrażenie, niż kiedy się jej słuchało. Durell popatrzył na nią i spytał:

– Dlaczego tu przyjechała?

– Matka chciała. Bo to tak: wmówiła sobie, że Gitt musi skończyć z prochami, inaczej marnie skończy. Chciała, żeby się wyniosła ze Sztokholmu, od kumpli i w ogóle. Przysłała bilet lotniczy, powiedziała, że chce mieć wiadomość, przyjedzie czy nie, a jak nie przyjedzie, to już matka zadba, żeby się dostała pod opiekę. Powiedziała, że jeżeli się wypnie, chociaż tak się nie wyraziła, jasne, to gwizdże na to, czy Gitt roztrąbi, że ona jest jej matką. Odpowiada za to. I skorzysta z praw, bo faktycznie Gitt jeszcze przecież nie była pełnoletnia. – Ulla wzruszyła ramionami. – Tylko czy miała jakieś prawa, żeby kogoś rzucić w taki sposób, jak ona zrobiła, a potem zasuwać taką gadkę, zgrywać ważniaczkę. Gitt sama za siebie potrafiła odpowiadać, zaczęła, jak miała trzynaście lat.

Durell nie kwapił się z rozstrzygnięciem, co można, a czego nie można w takiej sytuacji. Wrócił natomiast do pieniędzy pytając:

– Więc Gitt naciągnęła ją na pieniądze. Po tej pierwszej udanej próbie robiła to dalej?

– Nie – Ulla potrząsnęła głową. – Nie. Nie robiła tego. Bo tak jakoś dziwnie zaczęła przywiązywać się do matki. I tak jakby nie miała nic przeciw temu, żeby się wynieść ze Sztokholmu i pobyć trochę z matką. Coś gadała, że może wyniosą się gdzieś za granicę – a to Gitt odpowiadało. Ona

miała kręćka, żeby jeździć za granicę, jak tylko się dało. Po angielsku i po niemiecku nieźle się mogła rozmówić i w ogóle. Nie, o pieniądze więcej nie prosiła, ale wiem, że prochy jej matka parę razy przysyłała.

Durell drgnął. Wyprostował się, oparł ręce na poręczach i z zainteresowaniem pochylił się ku dziewczynie:

– Co pani mówi? Przysyłała jej narkotyki?

– Tak. Co najmniej dwa razy. O to ją Gitt prosiła, domyśliłam się, spytałam, skąd wzięta, bo wiedziałam, że nie kupiła w mieście. Ona powiedziała: rozumiesz chyba, że nie można tak od razu, jak nożem uciąć, trzeba się odzwyczajać... Mnie się zdaje, że ona by się nie odzwyczaiła, jakby chciała naprawdę skończyć, to tylko gdzieś wyjechać. Do porządnej kliniki na odwykówkę, czy jak.

– Zapewne.

Durell wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, panno Nilsson. Chwilowo wystarczy.

Wstała również, wyraźnie zmieszana, że rozmowa skończyła się tak nagle, właśnie gdy już się oswoiła i nabrała rozpędu. Chwilę stała niezdecydowana, młody policjant ostrożnie wziął ją pod ramię i wyprowadził z pokoju. Durell i Melander zostali sami. Durell zaczął krążyć po pokoju. Wreszcie podsumował:

– Opowieść panny Nilsson częściowo usunęła zasłonę. Na przykład wiadomość o narkotykach, wcale nieźle. Krystyna posyłała jej amfetaminę. Pozostaje pytanie, skąd ją brała. Chyba podążę tym tropem.

Odwrocił się ku drzwiom.

– I gdzież cię ten trop prowadzi? – spytał Melander.

– A jak ci się zdaje? – Durell zmarszczył czoło. – Do apteki, rzecz jasna.

W drodze do apteki myśli kłębiły mu się w głowie. Najpierw starał się opracować wiadomości otrzymane od

panny Melin. Nawet w dobie lotów kosmicznych zdarza się, że ktoś rodzi dziecko, ktoś inny przyjmuje je pod opiekę bez ujawnienia tożsamości matki. I nie wchodzi tu w grę podrzucenie dziecka cichcem nocą w koszyku, tylko o pozornie zupełnie zgodne z przepisami przyjęcie. Miał wrażenie, że dokonało się z pełną zgodą kierowniczkii. Parę tysięcy utorowało drogę. A jeżeli matka mogła zachować anonimowość, o ileż łatwiejszą sytuację miał ojciec. Zwłaszcza jeśli matka tego nie ujawniła. Tak, ojciec. Kto w owym czasie znał Krystynę i przestawał z nią, a wprost rzecz określając, kto był ojcem dziecka? Uśmiechnął się gorzko, skręcając w ulicę, wiodącą prosto do centrum handlowego, gdzie mieściła się apteka. Przypomniał sobie, jak to określali trzej mężczyźni, którzy znali Krystynę i odegrali rolę w jej życiu: bliska przyjaciółka, w intymnym znaczeniu, romans, kochanka. Z tych trzech dwaj mogą być brani pod uwagę, aptekarz i dyrektor. Niewykluczone oczywiście, że i z innymi coś ją łączyło. W każdym wypadku nasuwało się wiele pytań i interesujące byłoby znać odpowiedź na nie. Po pierwsze: czy ojciec wiedział, że Krystyna miała dziecko? Po drugie: kiedy się o tym dowiedział, przed laty, czy zupełnie niedawno, po nawiązaniu przez Krystynę kontaktu z córką? Po trzecie: czy okoliczność, że był ojcem jej dziecka, była motywem morderstwa, może nawet podwójnego morderstwa? Na to ostatnie pytanie Durell odpowiedział bezzwłocznie, nim zdążył przejść następne pięć kroków. Jeśli na pierwsze dwa pytania odpowiedzieć twierdząco, z uwzględnieniem wariantu „wiedział od niedawna”, to świeżo zyskana świadomość mogła posłużyć jako motyw. Bo, po pierwsze, istnienie Gitt mogło zagrażać ustalonemu małżeńskiemu szczęściu. Po drugie, nowa ustawa o nieograniczonym i wstecz działającym prawie dziedziczenia mogłaby spowodować nieprzyjemności. Po trzecie, cała ta sprawa byłaby oczywiście skandalem. Tę ostatnią stronę Durell ocenił jako mniej

ważną z punktu widzenia ojca, natomiast z pewnością przykrą dla matki...

Dotarł do celu. Wszedł do apteki, trafił widocznie na dzień zdrowych, bo żadnych klientów nie było, biała ubrana pomocnica aptekarza stała gotowa obsłużyć go natychmiast. Spytał, czy zastał kierownika. Ku swemu rozczarowaniu dowiedział się, że jeszcze nie przyszedł, a ponieważ przedpołudnie miało się już ku końcowi, prawdopodobnie przyjdzie dopiero po lunchu. Durell marudził nie mogąc się zdecydować, wreszcie postanowił jednak wyciągnąć jakieś korzyści z tej wizyty, o ile się da.

– Zechce mi pani powiedzieć – zaczął – czy znała pani pannę Vannerman?

– O tak. Chyba nie ma człowieka, który by nie słyszał o tej okropnej historii. Byłam tam nawet, żeby zobaczyć ten dom. Dom też wydaje się jakiś okropny. Czy pan jest tym policjantem? – Przyglądała mu się ciekawie.

– Tak. Jestem tym policjantem. Proszę mi powiedzieć, czy panna Vannerman bywała ostatnio w aptece? Mam na myśli, czy odwiedzała pana Sjömana, raczej prywatnie.

Farmaceutka pochyliła się ku niemu poufnie.

– Nie. O ile mi wiadomo, nigdy tu nie była, w ciągu dnia, to znaczy w godzinach otwarcia. Mogę jednak powiedzieć panu, że raz ją widziałam, wchodzącą od tyłu dość późno, to było na początku zeszłego tygodnia. Nie żebym myślała, że ich coś łączyło, mówię po prostu, bo widziałam. Sama wróciłam do apteki, bo zostawiłam siatkę. Ale gdybym weszła, sytuacja mogła być kłopotliwa, więc zrezygnowałam z zabrania siatki.

Urwała nagle, spojrzała ponad ramieniem rozmówcy, a twarz jej przybrała wyraz szacunku i pełnej respektu życzliwości. Durell natychmiast się domyślił, że Sjöman jednak przyszedł. Odwrócił się i zrobił krok w jego kierunku z wyciągniętą ręką.

– Mam szczęście – powiedział. – Bardzo mi zależy na

rozmowie z panem, mam jeszcze kilka pytań. Czy to możliwe zaraz?

– Oczywiście.

Aptekarz nie zdradzając żadnego zdziwienia wyminął Durella i dał mu znak, by poszedł za nim. Weszli na zaplecze. Usiedli.

– O co chce pan zapytać?

Durell powiedział wprost:

– Dawał pan Krystynie Vannerman narkotyki? Amfetaminę w tabletkach?

Długa cisza. Sjöman poruszył się i wreszcie powiedział:

– Trudne pytanie. Jeśli pan przypuszcza, że to zrobiłem, jest to poważne obciążenie. Dlaczego pan pyta?

Durell natychmiast wykorzystał świeżo zdobytą wiedzę.

– Bo wiadomo mi, że przynajmniej raz, a prawdopodobnie kilka razy Krystyna Vannerman przychodziła tu do pana po zamknięciu apteki. Najprawdopodobniej przy tej sposobności zaopatrywał pan ją w tabletki amfetaminy.

Odpowiedź nastąpiła po krótkim wahaniu:

– A więc pan wie. Tak, dostała ode mnie pewną ilość tabletek.

– Ile i ilokrotnie?

– Trzy razy po piętnaście. Dwa razy tu po nie przyszła. Raz spotkałem się z nią przed pocztą i tam jej wręczyłem.

– A czy nie powinien pan był o tym powiedzieć przy naszym pierwszym spotkaniu?

– Może. Ale pan nie pytał. A rozumie pan, że dla aptekarza popełnienie czegoś podobnego to sprawa poważna.

Sjöman spuścił oczy. Durell stwierdził, że rumianność jego twarzy przechodzi w nieprzyjemną biel, policzki zaczynają kolorem przypominać skórę od słoniny. Więc opierając ręce o blat stołu ciągnął dalej nieco łagodniej:

– Sprawa jest poważna, to prawda. Pora więc spytać,

dłaczego pan to zrobił. Czy Krystyna zmusiła pana, czy miało miejsce wymuszenie?

– Nie, nie. – Sjöman zaprzeczył, tak energicznie potrząsając głową, że wszystkie jego podbródki zadrżały. – Prosiła mnie o to. Pozwoli pan, że uporządkuję kolejność wydarzeń. Zadzwoiła do mnie przed miesiącem, była bardzo wzburzona, prosiła o spotkanie możliwie jak najprędzej. Nastąpiło tu w aptece, wieczorem, w tym kantorku. Podczas tego spotkania, pierwszego od wielu lat, opowiedziała mi, że właśnie niedawno dowiedziała się, że jej młoda krewna jest narkomanką, że za wszelką cenę chce zrobić wszystko, by ją uratować. Ale potrzebny na to czas. Musi się upewnić, że kontakt z nią nie zostanie zerwany, nim podejmie odpowiednie kroki dla załatwienia tej sprawy. Musi więc utrzymać „ciepło”, jak się wyraziła. Prosiła o pomoc. Była zupełnie zdruzgotana. Uległem jej argumentom. Popełniłem szaleństwo, bo to było szaleństwo, dałem jej piętnaście tabletek. I potem... potem już nie mogłem odmówić, następnym razem i jeszcze raz. Choć byłem wstrząśnięty tym, do czego może mnie doprowadzić.

– Tak wstrząśnięty, że postanowił pan ją zabić?

Durell powiedział to twardo i dobitnie akcentując każdą sylabę. Sjöman spojrział mu w oczy. Twarz miał teraz kredowobiałą. Wydawało się, że niezupełnie pojął sens tych słów. Wyciągnął rękę przez stół, wolno sunęła po blacie, wreszcie chwyciła dłoń Durella.

– Niech mi pan wierzy – powiedział aptekarz zdławionym głosem. – Tabletki to jedna sprawa. A to, co pan powiedział, zupełnie inna. Absurdalna. O to nie może mnie pan oskarżyć.

– Więc pan uwierzył w tę historię z krewną?

– Oczywiście. Dlaczego miałbym nie uwierzyć?

– A nie podejrzewał pan, że to na jej własny użytek?

– Nie.

– A wspomniała, jaki rodzaj pokrewieństwa je łączy?

- Nie.
- Zupełnie nic pan w tej sprawie nie wie?
- Zupełnie nic. Wtedy nie wiedziałem, ani teraz nie wiem. Pojęcia nie mam.

Durell po chwileczce zastanowienia zdecydował się na kroczenie drogą prawdy.

- To była jej córka.

Skupił się całkowicie, by dostrzec reakcję rozmówcy. Rezultat był mizerny. W zachowaniu aptekarza tak już widoczne było wzburzenie wewnętrzne, że nic nowego ujawnić się nie mogło. Durell dalej zachowywał się w sposób przykry i przypominający wiercenie w zębie z obnażonym nerwem.

- Wiedział pan, że ona miała córkę?
- Nie. To absurd. Krystyna miała córkę?
- Pan może być ojcem tej dziewczyny. Czy jest pan tego świadom?

Sjöman nie odpowiedział, potrząsnął tylko głową i mruzczał raz po raz: – Absurd, absurd, absurd.

Durell podniósł się i skierował ku drzwiom. Na progu odwrócił się i powiedział uroczyście:

- Jeśli pan nim był, muszę niestety wstrząsnąć pana wiadomością, że już nie żyje. A może powinienem powieścić: mogę pocieszyć. Nazywała się Gitt. Będzie pan mógł o tym przeczytać w wieczornej gazecie.

Opuszczał aptekę z uczuciem niezadowolenia. Nic właściwie nie osiągnął, nie posunął się ani o krok dalej, potwierdziły się tylko podejrzenia, że Krystyna stąd miała tabletki. Jedyne osiągnięcie.

Wróciwszy do komendy od razu poszedł do Melandera.

- Postarałeś się o mydło? Przydałoby się też parę metrów sznurka. Teraz jest przerwa na lunch, ale ja pamiętam, że ci obiecałem eksperyment. Zrobimy go po jedzeniu, nie ma się co spieszyć.

- Okay – powiedział Melander. – Pozwól, że ci opo-

wiem, co tu działaliśmy. Mamy wstępny protokół obdukcji tej małej. Powodem śmierci była trucizna.

Durell spojrzał pytająco:

- Przedozowanie narkotyku?

– Nie. Wcale. Jakiś roślinny alkaloid. Może trucizna na insekty. Analiza jeszcze nie jest gotowa, ale możliwe, że była to scopolamina. Uśmierca bardzo szybko. Poza tym w żołądku znaleziono resztki czekolady. Zjadła ją pewnie jadąc samochodem z Jönköpingu. I wtedy też połknęła truciznę. A dla pełniejszego określenia jest to ten sam gatunek czekolady, co w bombonierce, którą zastaliśmy w letnim domku. Czekolada i scopolamina – razem w żołądku. Mówi ci to coś?

Durell zagwizdał cicho i czysto.

- A od kogo Krystyna dostała te czekoladki? – zastanowił się. – Jeżeli dobrze pamiętam, od Fritzego. Czyli Gitt zjadła taką czekoladkę. Tylko dla kogo ona była przeznaczona? Nowe mgły się zbierają.

Przez parę sekund robił wrażenie nieobecnego, potem spojrzał przytomnie i bystro.

- Albo może jest zupełnie inaczej. Przejaśnia się.

Rozdział czternasty

Poniedziałek, 15 września. Popołudnie.

Po lunchu pojechali do willi. Durell otrzymał żądane rekwizyty, tylko mydło było z gatunku zbyt mocno perfumowanych, zapach przenikał przez opakowanie i materiał kieszeni. Zaparkowali przed bramą. Durell otworzył frontowe drzwi. Weszli.

Ponure wydarzenia, jakie się tu rozegrały, wytwarzały atmosferę żałoby i smutku, mimo woli zniżyli głosy do

odpowiadającej nastrojowi wysokości. Durell podprowadził Melandera do drzwi łazienki.

– Sprawdź, czy ta płyta zastawiająca dziurę dobrze się trzyma – powiedział. – Żeby nie mógł posłużyć się tą drogą.

Melander obejrzał.

– Zrobione.

– W zasadzie więc drzwi są w takim stanie, w jakim były wtedy, kiedy Krystyna zniknęła.

– W zasadzie tak.

– To idziemy do salonu.

Poszedł przodem, szef za nim z miną dość niewyraźną.

– Proszę cię, usiądź tu. Tak jak siedział Tomasz Vanerman.

Szef miejscowej policji posłusznie zajął miejsce w fotelu przed telewizorem.

– Teraz ja wchodzę.

Durell podszedł do drzwi sypialni, odwrócił się i minąwszy Melandera skierował się do łazienki.

– Widzisz mnie cały czas.

– Widzę cię – uśmiechnął się Melander.

– Teraz wchodzę do środka.

Otworzył drzwi, zniknął w łazience, starannie zamknął za sobą i zawołał z wewnątrz:

– Gdzie teraz jestem?

– W łazience.

– Słusznie. Jestem w łazience, a co teraz robię?

Melander usłyszał, że woda zaczyna spływać do wanny.

– Napuszczasz wodę do kąpieli – zawołał. – A ja przez ten czas będę czytał gazetę.

Wziął piątkowy numer „Wiadomości Dnia”, wciąż jeszcze leżący na stoliku. Po chwili drzwi łazienki się uchylily i Durell wysunął głowę, mówiąc na tle szumu wody:

– Przynies mi parę wsuwek do włosów. Są w sypialni.

W szklanej miseczce na toalecie. Odlicz na to piętnaście, dwadzieścia sekund.

Melander zagulgotał wewnętrznie, bo wyobraził sobie Durella z wsuwkami w krótko ostrzyżonych włosach. Wstał, podszedł do drzwi sypialni: Policzył wolno do piętnastu – nagle jednak urwał i wpadł do salonu. Durell właśnie wychodził z łazienki i został przyłapany w drzwiach.

– No, nie – powiedział Melander – takie łatwe to nie jest. Słyszałem, że otworzyłeś.

– Jak to zauważyłeś?

– Szum wody. Jest ogromna różnica zależnie od tego, czy drzwi są zamknięte, czy otwarte. Ten eksperyment się nie udał, stary.

– Okay – powiedział Durell zawstydzony. – Następna próba będzie szczęśliwsza.

Znowu wszedł do łazienki, znowu zawołał do Melandera, który ponownie usadowił się w fotelu.

– Przynies mi parę wsuwek. Są w sypialni. Czas taki sam.

Melander ochoczo powtórzył czynności. Dobre dwadzieścia sekund stał pod drzwiami sypialni. Dla pewności tym razem patrzył na zegarek. Potem przeszedł przez salon do drzwi łazienki i stwierdził, że Durell zakręcił krany. Woda nie płynęła. Zapukał do drzwi.

– Już mi niepotrzebne – powiedział Durell. – Znalazłem w kieszeni szlafroka. I nie mogę otworzyć, bo już wchodzę do wanny.

– No to ja sobie znowu usiądę – powiedział Melander.

– Proszę bardzo, tylko mi przedtem powiedz, gdzie ja jestem.

– W łazience oczywiście. A może cię tam nie ma?

– Oczywiście, że jestem – Durell zaśmiał się głucho, jakby spod powierzchni wody. Może w taki właśnie sposób odbywają się numery iluzjonistów, pomyślał Melander,

wracając na swoje miejsce. Dla pewności nie spuszczał z oczu drzwi łazienki. Usiadłszy dalej obserwował drzwi z odległości sześciu – siedmiu metrów. Nagle usłyszał stłumiony trzask. Jakby strzał za ścianą – pewny nie był. Wyprostował się i jeszcze uważniej pilnował, co się stanie dalej. Z początku nic się nie działo. Potem uświadomił sobie, że tam wewnątrz coś się jednak dzieje. Woda się przelewała przez brzeg. Słaby z początku plusk i ciurkanie przybierały na sile. Woda wylewała się z wanny na dobre. Zerwał się i popatrzył w drzwi. I stało się. Usłyszał krzyk Durella. Na pół zduszony przez ścianę i drzwi nieprzyjemny krzyk sprawił, że Melander rzucił się do drzwi i przyłożył do nich ucho. Wewnątrz ciurkanie z kranów i plusk wciąż trwały. Zawołał do Durella:

- Wystarczy.
- A gdzie ja jestem?
- W łazience oczywiście.

Melander urwał i wyprostował się wolno. Bo dopiero teraz uświadomił sobie, że pytanie padło z za pleców. Odwrócił się i z osłupieniem wybałuszył oczy na małego asystenta, którego twarz promieniała zadowoleniem.

– Jak to możliwe, u licha? Przysięgłbym, że cały czas byłeś tam w środku.

– Zupełnie jak Tomasz Vannerman. To się widzi, czego oczy i rozsądek oczekują, to się akceptuje jako zupełnie oczywiste. I to doprowadza do przegapienia manipulacji. Niezły hokus-pokus, co. No, otwórzmy. Proszę bardzo. – Melander przekręcił drewnianą zatyczkę, ale drzwi były zamknięte. Durell uśmiechnął się.

– Zapominasz, że tam w środku jest rygiel. Musimy się włamać, tak jak wtedy, tylko tym razem jest to łatwiejsze.

Podniósł rękę, w której trzymał łom, co dla Melandera było ostatecznym dopełnieniem miary oszołomienia.

– Lepiej żebyś ty sam podniósł rygiel, żebyś nie mógł

potem twierdzić, że szachrowałem, że w rzeczywistości wcale nie był opuszczony.

Melander wykonał zlecenie. Zwolnił blokadę, podniósł rygielek do pozycji pionowej, upewnił się, że przesunął się on w górne imadełko i tkwi tam mocno. Teraz drzwi ustąpiły.

– No, rozejrzyj się – powiedział Durell.

Melander powędrował spojrzeniem po ścianach, napotkał swe odbicie w lustrze, wyraz zdumienia i zmieszania skłonił go do natychmiastowego odwrócenia oczu od własnego obrazu i spojrzenia gdzie indziej. W końcu odwrócił się.

– Mógłbyś mi trochę pomóc, naprowadzić. Co mam zobaczyć?

Durell zachichotał:

– Raczej czego nie możesz zobaczyć. Pewien przedmiot. Co miałem przy sobie wchodząc tu, o co sam się postarałeś?

– Mydło.

– Właśnie. Bo kto zamierza się kąpać, powinien mieć mydło. Prawda? Strasznie irytujące, wleźć do wanny i nagle odkryć, że nie ma mydła. Co zresztą zdarzyło mi się dziś rano w hotelu. No więc, czy tu jest mydło?

– Nie widzę.

– No. I trzeba ci wiedzieć, że w spisie przedmiotów znajdujących się w tej łazience, zrobionym po znalezieniu Krystyny Vannerman martwej tam na górze, też nie było mydła. Co powinno nas było skłonić do zastanowienia się, bo przecież przyjęliśmy, że Krystyna zamierzała wykąpać się.

Podszedł do wanny i zakręcił krany. Potem sam do siebie uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

– Jeżeli dodam do tego, że Krystyna miała w kieszeni szlafroka, między innymi, klucz, będziesz już mógł sobie wykalkulować, jak się to zniknięcie odbyło.

Melander nie wyglądał na człowieka, który zaczyna coś

rozumieć, więc Durell położył mu rękę na ramieniu, które znajdowało się na wysokości jego marchewkowo rudych brwi, i powiedział:

– Cóż, ja wiem chyba, jak się to odbyło. Mogę cię więc zapewnić, że Krystyna sama wyreżyserowała tę scenę. Pomysłowa osoba. I rzeczywiście musiała wybrać taki dramatyczny sposób wydostania się, żeby móc przeprowadzić cały plan. Lokatorów z góry trzeba było zwabić na dół, kapujesz. Bo gdyby nie zeszli, jej przejście przez górne piętro, a było konieczne, zostałyby wykryte, a równie konieczne zatrzymanie się na krótko w gościnnym pokoju uniemożliwione, jej odjazd łodzią nie mógłby odbyć się tak dyskretnie, jak sobie tego życzyła. A prócz tego byłbym skłonny twierdzić, że ten tajemniczy list, przepowiadający jej unicestwienie, też sama do siebie napisała podczas odwiedzin u pośrednika, wydaje mi się też, że wypadki rozwinęły się trochę szybciej, niż oczekiwała. A przede wszystkim komplikacje. Bo tak się stało. Złośliwe, ciężkie przeszkody.

Pokiwał głową i ściągnął usta współczująco.

– A teraz wstąpimy do gimnazjum – rzekł po chwili – zobaczymy, czy można będzie chwilę pogadać – czy jak to on określił, odbyć małą rozmowę dla wyjaśnienia; rozmowa z dyrektorem dotyczyć będzie pewnej bombonierki. Ale przedtem jeszcze jedno. Przypuszczam, że wiem, gdzie jest fabryka braci Pihl. Pojedziemy tam, przewidzieć się, jaka jest sytuacja na rynku, jeśli chodzi o akcje.

Zapytali o niego. Młoda blondynka w portierni zmierzyła ich wzrokiem od stóp do głów, usiłując jednocześnie ukryć ilustrowany tygodnik.

– Czy godzina była ustalona? Dyrektor bardzo zajęty, zresztą nie jest w swoim pokoju, tylko w fabryce. Mogę się dowiedzieć, kogo mam zameldować?

Durell błyskawicznie zareplikował:

– To nie takie ważne. Wejdziemy do fabryki i sami go znajdziemy. Przyjemnie zrobić komuś niespodziankę. Którędy trzeba iść?

– Prosto korytarzem, te szerokie drzwi w głębi.

Pokazała, poszli sobie, dziewczętnastolatka potrząsnęła głową i znowu wyciągnęła tygodnik.

Pihl był w pokoju majstra. Siedzieli obaj przy stoliku i studiowali jakieś plany. Dziewczyna w niebieskim fartuchu, która ich przyprowadziła z sortowni, otworzyła przed nimi drzwi i starannie je znowu zamknęła, by nie dopuścić dudniących, syczących, wibrujących dźwięków z działu produkcji. Pihl spojrzał. Wstał szybko, wyraźnie wytrącony z równowagi. Opanowawszy się poprosił majstra, by ich zostawił samych. – Sądzę, że panowie mają coś poufnego. – Zgarnął rysunki i odsunął na bok.

– Wiem, że byłem wczoraj obserwowany – powiedział, gdy zostali sami. – Nie miałoby sensu szukać wykrętów. Pojechałem na działkę, żeby zwrócić teczkę, bo wiedziałem, że należy do Krystyny Vannerman. Zrozumiałe, że powinienem ją raczej oddać policji.

Durell wpatrywał się w niego z powagą. Dyrektor uciekał spojrzeniem.

– Jak pan wszedł w posiadanie tej teczki? – spytał Durell.

– Właśnie, jak. Nie zawsze działa się w sposób przemyślany. Było szaleństwem z mojej strony, że się nią zająłem.

Odetchnął ciężko. Wyraźnie czuł się złapany w pułapkę, a możliwość ewentualnego wydostania się była jedna: powiedzieć wszystko.

– To, co mówiłem panu poprzednio, jest zgodne z prawdą. Miałem zawieźć Krystynę do Göteborga z kimś, ale kto to miał być, nie wiem. Miałem ją zabrać przy Röjan, ale nie przyszła. Tylko: przy poprzedniej naszej rozmowie pytał

pan, czy nie zauważyłem tam jej samochodu. Samochodu nie widziałem. Ale nie miałem powodu, żeby się za nim rozglądać, bo ona miała stać przy drodze. Tak było umówione. Natomiast, dopiero później sobie o tym przypomniałem, słyszałem, że jakiś samochód dawał sygnały, kilka razy, gdzieś bliżej campingu. Dość dziwny sygnał, w rodzaju syreny. Wtedy nie wiązałem tego z Krystyną, ale ponieważ pan pytał, przypuszczam, że ta informacja może pana zainteresować.

Spojrzał na Durella, który zachęcił go ruchem głowy:

– Nie poznał pan tego sygnału?

– Nie.

– A wie pan, jaki Krystyna miała klakson w samochodzie?

– Nie.

– Cóż dalej?

– Kiedy Krystyna się nie zjawiała – podjął Pihl – pojechałem do Norlidy, żeby zobaczyć, czy tam jej nie ma. Nie było. Z pół godziny czekałem na działkę, potem wróciłem do Röjan.

– Gdzie pan czekał? To znaczy, w którym pokoju? Czy szukając Krystyny obszedł pan całą działkę?

– Nie. Było ciemno, kiedy przyjechałem. Klucz tkwił w drzwiach. Wszedłem. Wcale jej nie szukałem. Usiadłem i czekałem, może przyjdzie.

– Tak po ciemku?

– Skądże, zapaliłem światło.

– Gdzie?

– W drugim pokoju.

– A potem powrócił pan do Röjan?

– Tak – powiedział dyrektor z wahaniem. – Kiedy siedziałem tam, zauważyłem teczkę. Stała między ścianą a starą skrzynią dębową. Wydawało mi się, że w niej jest... że jest wyładowana pieniędzmi. Teczka wzmocniła moje przypuszczenia, że Krystyna jest gdzieś niedaleko i zamie-

rza wrócić po teczkę. Zrozumiałem, że musiało stać się coś, co uniemożliwiło wyjazd.

– I zabrał pan teczkę z sobą?

– Nie. Bo po powrocie mogłaby pomyśleć, że ktoś ją ukradł. I jeszcze bardziej by się wszystko skomplikowało. Nie zabrałem, wróciłem do Röjan.

– A jej tam wciąż nie było?

– Nie.

– A wtedy co, pojechał pan do Göteborga, jak pan poprzednio powiedział. Chyba pan tego nie zrobił.

– Przyjechałem tu do fabryki i czekałem w moim pokoju. Myślałem, że może mnie będzie szukać, rozumiała, że do domu zadzwonić nie może, ze względu na żonę. A więc czekałem w moim pokoju do wpół do trzeciej w nocy. Pojechałem potem powtórnie do Norlidy, koło Röjan jechałem wolno, żeby sprawdzić, czy nie czeka jednak, oczywiście nie czekała. Dojechałem do miejsca, z którego można zawrócić, do rozjazdu, zgasilem światła w samochodzie i poszedłem na działkę. Zobaczyłem, że się tam świeci. Nareszcie, pomyślałem, wreszcie jest. Drzwi były nie zamknięte. Wszedłem, Krystyny nie było. Zawołałem, żadnej odpowiedzi. Wtedy mi przyszło do głowy, że może to ja zapomniałem zgasić światło. W każdym razie jej tu nie było. Gdy się tak zastanawiałem, co począć, usłyszałem, a raczej poczułem, że ktoś się oddala od domku. Natychmiast rzuciłem się do drzwi, wyjrzałem. Nic nie zobaczyłem, za ciemno było, usłyszałem natomiast, że ktoś biegnie w kierunku rozjazdu. Wpadłem do pokoju, żeby zabrać teczkę, bo wydawało mi się, że niezbyt tu bezpiecznie, oczywiście z zamiarem doręczenia jej Krystynie przy pierwszej sposobności. Zgasilem światło i przekręciłem klucz, ale zostawiłem go w drzwiach, bo mi się spieszyło, straciłbym szansę dogonienia tego nocnego gościa. Ale ledwie zdążyłem wybiec na ścieżkę, kiedy usłyszałem, że jakiś samochód rusza z miejsca, gdzie zostawiłem mój.

Musiał być zaparkowany między drzewami, bo ja parkując tam nie widziałem żadnego samochodu. Cóż miałem robić? Pobiegłem do mego samochodu, żeby jeśli się uda dogonić tamten. Gdy otwierałem drzwiczki, usłyszałem z lasu sygnał tamtego samochodu, taki sam, jaki słyszałem przy Röjan. Jak wycie syreny. Włączyłem silnik, cofnąłem się i skręciłem na drogę z taką szybkością, na jaką okoliczności pozwalały. Nagle w świetle reflektorów zobaczyłem człowieka. Był o parę metrów od samochodu. Rzucił się przed siebie jak oszalały i uciekł z drogi w bok, jakby się bał, że na niego wjadę.

– Na nią.

Dyrektor uniósł brwi.

– Nią? Pan ma na myśli Krystynę?

– Nie. Ale to nie był mężczyzna. Tylko kobieta. I prawda, że udało się panu wystraszyć ją niemal do utraty przytomności. Zwłaszcza że już była podniecona i wyczerpana kilkugodzinnym wiosłowaniem, ale to inna sprawa. Cóż było potem? Dogodnił pan ten samochód?

– Nie. Kiedy wyjechałem na szeroką drogę, tę nad Nissą, zniknął. Dalsza pogoń nie miała sensu, bo przecież nie wiedziałem, w którą stronę skręcił, w prawo czy w lewo. Postanowiłem machnąć na to ręką. Pojechałem dalej. Do Göteborga. I niech pan pamięta o jednym: wszystko to działo się przedtem, zanim się dowiedziałem o śmierci Krystyny. Pan rozumie. Nie miałem powodu, by podejrzewać jakąś zbrodnię. Ani też przypuszczać, że zostanę wplątany w tak poważną aferę.

Skończył i, wyprostowawszy się, posepnie spojrział na Durella.

– Jeśli jest jeszcze coś, co pana zdaniem wymaga wyjaśnienia, wyjaśnijmy to zaraz. Bo wolałbym być pewien, że sprawa została wyczerpana, jeśli o mój udział chodzi.

Durell zmrużył oczy i popatrzył na rozmówcę z miną sfinksa.

– Czy przy produkcji wyrobów plastikowych stosowane są jakieś składniki zagrażające życiu? Trujące czy coś w tym rodzaju. Organiczne lub nieorganiczne.

– Mamy laboratorium. Tam by może coś było.

– Scopolamina?

Dyrektor zmarszczył czoło. Otwarcie, jak dziecko, demonstrowując niezadowolenie z pytania.

– Nie wiem – powiedział. – Mamy pewne specjalne wyroby dla kilku biochemicznych instytutów. Do czego pan zmierza?

– A czy pan czasem nie dostarczył Krystynie Vannerman trucizny z fabrycznych zapasów?

– Co pan chce przez to powiedzieć, to już za wiele!

– No cóż, zaopatrzył ją pan w pistolet. To jednakowo niebezpieczne rzeczy. Jak się okazało. A jeśli pan uznał, że to mógłby być sposób na pozbycie się zagrożenia swego majątku, a ściślej majątku pańskiego syna... W przyszłości. Czy Krystyna nie ujawniła, że pan jest ojcem jej dziecka? Bo wiedział pan, że ma córkę? Prawda? I z dużym prawdopodobieństwem mógł pan być ojcem tego dziecka.

Pihl dyszał ciężko, wyprostował się z trudem i po dobrej chwili dopiero wydobył z siebie głos:

– To oszczerstwo. Pan postanowił sobie zrobić ze mnie mordercę. Słucha pan tego co mówię, ale w ani jedno słowo pan nie wierzy. Nic nie wiem o jakimś dziecku. Nie wiem, że miała dziecko. Nie zmusi mnie pan do przyznania się.

– No, no, no – Durell usiłował zrobić minę uspokajającą, ale nie był pewien, czy mu się to udało. – Zapomnijmy o tym chwilowo, to drobiazg. Pomówmy raczej o teczce. Czy pan do niej zaglądał? Sprawdzał pan, jaka jest jej zawartość?

– Nie. Leżała w samochodzie. Odstawiłem ją z powrotem nie ruszaną.

– Wobec tego muszę panu powiedzieć, że mija się pan z prawdą. Znowu. W teczce były, według tego, co wywęszyliśmy, pieniądze, paczki banknotów stukoronowych i prócz tego akcje. Pieniądze są w teczce, co dobrze świadczy o pana uczciwości, ale akcje, rzecz znamienne, zniknęły. – Po znaczącej pauzie Durell ciągnął dalej: – Sądzę jednak, że to pana uczciwości nie podważa. Jeśli pan zachował akcje, to dlatego, że właściwie stanowiły pana własność. Krystyna Vannerman miała je tylko wywieźć z kraju. Na pana rachunek. Robiła to i dawniej przy różnych okazjach, za umiarkowanym wynagrodzeniem. A ponieważ dzięki temu miała pana w ręku, mogła z całą pewnością liczyć na pana współudział, gdy zdecydowała się dyskretnie zniknąć z ojczystego kraju. Gorliwość, z jaką pan poszukiwał jej w piątkowy wieczór, by dopełnić warunków umowy, świadczy na pana korzyść...

Znowu kunsztownie zawiesił głos, nim wstał i skierował się ku drzwiom, wolniutko, by odwrócić się nagle i wypalić:

– Jeżeli to sprawozdanie jest prawdziwe.

– Chodź, idziemy. – Zwrócił się do Melandera. – Nielegalny wywóz akcji wymaga odrębnego postępowania wobec dyrektora. Kurier nie żyje. Nie będziemy go pytać, kto zabił kuriera. Nie zechce odpowiedzieć. Ani też, kto zabił córkę kuriera.

Gdy wóz Melandera zatrzymał się przed głównym wejściem, rozległ się właśnie dzwonek po ostatniej lekcji. Prawie natychmiast wypłynął potok uczniów, część rzucała teczki na bagażniki rowerów, by popedałować, inni kierowali się ku rzędowi zaparkowanych samochodów, pochlebnie świadczących o zamożności miasteczka. Gdzieś tam migał w tłoku nauczyciel. Durell zaniepokoił się, czy nie przyjechali za późno. Zauważył Brora

Anderssona. Stary profesor, popychany i potrącany przez horde rozpuszczonych wyrostków, przytrzymał kapełusz, by nie spadł, i bronił się, jak mógł, przed naporem. Durell dał mu znak ręką. Profesor przyjął to z zażenowaniem. Durell rozumiał, że przykre mu jest to ponowne zetknięcie tuż po wczorajszej konfrontacji w hotelu.

– Słyszałem, że udzielono panu wyjaśnień odnośnie tego, o czym wczoraj wspomniałem – powiedział Bror Andersson. – I chwała Bogu, stary człowiek nie nadaża za rozwojem współczesnej techniki, nie przychodzi mu to na myśl, powinienem był od razu się domyślić, że to magnetofon. – I z nagłą powagą dodał: – Lecz to, co usłyszałem, było samo przez się niepokojące. Nieprawdaż? I chyba słusznie...

Pytanie zostało urwane.

– Oczywiście – powiedział Durell. – Nawet jeżeli wszystko ma jakieś wyjaśnienie, to przecież niepełne. Przypuszczam, że nie spowodowało to żadnych nieprzyjemności?

– Owszem. Spowodowało. Otrzymałam reprimendę w bardzo ostrej formie. Bengt Fritze zamierza postarać się o zawieszenie mnie w czynnościach. – Za – zająknął się – za nietrzeźwość, jak to określił. Bardzo mnie to uraziło. Moje życie prywatne nikogo nie powinno obchodzić, a twierdzenie, że zdarzają mi się halucynacje, jest zupełnie niedorzeczne. Równie dobrze można by szanownego dyrektora oskarżyć o niemoralny tryb życia. Powiedziałem mu to.

– O, tak mu pan powiedział? Przypuszczam, że nie nastroiło go to przychylniej.

– Pewnie że nie. To sprawa prywatna, powiedział. A jeżeli mam na myśli Krystynę Vannerman, chętnie mi wyjaśni, że ich uczucie jest logicznym przedłużeniem dawnej młodzieńczej miłości. Jeszcze z czasów, gdy był na uniwersytecie i w tej miejscowości spędził ferie. Uważał, że zamiast mówić o niemoralności, powinienem posłużyć się określeniem: gorąca długotrwała przyjaźń.

Durell obojętnie patrzył na Brora Anderssona, ale jego nóżg pracował na pełnych obrotach. Jeszcze jeden przyszły kandydat do zatajonego ojcostwa. Trzeci. I nie najmniej interesujący. Coś zostało przemilczane. Pewien był, że jak i w poprzednich wypadkach, zostanie też zaprzeczone. Machinalnie kiwnął głową profesorowi i wszedł wraz z Melanderem na schody. Melander poklepał starego profesora po ramieniu i przeprosił, że muszą się spieszyć, jeżeli chcą zastać dyrektora, bo może wyjść ze szkoły. Dostrzegłszy obawę na twarzy Brora Anderssona, dodał szybko, że chodzi jedynie o kilka uzupełniających wyjaśnień. Wyobraźnia profesora mogła stać się niebezpiecznym podłożem fałszywych wieści.

Bengt Fritze był w kancelarii. Gdy weszli, wstał i przywitał ich powściągliwie. Zaczął pierwszy, bez osłonek:

– Zobaczyłem panów przez okno. Jakież to nowe interesujące spostrzeżenie przedstawił nasz nie stroniący od alkoholu przyjaciel? Jakie nowe zmyślane doznanie wzrokowe czy słuchowe?

Durell zacisnął zęby.

– Skądże znowu – powiedział. – Pan twierdził, że niebezpiecznie bliska, tak to określimy, znajomość łączyła pana z Krystyną Vannerman od bardzo dawna. Od jak dawna mianowicie?

Fritze westchnął.

– Więc i o tym się pan dowiedział. Od jakichś dwudziestu lat. Może powinienem nadmienić o tym wcześniej, tylko nie przypisywałem temu większego znaczenia. W tym wypadku żadnej roli to nie odgrywa.

– Owszem – odparował Durell twardo. – W tym czasie Krystyna urodziła córkę. Wiedział pan o tym? Zwłoki tej córki znaleziono wczoraj w Norlidzie pod drzewem, w pobliżu letniego domku panny Vannerman. Powinien pan o tym wiedzieć. Córka została zamordowana, rozmyślnie czy omyłkowo, przez tego samego człowieka, który zamor-

dował Krystynę. Została otruta, panie dyrektorze. A wie pan, w jaki sposób? Otruto ją czekoladką. Przeznaczoną pewnie dla Krystyny, którą, gdy ten zamiar się nie udał, trzeba było w inny sposób usunąć z drogi. A kto podarował Krystynie spreparowane czekoladki? Pan.

Fritze opadł na fotel, twarz mu poszarzała przybierając kolor cementu. Chwilę poruszał wargami, łapiąc oddech, by powiedzieć:

– To pomyłka, okropna pomyłka. Niech mi pan wierzy.

– Dał jej pan bombonierkę czekoladek tego dnia, w którym zniknęła?

– Tak, ale...

– Ma pan dostęp do trucizn. W szkole z pewnością jest laboratorium chemiczne. Z łatwością mógł pan spreparować kilka pralinek, wystarczyło nawet jedną. Dał jej pan pudełko. Było otwarte, gdy je otrzymała.

– Nie.

– Jak pan to udowodni?

Fritze nie odpowiedział. Rozbieganymi oczyma rozglądał się po pokoju.

– Krystyna lubiła czekoladki – powiedział. – To niedorzeczność, żeby w ten sposób interpretować zwykły prezent. Ja też jadłem te czekoladki. Słyszysz pan, ja je jadłem!

Zerwał się nagle, podbiegł do biurka i chwycił za telefon. Szybko nakręcił numer, niecierpliwie czekał na połączenie, popędliwie, z podnieceniem spytał: – Jest tam Tomasz Vannerman?... No, na szczęście... poproś go, żeby do mnie przyszedł. Zaraz.

Odkładając słuchawkę na widełki powiedział z ulgą:

– Horrendalna pomyłka, ale zaraz to wyjaśnimy.

Tomasz wszedł do kancelarii. Ze zdziwieniem powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, odczuł nieprzyjemne napięcie. Fritze chwycił go za ramiona, jakby chciał nim potrząsnąć.

– Powiedz tym panom, powiedz im, że w piątek, kiedy

byliśmy wszyscy na dole u Krystyny, obaj, ty i ja, jedliśmy czekoladki. Przypominasz sobie?

Tomasz uwolnił się ze szponiastego uścisku rąk dyrektora.

– Owszem. Ty jadłeś. Ja nie. Bardzo uważnie wybrałeś.

Fritze zwrócił się do ironicznie uśmiechniętego Durella.

– A nie mówiłem? Pan rzeczywiście podejrzewa, że gdybym chciał otruć Krystynę, zaryzykowałbym taką cenę: narażenie życia innych, siebie samego. Nie, panowie. Taki wniosek tylko obciąża pana konto. Dziękuję, Tomaszu, możesz odejść.

– Chwileczkę – powstrzymał go Durell. – Czy pan ma dostęp do trucizn? W laboratorium.

– Tak – zdziwił się Tomasz. – Ma pan na myśli cyjanek czy...

– Scopolaminę.

– Jest. Przez przypadek zresztą, ale jest.

– Kto ma dostęp do szafy ze środkami trującymi?

– Ja.

– Tylko pan? Nikt więcej?

– I dyrektor. Dyrektor rozporządza wszystkimi kluczami.

– Bardzo dziękuję. Teraz może pan odejść.

Tomasz wyszedł. Durell z ukosa spojrzął na Fritzego. Dyrektor znowu opadł na fotel. Ręce przyłożył do czoła, jakby go dręczył ból głowy.

Durell powiedział łagodnie i przyjaźnie:

– Pan wiedział, że Krystyna chce zniknąć bez śladu. I przypuszczenie, że chciał pan wykorzystać tę okazję, by się jej pozbyć, wcale nie jest takie niedorzeczne. Czy mogę o jedno pana spytać: kiedy ostatni raz widział pan Krystynę?

– Po południu w dniu jej zniknięcia.

– Mija się pan z prawdą. – Urwał. – A kiedy zostało

zrobione nagranie tej rozmowy, w której Krystyna oskarżała pana o chęć zamordowania jej?

– Kilka dni wcześniej. Ale źle pan zrozumiał sens tego nagrania.

– Znowu nieprawda. A wie pan, jak było? Gitt, córka Krystyny, usnęła nagle w ramionach matki. Prawdopodobnie stało się to w jej letnim domku. I Krystyna domyśliła się przyczyny. Gitt zatrąła się prałinką, która dla niej samej była przeznaczona. Cóż zrobiła Krystyna? Wróciła do domu, weszła do pana pokoju i rzuciła panu w twarz oskarżenie. Miała przy sobie pistolet. Groziła. Udało się panu odebrać jej broń. I pan strzelił.

Fritze zerwał się i krzyknął prosto w twarz Durella:

– To pan kłamie! Co pan o tym wie? Ja jej nie zastrzeliłem!

– Potem ułożył ją pan w wannie i puścił gorącą wodę.

Tknięty nową myślą, wyciągnął rękę.

– Chciałbym zobaczyć pana klucze.

Dyrektor biernie i jakby nieświadomie wsunął rękę do kieszeni i podał mu pęk kluczy. Durell sprawdził. Kluczy było dużo, ale tego, którego szukał, nie znalazł. To mogło jednak nie mieć znaczenia. Zwrócił klucze.

– A więc nie pan ją zastrzelił? W takim razie kto?

– Nie wiem. Nie ja. Nie ja!

Dyrektor wyraźnie toczył z sobą walkę i Durell czuł, że coś z tej walki wyniknie. Odwrócił się więc plecami do Fritzego i zaczął wyczekująco przechadzać się po pokoju. Podziałało. Gdy spuścił go z oczu, słowa popłynęły. Fritze usiłował mówić spokojnie i rzeczowo, ale z każdego zdania wzywał niepokój.

– Jak już mówiłem – zaczął – wiedziałem, że Krystyna zamierza wyjechać. Wiedziałem też, że zamierza to zrobić w sposób dość sensacyjny, ale nie wiedziałem jak. Sama powiedziała, że odejdzie tak, aby nie można było jej odnaleźć. Można będzie podejrzewać, że padła ofiarą cze-

gość czy kogoś, że czuła się zagrożona i chciała się ratować. Zniknie bez śladu. Domyślałem się, że szczegółowo to zaplanowała. Powiedziała: kiedy przyjdzie czas, pojedziesz za mną. – Urwał. Po chwili dodał cicho: – Bardzo byłem do Krystyny przywiązany. Właściwie od najwcześniejszej młodości się w niej kochałem.

– Był pan może ojcem jej dziecka? Czy to mogło się zdarzyć?

– Chodzi panu o to, czy już wtedy żyliśmy z sobą? Tak. Pewnie że to było możliwe. Nie miałem jednak pojęcia, że Krystyna ma córkę. Gdybym ja był ojcem dziecka, powiedziałaby mi. Tego jestem pewien.

– Ja nie jestem pewien. Cóż dalej?

– Chciała, żeby jej pomóc. Tylko w jednym drobnym szczególe. Chciała wiedzieć, czy jej zniknięcie zostało zgłoszone policji i czy policja wszczęła poszukiwanie. Wychodziła z założenia, że tego nie robi. W wypadku gdyby jednak była poszukiwana, zamierzała zmienić plany. Nie tyle ze względu na mnie, powiedziała, jak ze względu na kogoś innego. Nie miałem pojęcia, co, czy też kogo ma na myśli.

– Gitt – powiedział Durell. – I co dalej? Jeżeli policja się nie włączy?

– Miałem zagrać. O wpół do dwunastej miałem otworzyć okno w hallu na górze i zagrać de Falli „Taniec ognia”. Będzie przy Röjan, to tylko kilkaset metrów od willi, po drugiej stronie rzeki, de Fallę daleko słyhać. Gdy skończę, miałem podejść do okna i zapalić światło. Jeżeli usłyszę sygnał jej samochodu, to znaczy, że wszystko w porządku. Miała bardzo oryginalny klakson, łatwo go odróżnić. No i zniknęła. A ja nie przejąłem się tym zbytnio, jak pan pewnie zauważył. Zrobiłem to, o co prosiła: zagrałem „Taniec ognia”.

– A ona odpowiedziała?

– Tak.

– A jednak – ostrzej natarł Durell – kiedy panu powiedziałem, że mamy powody przypuszczać, iż o wpół do dwunastej już nie żyła, przemilczał pan to. Dlaczego?

– Dlatego że w jakąś godzinę później zjawiała się w moim pokoju, około wpół do pierwszej w nocy, i oskarżyła mnie, że chciałem ją otruć pralinką. Złakłem się, że zostanę zamieszany, może nawet podejrzany o zbrodnię. Przecież znaleziono ją w odległości kilku metrów od mego pokoju i ja mógłbym mieć powody, by ją zabić.

– Mógłby pan. Co dalej?

Fritze odchylił głowę i wpatrzył się w sufit.

– Twierdziła, że zimno wykalkulowałem sobie jej śmierć gdzieś w drodze, w takiej sytuacji, że żaden ślad nie prowadziłby do mnie. Przerazające oskarżenie i przerażające rozumowanie. Ale ona serio tak myślała. Nie miała wątpliwości. Przez cały czas siedziała trzymając torebkę na kolanach i coś pod nią ukrywała. Czułem się zagrożony. I rzeczywiście, wyciągnęła pistolet i powiedziała: Jak już będziesz martwy, wytrę z broni ślady i wcisnę ci ją do ręki, wszyscy uwierzą, że odebrałeś sobie życie. Może przeze mnie. I któż by mnie podejrzewał? Próbowałem ją uspokoić. Nieznacznie włączyłem magnetofon, nie zauważyła. Myślałem sobie, że jeżeli mnie zastrzeli, będzie jakiś dokument, jak do tego doszło. Ale tak się nie stało. Udało mi się ją uspokoić. Przekonałem ją, że to szaleństwo podejrzewać mnie o chęć zamordowania jej. Wyszła wreszcie. Była u mnie z pół godziny.

– Tak – beznamiętnie rzekł Durell. – Ale mogło być inaczej, może udało się panu odebrać jej broń. I w rzeczywistości pan ją zastrzelił.

– Tylko że tak nie było – gorzko rzekł Fritze. – Opowiedziałem wszystko, co wiem. I byłbym wdzięczny, gdyby mnie zostawiono samego. Mam tu jeszcze sporo do załatwienia.

Policjanci zostawili go samego. Zamykając drzwi Durell

zauważył, że Fritze wyjął klucze i przygląda się im uważnie. Podczas wędrówki przez długi korytarz Durell powiedział do Melandera:

– Gdyby ten wypadek z pralinką się nie zdarzył, to znaczy gdyby Gitt jej nie zjadła i jej śmierć nie zniweczyła planów Krystyny, czy to wszystko nie potoczyłoby się podobnie? Myślę, czy Krystyna, która znakomicie zaaranżowała zniknięcie, nie poprosiła Fritzego, żeby zagrał „Taniec ognia”, gdy w domu zapanuje spokój, właśnie dlatego, że chciała wrócić i pozbawić go życia tak, żeby jej nikt nie podejrzewał. To nie byłby głupi plan, co? – uśmiechnął się ukradkiem.

– Bo gdy Gitt zjawiała się w jej życiu, Fritze może zrobił się niewygodny. Zwłaszcza jeżeli to nie on był ojcem. A jak z tym było naprawdę, nigdy się nie dowiemy.

Rozdział piętnasty

Poniedziałek, 15 września. Wieczór.

Pod wieczór ściemniło się szybko, bo nad miasteczko nadciągnął z południa front ciężkich chmur i zgasił resztki dziennego światła. W pokoju szefa oprócz Durella i Melandera siedziało kilku młodych asystentów wyposażonych w magnetofon, protokoły, fotografie, notatki, szkice i inne materiały dowodowe. Durell siedział w jedynym wygodnym fotelu. Zdjął krawat i wetknął do kieszeni marynarki, lecz koniec krawata zwisał jak ogon egzotycznego węża. W rękę trzymał chusteczkę w deseń i od czasu do czasu wycierał pot z czoła. Zmiana kierunku wiatru na południowy spowodowała nawrót upału równie dusznego jak pod koniec ubiegłego tygodnia. Durell spoglądał w ciemność za oknem.

– Czas na podsumowanie – powiedział. – Cały kłębek już jakbym miał rozwinięty porządnie i ładnie, tylko jeden irytujący supeł pozostał. Ale i ten się rozsypa, byłem tylko mógł spokojnie i metodycznie rozpatrzeć i wyciągnąć wnioski. Spokojnie i metodycznie.

– Jaki supeł masz na myśli? – uśmiechnął się Melander.

– Oczywiście, kto ją zamordował. A ściślej, kto je obie zamordował. Wszystko się już zgadza. Tylko muszę rozpatrzeć, nie ze względu na ciebie, dla ciebie wszystko jest jak zwykle jasne i proste, ale dla siebie samego. Zobaczmy więc, jak było przed mniej więcej dwudziestu laty. Krystyna Vannerman była postepową dziewczyną. Miała nie mniej niż trzech kawalerów naraz. Jeden został z czasem dyrektorem fabryki, drugi aptekarzem, trzeci dyrektorem gimnazjum. Niewykluczone, że miała i innych wielbicieli; jedno jest pewne, zaszła w ciążę, prawdopodobnie z którymś z tych trzech. Dziecko urodziła za granicą. Wróciła, postarała się o umieszczenie dziecka w odpowiednim domu, płaciła dobrze i udało jej się zachować anonimowość. Jednocześnie, jak można przypuszczać, zerwała stosunki z wszystkimi trzema przypuszczalnymi ojcami. Do tej pory wszystko gra, prawda?

– Wydaje się, że gra – potwierdził Melander.

– No, a co później? Przed paru laty nawiązała ponownie znajomość z jednym z nich. Z dyrektorem Pihlem. Co można zrozumieć, przystojny mężczyzna i z pewnością niezbyt szczęśliwy w małżeństwie. Warunki sprawiły, że w największej tajemnicy została nie tylko na nowo jego kochanką, ale i... nazwijmy to: partnerem w interesach. Często wyjeżdżała za granicę i pomagała mu w nielegalnym wywożeniu akcji. Krystyna, jak widać z tego, nie była niewiniątkiem.

Durell westchnął i przymknął oczy.

– Potem zjawiał się w jej życiu inny mężczyzna. Dyrektor

Fritze. Też przystojny, a że w dodatku zamieszkał w domu Krystyny o piętro wyżej, nowo nawiązany stosunek umocnił się, a ponieważ nie krępowały go małżeńskie więzy, nie potrzebowali zachowywać dyskrecji. Wiele nawet wskazuje na to, że planowali połączyć swe dochody. Ona miała pieniądze, a co on posiadał, nie musimy badać. Tak więc dwa związki z czasów młodości zostały kolejno odnowione, a sądząc z danych, w pewnej mierze rozmijały się jednocześnie. Trzeci, aptekarz, zdecydowanie nie odznacza się urodą. Ale i on wstępuje na scenę. Każdy wedle swych możliwości. Jasne? – otworzył oczy i spojrzał na Melandera.

– Zupełnie jasne – powiedział Melander. – Wskazałeś także cały szereg przypuszczalnych motywów: pieniądze, przemyt, zazdrość, strach...

– Nie tak szybko – zastrzegł się Durell. – Nie płacz znowu motywami i czymś tam. Po kolei, każda rzecz z osobna.

Znowu zamknął oczy i mówił do nikogo się nie zwracając, wprost przed siebie, cicho i powoli:

– Nagle coś się wydarzyło. Przed miesiącem mniej więcej do Krystyny zatelefonowano. Z osłupieniem dowiedziała się, że córka trafiła na jej ślad. Jej bratanek i Gitt, zrzędzeniem losu, spotkali się we Włoszech. Przypadkiem bratanek pokazał dziewczynie fotografię, która wyjaśniła jej, kim jest jej matka. Wróciwszy do kraju nawiązała kontakt. Niezbyt przyjemny. Gitt narkotyzowała się i żądała od matki pieniędzy, możemy to nazwać szantażem. W Krystynie dojrzewały kolejne postanowienia. Postanowiła zająć się Gitt. Postanowiła wyjechać za granicę i zabrać ją z sobą. Postanowiła sprzedać wszystko, co posiada. Ale zachowywała w tajemnicy te plany, bo nie chciała ujawnić istnienia Gitt. Przez cały czas snucia planów starała się dostarczać dziewczynie narkotyki. I tu aptekarz

wkracza na scenę. Odwiedziła swą młodzieńczą miłość numer trzy i przedstawiła mu sprawę. Chodzi, jak powiedziała, o młodą krewną.

Durell urwał i ponownie spytał:

– To też jest jasne?

– W dalszym ciągu zupełnie jasne – powiedział Melander. – I nadal, jeżeli nie chcesz się w to zagłębiać, to widzę kilka dalszych motywów: szantaż, łaknienie narkotyków, prawa dziedziczenia...

– Słusznie – powiedział Durell – tylko że wszyscy trzej potencjalni ojcowie zaprzeczają, jakoby wiedzieli, że Krystyna ma córkę.

– Któryś z nich musiał jednak o tym wiedzieć.

– Pewnie, to racja. – Durell wydał usta. – Może nie powiedziała do aptekarza: „młoda kuzynka”, tylko: „nasza córka”. A jeśli chodzi o wyjazd do Göteborga z dyrektorem i o załatwienie biletów lotniczych, może nie powiedziała: „ja i jeszcze jedna osoba”, tylko: „ja i nasze dziecko”. A do Fritzego też mogła nie powiedzieć: „przyjedziesz do mnie później”, tylko: „jak się wszystko uspokoi, zamieszkaż z nami”. Ale pozwólcie mi dalej myśleć, bez dżubania w suple, bo tylko go gorzej popłaczę. Zobaczmy...

Wstał, przeszedł się parę razy po pokoju. Zobaczył, że jeden z młodszych asystentów stenografuje każde słowo, a drugi pilnuje nagrania na taśmę magnetofonową.

– Zobaczmy. Dość dużo wiemy o tym, co się wydarzyło w ubiegły piątek. Jeśli o Krystynę chodzi. A czego nie wiemy bezpośrednio, tego możemy się domyślić. Zniknięcie. Łodzią do Röjan. Przywiezienie Gitt z lotniska. Gitt zostaje otruta i umiera. W drodze z lotniska, w samochodzie. Z całą pewnością zostaje chwilowo ukryta na działce, podczas gdy Krystyna wraca do Gislaved. I tu spotyka swego zabójcę. Sporo wiemy o Krystynie, jeśli zestawimy fakty z prawd, półprawd i kłamstw, którymi nas częstowa-

no. Ale co wiemy o zabójcy? Kto zadzwonił do aptekarza przed wpół do dwunastej zawiadamiając, że Krystyna nie żyje? Jeśli morderca, jaki miał powód, by twierdzić, że nie żyje, zanim ją zabił? Skąd mógł mieć pewność, że wszystko rozegra się tak, jak sobie obmyślił?

Durell uderzył się dłonią w czoło, a Melander wtrącił:

– Coś mi się wydaje, że węzeł pęka. Żeby mieć alibi. Sam na to zwróciłeś uwagę. Powiedz, że nie żyje, to do tego jakoś dojdziemy. Możesz spokojnie rozważać dalej. Fritze mógł zadzwonić. Pihl. Tomasz. Nawet Bror Andersson też mógł.

Umilkł i patrzył na Durella ze zdziwieniem, okrągła twarz małego asystenta zmieniała się, zmarszczki wygładzały się, wyraz zasepienia ustępował jasnej pewności, zrozumienie i świadomość biły z każdego piega. Wetknął chustkę do kieszeni, już szukał oczyma telefonu, przekartkował książkę telefoniczną, nakręcił numer. Dał się słyszeć odgłos podnoszonej słuchawki i ktoś się odezwał. Durell powiedział:

– Przepraszam, pomyliłem się.

Odłożył słuchawkę i swoim zwyczajem gwizdnął wesoło.

– Do kogo dzwoniłeś? – spytał Melander.

– Do mordercy oczywiście. Chciałem się tylko upewnić, czy jest w domu.

Pojechali wszyscy czterej samochodem Melandera. Minęli rynek. Durell zauważył, że zegar starego ratusza wskazuje wpół do ósmej. Dokładnie trzy doby upłynęły od zniknięcia Krystyny Vannerman z zamkniętej od wewnątrz łazienki. W kilka minut później skręcili w Östra Strandvägen. Wtedy Durell go zobaczył. Nie można było

nie poznać tego chodu, tej sylwetki. W dodatku odwrócił się, na widok samochodu zatrzymał się niezdecydowanie, potem zniknął za furtką domu Vannermanów, który cichy, opuszczony, z ciemnymi oknami rysował się na tle rozświetlonych księżycem obłoków.

– Chce zwiąć – powiedział Durell. – Pospieszcie się.

Melander dodał gazu. Jeszcze prawie w biegu wyskoczył Durell przy furtce i pognał w ogród. Inni podążyli za nim.

– Jeden pilnuje tylnych drzwi, bo może przedostać się na górę, drugi...

– Tam jest! Hallo! Stać! – zawołał Melander.

Jednocześnie i Durell go dostrzegł. W dole, gdzie sylwetka łodzi odcinała się na ciemnym tle wody, poruszał się jakiś cień. Puścili się pędem ku brzegowi, lecz nim dobiegli, łódź odbiła, łańcuch zachrobotał o przybrzeżne kamienie, a człowiek, którego gonili, usiadł na dziobie, chwycił wiosła, nakierował na prąd i zniknął w ciemności.

– Szybko – szepnął Durell – gdzie jest łódź? Wszyscy na łódź!

Między śliwami, przez żywopłot z bzów wbiegł na teren Pihlów, mrużąc sam do siebie: – Tu była, pamiętam, że była – znalazł się na prywatnej przystani dyrektora, tuż za nim zdyszani asystenci i Melander. Odczepił łódź, wskoczyli, poleciał młodszym, by wiosłowali. – Tylko cicho, żebyśmy mogli nasłuchiwać.

Łódź ześliznęła się na wodę. Wiosła zanurzyły się miękko.

Durell siedział na rufie i wpatrywał się w ciemność. Zobaczył w dali czarny cień w świetle księżyca. – Jazda – szepnął – widzę go, bo księżyc wypłynął. – Pilnował, żeby nie zgubić tamtej łodzi. Wynurzała się czasem, to znowu ginęła w cieniu, ukazywała nagle znowu, coraz bliżej. – Więcej na prawo – syczał Durell. – Szybciej, próbuje

wjechać w rozlewiska... tu mógłby nam przepaść... pełno małych wysepek, wciągnie łódź między drzewa i nie zobaczymy... tam tyle olszyny... wiosłujcie szybciej. – Mówił bez przerwy. – Znowu go nie ma. Gdzie on się podział? Wiosłujcie szybciej. – Ale tamta łódź przepadła, pochłonięty ją zarośla odcinające się głębszą czernią na tle równie czarnego brzegu. Między tymi czarnymi smugami woda rozdzielała się.

– Przestańcie wiosłować – szepnął Durell. – Nic nie słyszemy, tylko własny chlupot, posłuchajcie. Nie może być daleko. – Ich łódź sunęła z prądem i tylko lekkie pluskanie o burtę zakłócało ciszę. Durell nastawił uszu, osłaniając je dłońmi. Po chwili szepnął: – Słyszę. Jest tam, przebija się przez zarośla. Szybko. – Łódź wpłynęła na jakieś korzenie i zachybotła niebezpiecznie, gdy wyskakiwali. Melander wciągnął ją na brzeg. Usłyszeli trzask łamanych gałęzi w odległości jakichś dwudziestu metrów. Rzucili się przez splątaną wiklinę, potykając się i kalecząc, i wydobyli na nie zarośniętą przestrzeń właśnie w chwili, gdy przez chmury wyjrzał księżyc. Tym razem Melander pierwszy go dostrzegł. Siedział oparty o pień i wpatrywał się w nich. Był śmiertelnie przerażony, wyczerpany. Podeszli bliżej. Durell powiedział:

– A więc pan zrozumiał, o co chodziło. Zdumiewające, że mylne połączenie może dać taki efekt. Dlaczego próbował pan uciekać? Powinien pan chyba rozumieć, że i tak pan zostanie zatrzymany, to tylko kwestia czasu.

Tamten patrzył ze strachem. Jego wielka głowa trzęsła się, nagle chwycił za nią obiema rękami, jakby ją chciał unieruchomić.

– Nie wobec rodziny – powiedział sam do siebie. – Nie chciałem, żebyście mnie zabrali na ich oczach. Chodźmy stąd. Dlaczego pan nie powiedział, żebym przyszedł? Koniecznie trzeba być zabranym?

– Tak – powiedział Durell usiłując być uprzejmy, choć

podrapane ręce i twarz piekły. – Nie wiadomo, czyby pan nie znalazł wyjścia przez aptekę. Trucizna, o ile wiem, działa i na aptekarzy.

Wrócili na posterunek, tym razem aptekarz usiadł w wygodnym fotelu. Słuchał, co mówi Durell, ale oczy miał nieobecne.

– Wiedzieliśmy, że pan miał telefon około wpół do dwunastej. Pana własna córka Ewa o tym powiedziała. A dzieci nie zmyślają takich rzeczy. Usłyszała, że pan powiedział: „Krystyna nie żyje”, a ściślej mówiąc, wydało jej się, że taki jest sens pańskich słów, gdy pan powiedział: Krystyna? Nie żyje? Nie Krystyna nie żyła. Gitt. Krystyna dzwoniła, żeby o tym zawiadomić. I nie tylko o tym. Powiedziała, że domyśla się, kto pozbawił Gitt życia. Zechce pan to potwierdzić?

Aptekarz kiwnął głową.

– Tak. Zadzwoiła z letniego domku. Powiedziała, że Gitt chyba została otruta. Chciała spotkać się ze mną przy Rōjan, bo tam miała łódź. Chciała, żebym był w pogotowiu, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie.

Durell przyjrzał mu się zimno.

– Ale pan nie powiedział, że to pan uśmiercił Gitt. Pojawienie się dziewczyny potraktował pan jako zagrożenie wygodnej egzystencji. Zaczęło się od tego, że Krystyna poprosiła o narkotyki. Gdy się pan wzbraniał, powiedziała, że to o waszą córkę chodzi – jej i pańską – że dziewczyna jest narkomanką i wszystko może się zdarzyć, jeżeli nie będzie mogła dalej zażywać narkotyków. Jeżeli ich pan nie dostarczy, ujawni, kto jest ojcem. I dostała amfetaminę. Potem jeszcze raz. I następny. Ale wtedy pan powziął postanowienie: Gitt musi zniknąć. W ostatnim opakowaniu przemycił pan śmiertelną dawkę scopolaminy. Przypa-

dek sprawił, że zażyła ją w samochodzie Krystyny w drodze z lotniska w Jönköping. Gdyby tę pigułkę wzięła w Sztokholmie, wszystko byłoby pomyślnie załatwione. A pan stałby poza wszelkim podejrzeniem. Krystyna może odczułaby to jako ulgę. A w każdym razie nic by nie podejrzewała. Cóż, kiedy umarła w samochodzie Krystyny. Zbieg okoliczności, że połknęła tabletkę prawie jednocześnie z kilkoma pralinkami, z czego Krystyna wyciągnęła wniosek, że praliny były zatrute i że trucizna była przeznaczona dla niej. Niech pan słucha uważnie, panie Sjöman. Zupełnie naturalne, że Krystyna do pana zadzwoniła, bo pan był ojcem Gitt. Gdy powiedziała, co się stało i co o tym myśli, rozdmuchał pan w niej podejrzenie co do Fritzego. A teraz niech pan powie, co było dalej. Co się stało?

Aptekarz, siedząc sztywno i z nieobecny spojrzeniem, zaczął opowiadać:

– Spotkałem się z nią przy Rōjan tuż po wpół do dwunastej. Natychmiast pojechaliśmy do Norlidy i weszliśmy do domku. Gitt leżała w kuchni na podłodze. Martwa. Tam umarła. Na jej widok Krystyna najpierw roześmiała się histerycznie, a potem zaczęła płakać. Raz po raz powtarzała: to mogłam być ja... to mogłam być ja... zabiję go... teraz moja kolej. Przyniosła z pokoju pistolet. Ja przez ten czas wyniosłem Gitt do małego pokoju. Ukryłem ją, nie wiem dlaczego, ale ukryłem ją pod łóżkiem. Potem wróciliśmy. Nie chciała od razu wejść do domu, czekaliśmy co najmniej z godzinę, nie wiem zresztą, jak długo, chciała, żebym był w pobliżu, gdyby się coś zdarzyło. Weszliśmy od tyłu. Poprosiła, żebym zczekał w pokoju na górze, naprzeciw łazienki i tam... tam...

Umilkł, jakby wspomnienie tego, co się stało, oderwało go od rzeczywistości, lecz znowu wyprostował się i ciągnął dalej:

– Wróciła po długiej chwili, nawet bardzo długiej. Położyła pistolet tuż przy mnie. Uwierzyłam mu, powiedziała, musiałam mu uwierzyć, ale kto w takim razie, kto to zrobił? Nagle zeszywniała i spojrzała na mnie. Zrozumiałem, że teraz się domyśliła, i chwyciłem pistolet. Nie wiedziałem, co robię, wymierzyłem prosto w głowę. Leżała przede mną, a ja stałem i widziałem wąską stróżkę krwi, spływającą z czoła na policzek. Wytarłem krew jej szalikiem. Potem...

Umilkł i zakrył twarz rękami.

– A potem zaczął pan myśleć – stwierdzi Durell.

– Postanowiłem upozorować samobójstwo – powiedział aptekarz. – Wytarłem pistolet szalikiem, wcisnąłem jej do ręki. Potem próbowałem wyobrazić sobie, jakby leżała, gdyby popełniła samobójstwo. Nie wiedziałem. Bałem się, że ktoś wykryje prawdę. Przypomniałem sobie, co żona opowiadała, że Krystyna zniknęła z łazienki – a gdyby ją znaleziono tu, na górze w łazience, w wannie, a łazienka byłaby zamknięta od wewnątrz, to pewnie uwierzono by, że to samobójstwo.

Znowu nastąpiła pauza, którą przerwał Durell:

– Zechce mi pan dać swoje klucze.

Aptekarz wyciągnął pęk kluczy, Durell kolejno przestudiował je uważnie. I zsunął z kółka zwykły standardowy klucz.

– Tym się pan posłużył? Ma nacięcie na końcu.

Aptekarz kiwnął głową.

– Tak.

– Ja już mogę dokończyć. Zaniósł ją pan do łazienki i umieścił w wannie. Rozebrał. Wymknął się pan i poszedł do siebie do domu. Pilnikiem zrobił pan nacięcie na kluczu, który pan wypróbował, upewnił się, że pasuje do drzwi łazienki. Wrócił pan, zabierając z sobą inne jeszcze rekwizyty, żyłkę rybacką z ciężarkiem, odczepił ją pan od wędki

syna, i śrubokręt. Przywiązał pan jeden koniec linki do klucza, na drugim końcu była ołowianka. Wsunął pan klucz w zamek po wewnętrznej stronie i przekręcił trochę tylko, tyle żeby nie wypadł. Ciężarek wpuścił pan w wentylator. Pozostawało jeszcze kilka szczegółów. Właściwy klucz od drzwi łazienki położył pan na podłodze w taki sposób, w jaki prawdopodobnie musiał upaść, gdyby go wysadzano z zamku od zewnątrz. Odkręcił pan kran z gorącą wodą tak, żeby płynęła dyskretnie cienką strużką. Zabrał pan ubranie i wyszedł. Śrubokrętem przekręcił pan od zewnątrz klucz, tak że drzwi zostały zamknięte. Teraz był pan pewien, że przy otwieraniu drzwi trzeba będzie wysadzić klucz wsuwając inny, uniwersalny, wtedy klucz zostanie przez ciężarek wciągnięty w wentylator i zniknie, będzie nie do odszukania. Musiał pan już tylko czekać na odpowiedni moment, żeby odzyskać swój klucz.

Potem wszedł pan do pokoju, w którym morderstwo zostało dokonane. Drzwi łazienki były zamknięte od wewnątrz, samobójstwo doskonale upozorowane. Cóż pan zrobił? Skontrolował, czy pokój nie zdradza czegoś, i odkrył pan fatalną pomyłkę. Pistolet. Zapomniał pan o pistolecie i łusce. Nerwy nie wytrzymały, nie zdobył się pan na naprawienie pomyłki. Zabrał pan pistolet, i wrócił do łodzi, zabierając także ubranie Krystyny. Popłynął pan do Röjan, gdzie stał samochód. Samochodem pojechał pan drugi raz do Norlidy, by zająć się drugą z ofiar. Wyciągnął pan zwłoki Gitt, zaniósł do lasu, ukrył pod gęstym świerkiem. Wracając na działkę, zauważył pan, że ktoś tam jest, wtedy uciekł pan na łeb na szyję. Do Röjan. Tam otworzył pan bagażnik i wyjął walizkę Krystyny. Niewiele w niej było, tylko najpotrzebniejsze rzeczy, żeby nic z jej garderoby nie brakowało, gdy zniknie. Dołożył pan zdjęte z niej ubranie i pistolet, zamknął bagażnik i zepchnął samochód do wody.

Skończył i odsapnął.

– Tak chyba było. Prawda?

Aptekarz kiwnął głową, zupełnie zobojętniały.

– Dostanie pan proszek nasenny – powiedział Durell. – Przepraszamy, że łóżko nie będzie takie wygodne, do jakiego pan przywykł, a pokój malutki. – Otworzył drzwi i rzucił w korytarz: – Dyżurny, proszę zająć się aptekarzem Sjömanem. Zostaje zatrzymany.

Późnym wieczorem Durell i Melander siedzieli w hotelu „Nissastigen”, zamówili mocną gorącą kawę i okazałą porcję solidnych kanapek. Z radia płynęły melodie, niezbyt głośno, ale dość głośno jak na tak późną porę.

– Ale jak to, u licha, było z tym rygłem w łazience na dole?

– Posłuchaj – powiedział Durell z zadowoleniem. – Krystyna, żeby ulotnić się w sposób, jaki sobie zaplanowała, nie mogła zabrać ubrania z szafy. Więc trochę nowo zakupionych rzeczy umieściła w jednym z nie zajętych pokoi na górze, może właśnie w tym naprzeciw łazienki. Zniknąć bez śladu mogła tylko wychodząc tylnymi drzwiami, a potem odpływając łodzią. I taki właśnie miała plan. Postanowiła zostać do wpół do ósmej. Bo wtedy mogła mieć świadków zniknięcia. Tomasz nigdy nie przepuszczał wysłuchania wieczornych wiadomości TV. Na dworze było ciemno i bezpiecznie. A górne piętro okupowali zaciekli zwolennicy brydża. Weszła do łazienki, ale nie opuściła rygielka. Puściła wodę i zrobiła mniej więcej to samo, co potem Sjöman na górze, z pewnymi tylko wariantami: do sznurka przywiązała z jednej strony wsuwkę do włosów, a z drugiej obciążyła go flakonem z płynnym mydłem kąpielowym. Zwolniła rygielek z górnej zastawki i zaczęła, póki poziom wody w wannie nie sięgnął wylotu kranów. Wtedy nie było już słyhać, że woda cieknie. Uchyliła drzwi i zawołała na Tomasza, żeby jej przyniósł szpilki do włosów.

– Wsuwki – poprawił Melander.

– Niech będzie wsuwki. Tomasz wszedł do sypialni, a ona wymknęła się i cichutko zamknęła za sobą drzwi. Otworzyła drzwi oddzielające schody na piętro, wyciągnęła klucz z zamka, ile się dało, żeby nie wypadł, pamiętasz, że to są stare ozdobne drzwi, zamek jest bardzo głęboki. Potem drugim kluczem zamknęła z przeciwnej strony. Ten klucz znaleźliśmy w kieszeni jej szlafroka. Weszła do komórki na rupiecie, stanęła na stołku, wzięła wąż od odkurzacza i wylot przytknęła do wentylatora. Zupełnie tak jak ja to zrobiłem, przeprowadzając nasz eksperyment. Gdy Tomasz zawołał do niej stojąc pod drzwiami łazienki, odpowiedziała przez improwizowaną rurę – stary dobry sposób porozumiewania się, które każdy szyper zna od czasu Latającego Holendra. No, więc odpowiedziała, choć nie brzmiało to zupełnie tak, jakby dochodziło z łazienki. Tomasz wrócił przed telewizor, usiadł. Krystyna czekała. Nagle woda się przelała, porwała mydło, poniosła je do ścieku w podłodze, a mydło pociągnęło za sobą sznurek z przymocowaną na końcu wsuwką, wtedy rygielek opadł, wydając dźwięk, który przy dobrej woli i pobudzonej fantazji mógł zabrzmieć jak strzał. Krystyna wzmocniła to wrażenie wydając krzyk przez rurę, choć ten efekt był nieco opóźniony. – Durell roześmiał się. – Co się zdarzyło później? Cóż, Tomasz zaczął dobijać się do drzwi, krzyczeń, podniósł wrzawę, całe towarzystwo z piętra zbiegło na dół i tak waliło w drzwi, że klucz w połowie wysunął się z dziurki, w czym nie ma nic dziwnego. Gdy wszyscy byli na dole, Krystyna miała wolną drogę. Przemknęła na górę, ubrała się, powiesiła szlafrok w górnej łazience, zabrała nową teczkę, pudełko z czekoladkami, neseser i wymknęła się do łodzi. Resztę już znasz.

– Tak – powiedział Melander. – Resztę znam.

Durell chwilę siedział w milczeniu. Potem wyprostował na całą długość swą niepokaźną postać i jego błękitne

utopione w piegach oczy znowu nabrały wyrazu czujności. Podszedł do radia i przekręcił gałkę. Zamiast potocznej melodii rozległ się nagły wybuch szybkich dysonansowych akordów staccato. Posłuchał i spytał:

– Wiesz, co to jest?

– Wiem – odpowiedział Melander.

– „Taniec ognia”. Naprawdę bardzo interesujący utwór – powiedział Durell.

**Seria z „Jamnikiem”
1982**

Jeremi Bożkowski
Piękna kobieta w obłoku spalin

José Giovanni
Śmierć w górach

Margaret Millar
Śmierć w hotelu

w 1983 r. ukaza się:

Jerzy Edigey
Pomysł za siedem milionów

Zenon Gałuszka
Dziesięć dni na karuzeli

Zdenka Hadrboľcová
Parasol pani Czernej

Jerzy Łaniewski
Ruiny

S. Meralda
Klara i jubiler

Kedar Nath
Gorset dla Lakszmi

Helena Sekuła
Barakuda

Arkadij Wajner, Georgij Wajner
Wizyta u Minotaura

Janwillem van de Wetering
Siła wyższa

Karol Wilt
Przekładanka

Kirył Wojnow
Ze mną choćby do piekła

Czytelnik". Warszawa 1984. Wydanie I.

okład 160 320 egz. Ark. wyd. 10,8; ark. druk. 15.

papier offset V kl. 60 g. 93 cm.

oddano do składania 8 XI 1982 r.

odpisano do druku 17 VI 1983 r.

druk ukończono w marcu 1984 r.

okłady Graf. „Dom Słowa Polskiego” w W-wie

am. wyd. 576; druk. 633/K/83 M-24.

Printed in Poland



zł 100,-

ISBN 83-07-00951-0